**Powstanie w getcie** – dlaczego tak późno? | Jak nas zmieniły **seriale**
**Piersi** nie karmią | **PSL** 2050 | Młodzi **kochają kasę** | **Sądy** zapętlone

POLITYKA.PL

# POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

© GETTY

TYGODNIK, nr 17 (3411), 19.04–25.04.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

## Rodzinny dramat marszałek Witek ujawnił problemy z leczeniem przewlekle chorych

# Łóżka życia i śmierci

s. 15

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ISSN 0032-3500

9 770032 350305 17>

*Do kupienia w dobrych kioskach i na sklep.polityka.pl*

SALON *pismo o tym, co nas tworzy*

POLITYKA w numerze 17 [ 19.04–25.04.2023 ]

18 Serialoza

22 Polska Ludowa 2050

92 Kraj z życia wzięty

## Tematy tygodnia


**12** Marian Turski **80 lat od wybuchu powstania w getcie – dlaczego Żydzi nie stawili oporu wcześniej?**
**15** Katarzyna Kaczorowska **Na OIOM-ie trwa walka o łóżka**
**18** Aneta Kyzioł **Jak nas zmieniły seriale**


## Polityka


**22** Rafał Kalukin **Czy alians Hołowni i Kosiniaka jest możliwy**
**25** Ewa Siedlecka **Zapętlony wymiar sprawiedliwości**
**28** Przemysław Szubartowicz OGLĄD I POGLĄD **Jeśli nie wspólnie, to razem – recepta dla opozycji**


## Społeczeństwo


**30** Julia Zabrodzka **Aktywiści klimatyczni tracą siły**
**33** Jak mamona zmienia młodych – opowiada psycholożka prof. **Anna Maria Zawadzka**
**36** Paweł Walewski **Dlaczego Polki rezygnują z karmienia piersią**


## Rynek

**40** Marcin Piątek **Jak NCBiR wyciąga państwową kasę**



**43** Cezary Kowanda **Polska kolej walcząca**


## Świat


**46** Paweł Reszka UKRAINA **Życie za linią frontu**
**50** Łukasz Wójcik **Eutanazja – od debaty do praktyki**
**53** Andrzej Lubowski USA **Jimmy Carter: wielki prezydent z małego miasteczka**
**56** **Dmitrij Głuchowski** emigracyjny rosyjski pisarz, o tym jaka jest różnica pomiędzy winą i odpowiedzialnością Rosjan za wojnę

## Nauka i cywilizacja/ pulsar

**58** Andrzej Hołdys **Geoinżynieria: sposób na uratowanie Ziemi?**
**61** Dlaczego trzeba chronić dolinę środkowej Wisły tłumaczą **Monika i Dariusz Bukacińscy**, ekolodzy i ornitolodzy, którzy pomagają żyjącym tam ptakom
**64** Przemek Berg **Co zmieni napęd jądrowy w rakietach**
**66** **Finaliści Nagrody Specjalnej Magazynu SALON**


## Historia

**68** Jerzy Kochanowski **Czym było i jest obywatelstwo polskie**
**70** Paula Apanowicz **Amerykański sen Jayne Mansfield**
**73** PROSTO Z KSIĄŻKI


## Kultura


**78** Janusz Wróblewski **Joaquin Phoenix: aktor nieoczywisty**
**81** Violetta Krasnowska **Agata Tuszyńska i wymazane współautorki książki**
**84** Jakub Demiańczuk **Przeglądy ambitnego kina: kulturalne wyspy na morzu komercji**
**86** MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**


## Na własne oczy


**92** Rozmowa z malarzem, fotografem i artystą wizualnym prof. **Andrzejem Tobisem** o pokazywaniu Polski bez filtrów


## Stałe rubryki


• **4** Mleczko i Mizerski • **6** Przypisy
• **7** Ludzie i wydarzenia • **74** Afisz
• **87** Lis • **88** Koziołek • **89** Hartman
• **91** Do i od redakcji • **98** Polityka i obyczaje


COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

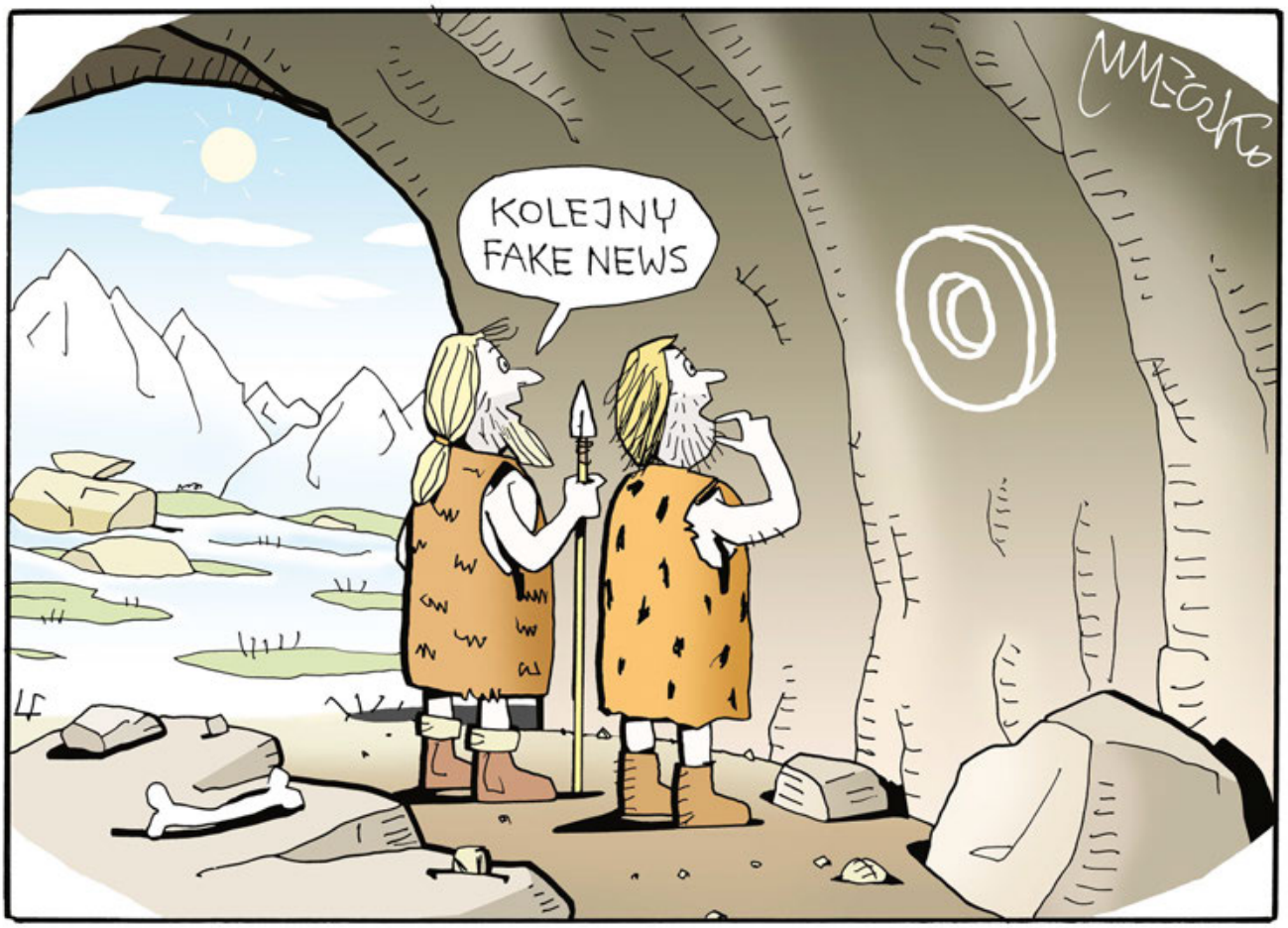


GALERIA ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14

www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

# Głos Lasów głosem Boga

Policja zatrzymała mężczyznę, który podczas marszu w obronie Jana Pawła II stał z plakatem, na którym było napisane: „hipokryta", „zbrodniarz", „obrońca pedofilów". Po zatrzymaniu prokuratura postawiła mu zarzut obrazy uczuć religijnych związanych z osobą papieża Polaka. Religijny kult tej osoby ma w Polsce wielu wyznawców, a od niedawna jest już religią państwową, co Sejm potwierdził w specjalnej uchwale, a potem też pani marszałek Witek – w wygłoszonym z tej okazji orędziu do narodu.

W niektórych miejscach kult JPII jest obecnie popularniejszy niż chrześcijaństwo, które – jak twierdzą znawcy tematu – nigdy się w Polsce specjalnie nie przyjęło. Tymczasem osoba świętego papieża Polaka się przyjęła i dla dużej grupy religijnych Polaków jest znacznie atrakcyjniejsza niż osoba Jezusa – kontrowersyjnego Żyda głoszącego lewackie poglądy nazbyt przesiąknięte tolerancją i bezwarunkową miłością bliźniego, które są nie do przyjęcia.

Osobiście uważam, że zatrzymany mężczyzna powinien odpowiedzieć nie tylko za obrazę JPII, ale także posłów Zjednoczonej Prawicy, z prezesem Jarosławem Kaczyńskim na czele, którzy – nie bacząc, że wystawiają się na śmieszność i kpiny – na oczach całego kraju bronili świętości JPII, trzymając w ławach sejmowych wielkie zdjęcia z jego podobizną. Obrażając papieża, mężczyzna obraził również kierownictwo Lasów Państwowych, które w ramach akcji „Łączą nas Drzewa" wyszło z piękną inicjatywą utworzenia w całym kraju Lasów Pamięci Jana Pawła II.

Lasy mają powstać w każdym nadleśnictwie, co daje w sumie 429 lasów-wyrazów wdzięczności Polaków dla św. JPII, który – jak informują Lasy Państwowe – „szukał głosu Boga w polskich lasach". Do czego las pamięci ma służyć, nie wiadomo, zdaniem niektórych można by wywozić do niego osoby obrażające JPII i przesłuchiwać je tak, żeby usłyszały w nim głos Boga i na zawsze go popamiętały. Tak czy inaczej 429 lasów pamięci JPII to inwestycja piękna i tak ważna, jak ławki niepodległości, narodowe maszty w każdej gminie czy przekop Mierzei Wiślanej. Jestem spokojny, że po posadzeniu tylu lasów pamięć o JPII, podobnie jak pamięć o rządach PiS, przetrwa nie tylko w tych lasach, ale także w obszarach przyleśnych oraz na polach i nieużytkach rolnych. Wierzę, że zapamiętany zostanie również dyrektor Lasów i że pamięć o nim, wyrażona w memach, skeczach kabaretowych i niewybrednych dowcipach opowiadanych przy ogniskach, nie zaginie.

Albatros travel

# Jezioro Garda i Północne Włochy

**Cudowna wycieczka nad Jezioro Garda połączona ze zwiedzaniem Wenecji, Werony i Tyrolu Południowego.**

**Program wycieczki: Dz.1** Wylot z Warszawy do Mediolanu. Piesza wycieczka po San Zeno i degustacja lokalnych przysmaków. **Dz. 2** Rejs po jeziorze Garda, czas wolny w Malcesine. **Dz. 3** Wenecja. Rejs po Canal Grande i zwiedzanie miasta. **Dz. 4** Całodzienna wycieczka do Werony i degustacja wina Amarone w Valpolicella. **Dz. 5** Alpejska sielanka w Tyrolu Południowym: Merano i Tirolo. **Dz. 6** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 7** Przejazd do Mediolanu i podróż powrotna do domu.

**7 dni | Wylot z Warszawy 20/09 2023**

**5.498,-**

Zeskanuj kod QR i dowiedz się więcej

# Przywitaj Bali i Komodo

**Program wycieczki: Dz. 1** Wylot z Warszawy do Denpasar. **Dz. 2** Przylot na Bali i przejazd do Candi Dasa. **Dz. 3** Candi Dasa. Zabytkowa wioska oraz pałac wodny Tirta Gangga. **Dz. 4** Candi Dasa - Munduk. **Dz. 5** Munduk. Wycieczka do Wodospadu Czerwonych Korali i wykład poświęcony darom ofiarnym. **Dz.6** Munduk – Ubud. Gorące źródła Banjar. Bliźniacze Jeziora, Świątynia Bogini Wody i lokalny targ w Bedugul. **Dz. 7** Ubud. Kurs gotowania. Czas wolny. **Dz. 8** Ubud. Zwiedzanie na własną rękę lub na rowerze (za dodatkową opłatą). **Dz. 9** Ubud. Świątynia Tanah Lot. Przelot na Flores. **Dz. 10** Labuan Bajo. Całodniowa wycieczka łodzią do Parku Narodowego Komodo. **Dz. 11** Przelot na Bali. Przejazd do Sanur. **Dz. 12-13** Wypoczynek w Sanur. **Dz. 14-15** Wykwaterowanie z hotelu. Wylot z Bali i przylot do Warszawy.

**15 dni | Wylot z Warszawy 14/08 2023 | 13.998,-**

WYKŁAD ONLINE

**Kair i rejs po Nilu**

**20/04/23 o godz. 17:00**

Rejestracja na stronie www.albatros.pl

# Armenia i Gruzja – perły Kaukazu

**Program wycieczki: Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Erywań. Zwiedzanie miasta, m.in. Muzeum Historii Armenii, Plac Republiki, Opera, Kaskady i Pomnik Ofiar Ludobójstwa Ormian. **Dz. 3** Wyjazd do Wagharszapat, katedra w Eczmiadzynie, klasztor Chor Wirap i wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO, ruiny katedry w Zwartnocu. **Dz. 4** Wyjazd do destylarni brandy, świątynia w Garni, wpisany na listę UNESCO Klasztor Geghard i Instytut Matenadaran. **Dz. 5** Erywań-Tbilisi. Jezioro Sewan - wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO klasztor Hachpat - górskie miasto Dilidżan– Jezioro Sewan – Tbilisi, Gruzja. **Dz. 6** Zwiedzanie Tbilisi, m.in. świątyni Metechi, łaźni i twierdzy Narikala. **Dz. 7** Tbilisi – Gudauri. Mccheta. Monastyr Dżwari, Katedra Sweti Cchoweli, Gori-miasto Stalina i starożytne miasto Uplisciche. **Dz. 8** Gudauri – Tbilisi. Kazbek, Stepantsminda i przejazd samochodami SUV do klasztoru Cminda Sameba (Święta Trójca). **Dz. 9** Wycieczka do górskiego miasteczka Signagi i odkrywanie tradycyjnej produkcji wina. **Dz. 10** Czas wolny w Tbilisi. Nowoczesne Tbilisi (wycieczka dodatkowo płatna). **Dz. 11** Wylot z Tbilisi do Warszawy.

**11 dni | Wylot z Warszawy 17/09 2023 | 6.998,-**

**albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81**

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

**Kod reklamy: PL15**

**Cena zawiera:** BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

# Zapłacimy jak za zboże

Jerzy Baczyński

Afera zbożowa to synteza rządów PiS. Wszystko tu jest typowe, powtarzalne, znane z każdego kryzysu, jakich od lat seryjnie doświadczamy, obojętnie, czy dotyczyło to pandemii, inflacji, dostaw węgla, uzbrojenia armii, czy teraz niekontrolowanego napływu ukraińskiego zboża. Za każdym razem na początku mamy zaniechania, niekompetencję, gapiostwo, potem spóźnione reakcje, na ogół w atmosferze paniki, więc radykalne, toporne, bez względu na koszty. Przecież, powtórzmy, o ryzyku związanym z bezcłowym przywozem do Polski ukraińskich produktów żywnościowych mówili od roku rolnicy, handlowcy i eksperci. Ostrzegał Donald Tusk, za co ze strony Jarosława Kaczyńskiego spotkały go oskarżenia o szerzenie putinowskiej propagandy; a prezes PSL bezskutecznie dopominał się wprowadzenia kaucji tranzytowej na wjeżdżające na nasze terytorium zboża. To trzeba przypominać, bo w tej sprawie opozycja zachowała się bez zarzutu.

Wszystko, co się stało złego, to skutek karygodnej bierności władzy. Niewykluczone, że mieliśmy tu też do czynienia z lobbingiem ze strony firm i biznesmenów, zwłaszcza powiązanych z władzą, którzy na obrocie tanim zbożem z Ukrainy zarobili krocie. Może ktoś przekonał ministra Kowalczyka, a za nim Kaczyńskiego, że w ten sposób ograniczamy ceny chleba, i w ogóle żywności, że importem walczymy z inflacją? Może dlatego stworzono nieistniejącą kategorię „zboża technicznego", które mogło wjeżdżać do polski bez kontroli sanitarnej? Nie wiemy. Mleko się wylało, a właściwie zboże wysypało dopiero, gdy doszło do ostrych protestów rolników, co zagroziło buntem wiejskiego elektoratu.

Reakcja PiS (jak zresztą zapowiadaliśmy) była typowa: propaganda plus pieniądze. Główny spektakl przykrywania faktów propagandą rozegrał się na „konwencji rolnej PiS" w miejscowości (nomen omen) Łyse. Tradycyjnie jako tło dla prezesa wystąpił „lud", przebrany w stroje folklorystyczne i zaopatrzony w narodowe chorągiewki. Ten powtarzający się obraz tak trąci protekcjonalnością, dygnitarstwem, pańszczyzną, że wciąż nie rozumiem, jak dorośli ludzie mogą się godzić na rolę „bałwanów", którym rządzący oddają puste, rytualne pokłony? Nie inaczej było w Łysych. „Witamy szanownych chłopów" (to nowy minister rolnictwa Robert Telus), „polski rolnik jest najwyższą wartością i dbałością (?) o naszą ojczyznę" (premier Morawiecki); „wzięliśmy na siebie zaszczytny obowiązek reprezentowania polskiej wsi". Po godnościowych umizgach padły spodziewane „konkrety": zapowiedź powszechnego skupu zboża powyżej ceny rynkowej oraz natychmiastowego jednostronnego zamknięcia polskich granic dla importu z Ukrainy wszelkich produktów żywnościowych (więcej s. 7). Słowem: zboże odkupimy, nowego nie wpuścimy, elewatory opróżnimy… Czy to jest wykonalne? Tak, jeśli się przyjmie, że przed wyborami trzeba uspokoić wieś „za wszelką cenę".

Oto niektóre składowe tej ceny. Skup? Rolnicy pytają: „jak rząd ma skupić", kiedy już dziś nie ma gdzie ziarna magazynować? Może władza sięgnie po stary chwyt Nikodema Dyzmy i będzie płacić za pozorny skup, z pozostawieniem towaru u sprzedającego? Eksperci ostrzegają, że przy nierynkowych, zawyżonych cenach musi dojść do spekulacji, odsprzedawania polskiemu rządowi zbóż kupionych na międzynarodowym rynku. Chyba że rząd wprowadzi jakiś skomplikowany system reglamentacji, ale o tym prezes nie mówił. Opozycja zwraca uwagę, że „solenne" obietnice pozbycia się z polskich magazynów co najmniej 4 mln ton nadwyżkowego ziarna, i to do żniw, są mało realne, bo rząd nawet nie ruszył z budową niezbędnej infrastruktury: kolejowych stacji przeładunkowych, nabrzeża portowego, nowych elewatorów, instalacji przetwórczych. Ale żeby i tu opozycja się nie przeliczyła w czarnowidztwie, bo może być jak z węglem: na siłę wszystko się da. Część ziarna np. wyjedzie za bezcen, coś się przetworzy na spirytus, Orlen zrobi z pszenicy biopaliwa, a resztę zboża po cichu można spalić, co już znalazło się w ogólnikowych zapowiedziach. Jest takie powiedzenie „płacić jak za zboże", czyli nie licząc się z ceną. Idealnie pasuje: koszty interwencyjnego skupu oraz zagospodarowania nadwyżek już ocenia się na 5–10 mld zł.

Jeszcze bardziej kosztowny może być totalny zakaz importu tańszej żywności z Ukrainy: to oczywisty impuls inflacyjny, ale też – jak każda prohibicja – zachęta do kontrabandy. Chyba że szczelnie zamkniemy granice z Ukrainą, jak te z Białorusią. Władze w Kijowie dają do zrozumienia, że Polska uczyniła pierwszy nieprzyjazny gest wobec ich walczącego kraju, że złamała wcześniejsze ustalenia, poczynione także podczas „historycznej" wizyty prezydenta Zełenskiego w Warszawie. Cóż, Ukraińcy po prostu otrzymali sygnał, że dla PiS „obrona wolności Ukrainy", choć bardzo ważna, jest jednakowoż mniej ważna niż utrzymanie władzy nad Polską.

Nie trzeba dodawać, że zamknięcie wschodniej granicy Polski jest jaskrawo sprzeczne z decyzjami Unii o pomocy dla Ukrainy (m.in. poprzez zniesienie wiz i ceł), narusza też wyłączne kompetencje Komisji Europejskiej w dziedzinie regulacji wspólnego rynku. Kaczyński zapewne oczekuje, że Bruksela przeciwstawi się jednostronnym decyzjom Warszawy, więc będzie miał okazję, aby znowu wskazać winnego i usprawiedliwiać odstępstwa od „Planu z Łysego".

Ideowe uzasadnienie tej operacji przedstawił minister Telus: „Unia ma swoje prawa, ale interes polskich rolników jest ważniejszy". Przypomina to inne historyczne zdanie, wypowiedziane w 2015 r. u zarania obecnych rządów PiS przez marszałka seniora Kornela Morawieckiego: „Prawo jest ważną rzeczą, ale prawo to nie świętość! Nad prawem jest dobro narodu!", którego wyrazicielem jest, oczywiście, „obóz patriotyczny". To czysta definicja autorytaryzmu, władzy stojącej ponad prawem i odpowiedzialnością, woluntarystycznej, bezkarnej. Jak ten system działa w praktyce, widzimy codziennie: teraz w sposobie zarządzania kryzysem zbożowym w eskalowaniu konfliktu z Unią, w doprowadzeniu do kompletnego chaosu w systemie sądownictwa (co opisuje Ewa Siedlecka w art. „Wymiar śmieszności", s. 25) czy powołaniu kuriozalnego politycznego sądu kapturowego, nazwanego komisją do badania „rosyjskich wpływów" (s. 7). Ale i inne tematy tego tygodnia są o tym samym: o bezprawiu, o rozpychającej się w każdym miejscu państwa partyjnej oligarchii. Ochrona złodziei, którzy wykonali skok na kasę NCBiR (s. 40); cztery miliony złotych podarowane przez premiera Pawłowi Kukizowi w jawnym geście politycznej korupcji; nawet sprawa hospitalizacji męża marszałek Elżbiety Witek – wszędzie mamy jakieś decyzje podejmowane w interesie ludzi władzy, z lekceważeniem prawa, pomijaniem procedur, po uważaniu. Kiedyś – niechcący, ale precyzyjnie – prezes PiS zdefiniował swój sposób pojmowania i sprawowania władzy: bez żadnego trybu. Już ósmy rok takie oto mamy motto.

# Kiełbasa za zboże

Rozporządzeniem ministra Waldemara Budy Polska zamknęła nasze, a więc unijne, granice przed ukraińską żywnością. To samo zrobiły Węgry. Zakaz obejmuje nie tylko zboże, ale też m.in. drób, jajka, owoce, a nawet miód. Ma to pomóc PiS odzyskać poparcie na wsi. **Jarosław Kaczyński** wściekłość rolników, którzy nie mogą drogo sprzedać zboża, zasypie pieniędzmi podatników. Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych skupi od nich pszenicę po cenie nie niższej niż 1,4 tys. zł za tonę, mimo że obecna cena rynkowa wynosi ok. 900 zł. Jest niższa niż od razu po żniwach, bo spadły także ceny światowe. PiS da więcej. Różnicę pokryje budżet. Mało tego – rząd wyrówna straty nawet tym rolnikom, którzy swoje zboże już sprzedali za niższą cenę. Otwiera się nowe pole do przekrętów.

Decyzje Brukseli, która zdecydowała, że przedłuża o kolejny rok możliwość bezcłowego wjazdu do UE ukraińskiej żywności, mało prezesa obchodzą. Kaczyński stwierdził, że rozporządzenie rządu polskiego nie tylko jest ważniejsze od unijnego prawa, ale jest też w interesie… Ukrainy. Bo jeśli PiS przegra wybory, nowa władza z pewnością Ukrainie pomagać nie będzie. Na niedzielnej konwencji w Łysych koło Ostrołęki padło też dużo innych finansowych obietnic, których celem jest ułagodzenie rolników oraz przykrycie afery zbożowej.

Producenci zboża nie bardzo wierzą, aby obietnice prezesa zostały spełnione. Fakt, trudno w to uwierzyć. Nie z powodu wielkich kosztów finansowych ani obawy, że wypuszczenie na rynek kolejnych sum pustych pieniędzy przyspieszy tempo inflacji – tym PiS się nie przejmuje. Zakaz wjazdu ukraińskiej żywności, jeśli nawet polskie granice zostaną dla niej zamknięte, po prostu nie może być skuteczny. Inne kraje UE raczej nadal zezwolą na jej wjazd, zgodnie z dyspozycją Brukseli. Więc zboże czy miód, nie tylko ukraińskie, mogą przyjechać do Polski, przekraczając granice np. ze Słowacją. Wyższa niż rynkowa cena skupu zboża w Polsce skusi też wielu pośredników. Więc może zamkniemy wszystkie granice?

Polscy rolnicy korzystają z dużych pieniędzy w ramach Wspólnej Polityki Rolnej – to przecież nie tylko dopłaty do hektara. PiS z unijnych pieniędzy rezygnować nie zamierza. Ale hojna tarcza dla polskich rolników ma być sfinansowana z polskiego budżetu, poza WPR. To oznacza, że nasi rolnicy otrzymają za zboże więcej niż ci z Francji, Niemiec czy Portugalii. To wewnątrzunijna nieuczciwa konkurencja, na którą Komisja Europejska zgodzić się nie musi. Polska polityka rolna łamie bowiem zasady WPR.

Tarcza Kaczyńskiego dla wsi musi budzić zdumienie w Brukseli, ale w Polsce rozwiązuje kilka istotnych problemów władzy. PiS może odzyskać głosy rolników, a reszta Polaków zapomni o tym, dlaczego afera zbożowa PiS wybuchła właśnie u nas. Czyli o tym, że to polski rząd zdecydował, że ukraińskie zboże ma wjeżdżać do naszego kraju bez żadnych badań jego jakości – w tym celu wymyślił nawet nieistniejące określenie „zboże techniczne". Tropy są wyraźne – na tanim zbożu zarobiły duże, zaprzyjaźnione z partią rządzącą, firmy handlujące ukraińskim zbożem, produkujące pasze i hodujące drób, nawet państwowy Elewarr. Patrząc na wyższe o 30 proc. ceny pieczywa i drobiu, nie widać, żeby podzieliły się zyskiem z konsumentami. Teraz konsumenci zapłacą jeszcze raz.

JOANNA SOLSKA

# Komisją w Tuska

Zmiany w prawie wyborczym, wyłączenie z naziemnego odbioru telewizyjnych i radiowych prywatnych stacji, obsadzenie neosędziami funkcji komisarzy wyborczych PiS oraz Izby Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego decydującej o ważności wyborów, nominacje PiS do Państwowej Komisji Wyborczej. Do tego władza dorzuca ustawę, która pozwoli tuż przed wyborami zohydzać opozycję: m.in. przeciekami z – legalnych czy nie – materiałów operacyjnych. Nadchodzące wybory nie będą ani równe, ani uczciwe. Sama zaś ustawa „o Państwowej Komisji ds. badania wpływów rosyjskich…" jest totalną i niekonstytucyjną hucpą.

Ustawa – jeśli prezydent nie pośle jej do Trybunału Julii Przyłębskiej – zapewne wejdzie w życie i będzie wunderwaffe w kampanii. Zamiast straszenia migrantami i „genderem", zamiast prezentów socjalnych, na które nawet PiS już mniej stać, rządzący odgrzeją narrację o „winie Tuska". Będzie to nie tylko serial przesłuchań (czy raczej grillowania) polityków opozycji – PiS może też użyć komisji do upublicznienia materiałów operacyjnych zbieranych na przeciwników politycznych. Prawdziwych lub zmanipulowanych (jak słynna reklamówka z Biedronki z milionami dla Michała Tuska).

Ustawa, którą przyjął Sejm, tworzy ciało wszechmogące i – w sensie ścisłym – nieodpowiedzialne (art. 13: „Członkowie Komisji nie mogą być pociągnięci do odpowiedzialności"). Organ ten jest hybrydą komisji reprywatyzacyjnej, sejmowych komisji śledczych, zespołów smoleńskich Antoniego Macierewicza i jego komisji: Weryfikacyjnej i Likwidacyjnej ABW. To ich udoskonalona wersja: prokurator, sąd i kat w jednej osobie. Samo istnienie takiej hybrydy jest niekonstytucyjne, nie mówiąc o złamaniu konstytucyjnego nakazu, by skazywać mógł tylko sąd, oraz konstytucyjnego prawa do odwołania.

Komisja, w składzie w pełni kontrolowanym przez władzę, może żądać od wszystkich instytucji – na czele z organami ścigania i służbami specjalnymi – a także od przedsiębiorstw akt i innych dokumentów (także objętych tajemnicą państwową czy tajemnicą przedsiębiorstwa). Może też przesłuchiwać dziennikarzy, lekarzy, adwokatów, radców prawnych, notariuszy na okoliczności chronione tajemnicą zawodową. I może wymierzać karę w postaci „środków zaradczych", w tym zakazać pełnienia funkcji publicznych związanych z dysponowaniem środkami publicznymi, a więc m.in. zasiadania w rządzie i parlamencie. Ukarany „środkiem zaradczym" nie może się od tej kary odwołać. A za niestawienie się przed komisją – grzywna 20 lub 50 tys. zł.

Władza i nieodpowiedzialność, obok drapieżnego wręcz zawłaszczania publicznych pieniędzy to znak firmowy władzy PiS.

EWA SIEDLECKA

© MICHAŁ KOŚĆ / FORUM, JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

TYDZIEŃ W POLITYCE

# Wiara czyni zwycięzcę

**Marek Migalski**

Politolog, publicysta, prof. UŚ. Kiedyś polityk, a ostatnio wykładowca i pisarz.

W prognozowaniu wyników wyborów parlamentarnych o wiele lepszym narzędziem niż sondaże preferencji partyjnych są badania ukazujące przekonanie ludzi o tym, kto zwycięży, a kto zostanie pokonany. Dlaczego? Bo to samospełniająca się przepowiednia. Nie pytamy tylko o to, jakie poglądy mają wyborcy na dziś, ale de facto uzyskujemy wiedzę o tym, na kogo mogą zagłosować w dniu elekcji. Dzieje się tak z powodu głęboko wkodowanej w naszą naturę chęci przyłączania się do silniejszego. Taka postawa we wczesnych społecznościach ludzkich, ale także wśród innych prymatów, którzy byli naszymi poprzednikami, była ewolucyjnie opłacalna. Warto było być po stronie zwycięzcy w boju o przywództwo w stadzie i zarazem nie opłacało się popierać potencjalnego przegranego.

W politologii ma to ciekawe i zabawne konsekwencje. Ciekawe, bo po każdych wyborach partia zwycięska zyskuje na popularności, a zabawne, bo gdy pytamy respondentów, na kogo zagłosowali dwa, trzy miesiące wcześniej, to także notujemy wzrost wskazań na ugrupowanie sprawujące właśnie władzę. Ludzie „nie pamiętają", że poparli „loserów", natomiast „przypominają sobie", że zagłosowali na wygranych.

Jeśli natomiast patrzymy w przyszłość, a nie w przeszłość, to politologiczną zasadą jest ta, którą sformułowałem na początku – wygrywają ci, o których ludzie myślą, że wygrają, i którzy sami tak o sobie mniemają na kilka tygodni przed elekcją. Kampania wyborcza wzmacnia efekt przyłączania się do potencjalnych zwycięzców i odpływu od potencjalnych „przegrywów".

Piszę o tym dlatego, że w ostatnim czasie coraz więcej sondaży wskazywało, iż większość elektoratu jest przekonana, że jesienne wybory wygra PiS i pozostanie u władzy. Jest to pewna zmiana wobec opinii sprzed kilku miesięcy, kiedy to co prawda powszechne było mniemanie, że partia Jarosława Kaczyńskiego pierwsza dobiegnie do mety, ale jednak uważano, że będzie musiała przejść do opozycji, bo nowy rząd zostanie sformowany przez jej dzisiejszych oponentów. To bardzo niepokojący trend dla Donalda Tuska i innych liderów antyPiSu. Bez przywrócenia nadziei na sukces wyborczy i bez natchnięcia wyborców opozycji wiarą w możliwość pokonania Zjednoczonej Prawicy trzecia kadencja PiS wydaje się bardziej niż prawdopodobna. Przez pewien czas udawało się przewodniczącemu PO, ale także szefom PSL, PL 2050 czy Lewicy, przekonywać swych zwolenników do tego, że koniec rządów Kaczyńskiego jest możliwy. Coś jednak się w tym procesie zacięło i większą nadzieję na sukces mają obecnie wyborcy władzy. Przyczyn tej zmiany upatrywałbym przede wszystkim w gorszących kłótniach i wzajemnych połajankach, które zafundowali sobie (i nam) liderzy antyPiSu, a które zastąpiły oczywiste i naturalne różnice zdań.

Jeśli zatem Tusk, Kosiniak-Kamysz, Czarzasty i Hołownia na poważnie myślą o przejęciu władzy, to – prócz oczywistego zaprzestania wzajemnych ataków – muszą skutecznie odegrać rolę coachów personalnych i psychoterapeutów, którzy przekonają swoich wyborców, że idą po zwycięstwo i że są go pewni. Tak rozumiem pomysł marszu 4 czerwca zaproponowanego przez przewodniczącego PO. Ale tego typu działań musi być więcej, jeśli liderzy opozycji… nie chcą nadal być nimi po jesiennej elekcji.

Wygrywają ci, którzy sami widzą się w roli wygranych oraz których tak postrzegają inni. Brzmi to jak z podręcznika taniego akwizytora, ale reguła ta sprawdza się w polityce. Wyglądaj jak zwycięzca, zachowuj się jak zwycięzca, przekonaj innych, że zwyciężysz, a naprawdę wygrasz.

# In vitro to HIT

Zbiórka na pozwanie ministra edukacji Przemysława Czarnka, autora podręcznika do HiT-u Wojciecha Roszkowskiego, a także wydawnictwa Biały Kruk, przeszła najśmielsze oczekiwania **Kamila Mieszczankowskiego**, znanego w mediach społecznościowych jako Bezczelny Lewak. Z założonych 30 tys. zł udało się zebrać o 300 tys. więcej, dlatego autor zbiórki postanowił przeznaczyć większość zebranej kwoty na sfinansowanie leczenia niepłodności metodą in vitro. – *To jest najpiękniejsza odpowiedź na tę obłąkaną krucjatę, której jesteśmy świadkami* – mówi.

Przypomnijmy: w podręczniku do nowego przedmiotu historia i teraźniejszość znalazły się fragmenty na temat in vitro (m.in. jest mowa o sferze płodności jako „produkcji ludzi, można powiedzieć hodowli") oraz dzieci poczętych dzięki tej metodzie. To także doświadczenie Mieszczankowskiego. Przez wiele lat wraz z żoną starali się o dziecko, a udało się dzięki procedurze IVF. „Nie pozwolę, żeby w publicznej szkole moja córka była wytykana palcami jako obiekt eksperymentów i dziecko niekochane przez rodziców, dlatego zrobię wszystko, żeby zanim trafi do szkoły, ten podręcznik był już odległą przeszłością i niechlubnym świadectwem czasów, w jakich przyszło nam wszystkim żyć" – zapowiadał w sierpniu 2022 r., uruchamiając zrzutkę na pozew.

Program „In vitro to HIT" będzie pierwszym w kraju społecznym programem darmowego zabiegu in vitro dla bezpłodnych par w Polsce. Z programu będą mogły skorzystać osoby, których nie stać na te kosztowne zabiegi, mieszkający poza gminami i miastami prowadzącymi programy wsparcia leczenia niepłodności. Sto par otrzyma wsparcie w wysokości 2,5 tys. zł na jeden zabieg, a resztę kosztów pokryje 19 klinik leczenia niepłodności biorących udział w programie. Szacuje się, że wsparcia w leczeniu niepłodności potrzebuje co piąta para w Polsce.

Jeszcze wisienka na HiT-owym torcie: procesy cywilne o ochronę dóbr osobistych, które wytoczył Kamil Mieszczankowski za podręcznik Roszkowskiego, jeszcze się nie rozpoczęły, ale już wiadomo, że w Krakowie, gdzie będą się toczyć dwa z nich, sprawę poprowadzi wybrany w wyniku losowania sędzia Waldemar Żurek, którego Sąd Okręgowy w Katowicach nakazał przywrócić do pracy. Wiadomo także, że Roszkowski złożył wniosek o zbadanie, czy Żurek spełnia wymogi niezawisłości i bezstronności. Do tej pory sprzedano ponad 70 tys. egzemplarzy nowego, promowanego przez MEiN, podręcznika do HiT. Jego autor wciąż twierdzi, że niczego w swojej książce by nie zmienił. (AGSZCZ)

© BEZCZELNY LEWAK/FACEBOOK, JACEK LAGOWSKI/FORUM

# Muzeum Getta Warszawskiego: w organizacji

Mija właśnie pięć lat, od kiedy minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński zapowiedział powstanie Muzeum Getta Warszawskiego. Miało być otwarte w tym roku. Jednak muzeum ma nadal status „w organizacji", a jego inauguracja zapowiadana jest na 2026 r.

Wszystko zaczęło się od **budynku Sienna 60/Śliska 51**. To jeden z nielicznych zachowanych obiektów kultury materialnej Żydów warszawskich. To na tej działce rodziny filantropów Bersohnów i Baumanów wybudowały w latach 1876–78 szpital dla dzieci żydowskich. Tuż po drugiej wojnie, przez 5 lat, budynek był siedzibą Centralnego Komitetu Żydów. Przywrócony jako szpital funkcjonował do końca XX w., ale gdy opustoszał – miał zostać wystawiony na sprzedaż. Wówczas prof. Paweł Śpiewak rzucił myśl, by w tym budynku-pomniku stworzyć muzeum getta warszawskiego. Minister Gliński zobowiązał się, że jego resort przeznaczy 30 mln zł na wykupienie budynku.

Powołanie muzeum wywołało wiele kontrowersji. Po pierwsze dlatego, że było postrzegane jako przeciwwaga dla Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Zaniepokojenie wśród historyków wzbudziła także deklaracja Glińskiego, że Muzeum Getta Warszawskiego stanie się „muzeum miłości polsko-żydowskiej". Rodziło to obawy, że jego ekspozycja wybiórczo potraktuje fakty. Po drugie, powstanie Muzeum Getta Warszawskiego zostało ogłoszone w czasie bardzo poważnego kryzysu w stosunkach Polski z Izraelem, wywołanym nowelizacją ustawy o IPN, która przewidywała karę grzywny lub więzienia za przypisywanie narodowi polskiemu współodpowiedzialności za zbrodnie III Rzeszy. Wiązało się to z atakami historyków z IPN na badaczy Holokaustu, m.in. na prof. Barbarę Engelking i prof. Jana Grabowskiego. Gdy Muzeum Getta Warszawskiego zapowiedziało umowę o współpracy z IPN, z prac na rzecz muzeum wycofał się wybitny historyk Holokaustu prof. Omer Bartov.

Z czasem sytuacja się unormowała. Dyrektorowi Albertowi Stankowskiemu udało się pozyskać współpracę prof. Daniela Blatmana z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, który objął stanowisko głównego historyka wystawy stałej. Zastępcą dyrektora ds. naukowych i wystawienniczych mianowana została wieloletnia szefowa Zachęty Hanna Wróblewska. Przewodniczącą Rady Muzeum jest przewodnicząca Związku Ocalałych w Izraelu Colette Avital.

Władze Muzeum Getta Warszawskiego opóźnienie w otwarciu tłumaczą ograniczeniami związanymi z pandemią. Dopiero w 2021 r. wyłoniona została firma projektowa, a obecnie trwa przetarg na realizację prac budowlanych i konserwatorskich oraz realizację wystawy stałej. Na razie muzeum organizuje wystawy wirtualne i plenerowe, a wystawa „Pamięć 1943" przygotowana na 80. rocznicę wybuchu powstania w getcie eksponowana jest w galerii Kordegarda. Ważnym osiągnięciem muzeum są prace archeologiczne wykonane w kamienicach przylegających do bunkra komendy ŻOB przy ul. Miłej. Wydobyto tam ok. 3 tys. przedmiotów codziennego użytku.

Pierwszą dotację finansową – w wysokości ponad 6 mln zł – muzeum otrzymało z Ministerstwa Kultury w 2019 r. W kolejnych latach sumy grantów kształtowały się podobnie. W tym roku dotacja ministerialna osiągnęła rekordową sumę – ponad 19 mln zł. (J. POD.)

REKLAMA

## Pobór przez internet

W ekspresowym tempie i z zaskoczenia rosyjska Duma zmieniła zasady poboru do wojska. Do tej pory komisja dostarczała wezwania osobiście, na adres domowy lub w miejscu pracy, co dawało szansę, żeby się jakoś przed takim dokumentem ukryć. Teraz całą procedurę przeniesiono do internetu, na platformę GosUslugi, rodzaj naszego mObywatela. Za jej pośrednictwem, unikając mitręgi w urzędach, załatwia się wiele spraw, od wyrobienia dowodu osobistego i prawa jazdy, po umówienie wizyty u lekarza. Korzysta z niej prawie każdy Rosjanin. A teraz dodatkowo nikt nie będzie mógł jej porzucić, bo nagle zlikwidowano taką opcję; pewnie z tego powodu, że ma obecnie służyć także do wzywania zainteresowanych do komisji poborowych. Uznawać się będzie takie elektroniczne powiadomienie za oficjalnie doręczony dokument, ze wszystkimi tego konsekwencjami w postaci kary do 10 lat więzienia dla uchylających się od poboru (ostatnio sądy wojskowe stosują tu górne widełki). Takie wezwanie automatycznie blokuje też możliwość wyjazdu z kraju, a to była kolejna furtka umożliwiająca uniknięcie poboru.

Kiedy we wrześniu Putin ogłosił 300-tysięczną „częściową mobilizację", przynajmniej drugie tyle młodych Rosjan schroniło się za granicą. Tamta operacja nigdy nie została oficjalnie zakończona; czy nowy uszczelniony system to przygotowanie do kolejnej branki? Ujawnione dane (patrz: artykuł obok), dotyczące rosyjskich strat w Ukrainie – przynajmniej 43 tys. zabitych i 180 tys. rannych – na taką konieczność jasno wskazują. Władze rzecz jasna dementują, chodzi o „uporządkowanie bałaganu". A całość zmian zostanie przetestowana podczas tegorocznego wiosennego poboru do armii, obejmującego 147 tys. osób (górny wiek poborowych podwyższono właśnie z 27 do 30 lat). Poborowi, według zapewnień ministerstwa obrony, nie są kierowani na front, choć były już takie precedensy.

A co teraz będzie z refuznikami, odmawiającymi służby? Poza paszportem stracą prawo jazdy, nie będą mogli sprzedać ani kupić nieruchomości, zarejestrować biznesu i czeka ich wiele innych administracyjnych szykan. Nowa ustawa nakłada na szereg instytucji, między innymi wyższe uczelnie i szpitale, obowiązek przekazywania władzom wojskowym wszelkich informacji o ich miejscu pobytu. Na platformie Helpdesk, która zamieszczała przydatne porady, jak uniknąć wcielenia do armii, panuje teraz twórcze ożywienie, jak wybrnąć z tej sytuacji. Będzie ciężko, ale jakoś się da, bo w Rosji na wszystko jest sposób.

## Pierwsza porażka Zachodu

Ten wyciek tajnych dokumentów może kosztować życie ukraińskich żołnierzy, utrudnić planowane operacje i mocno obniża zaufanie sojuszników do USA. System zachodniego wsparcia Ukrainy potknął się o przeszkodę, z której istnienia mógł sobie zdawać sprawę. Milion Amerykanów, jeden na trzystu obywateli, ma poświadczenie dostępu do tajnych dokumentów różnej rangi. Urzędnicza machina nie jest w stanie sprawdzać respektowania procedur, a te nie wytrzymały nieodpowiedzialności i lekkomyślności – o ile tylko one stały za wyciekiem. Setki stron dokumentów na temat wojny w Ukrainie i roli w niej amerykańskich sojuszników wpadły w rosyjskie ręce tylko dlatego, że pewien młody człowiek chciał zrobić wrażenie na kolegach. A konkretnie 21-letni Jack Teixeira, żołnierz gwardii narodowej sił powietrznych stanu Massachusetts w stopniu starszego lotnika, odpowiedniku polskiego kaprala. Jego nazwisko przejdzie do historii obok okrytych złą sławą Edwarda Snowdena i Bradleya Manninga (później zmienił płeć i imię na Chelsea), których motywacje były inne, ale miejsce w obiegu dokumentów podobnie niskie. W odróżnieniu od nich Teixeira nie był „merytorycznym" człowiekiem służb, a technikiem od sieci komputerowej. Do wojska wstąpił po technikum, niecałe dwa lata temu, jak kazała rodzinna tradycja. Zamiłowanie do komputerów zaprowadziło go do sekcji wsparcia technicznego w 102. skrzydle wywiadowczym w Otis. Jednostka „dostarcza precyzyjnego wywiadu oraz wsparcia dowodzenia i kierowania dzięki wyszkolonym i doświadczonym lotnikom na potrzeby ekspedycyjnych misji wsparcia bojowego i bezpieczeństwa wewnętrznego". W praktyce chodzi o zwiadowcze loty dronów i samolotów rozpoznawczych.

Jack miał dostęp do tajnej sieci i najwyższe poświadczenia bezpieczeństwa, dające mu wgląd w materiały wojska i 17 służb wywiadowczych USA. Chciał na Discordzie (to miejsce w internecie, gdzie przesiadują nastolatki ze słuchawkami na uszach) pokazać, jak ważną ma pracę. Najpierw cytował, potem zaczął wrzucać zdjęcia dokumentów, które drukował, chował do kieszeni i wynosił z bazy. Koledzy z Discorda wspominają, że miał żal, gdy rewelacje nie budziły podziwu. Mówią o poczuciu wyjątkowości, jakie dawała mu tajna wiedza. Nie zdradzał jednak prorosyjskich, antyukraińskich czy antyrządowych poglądów – przeciwnie, ważna dla niego – podobnie jak dla wielu innych Amerykanów – była religia, patriotyzm i kult broni. Gdy na początku kwietnia dokumenty trafiły do szerokiego obiegu, a tożsamość „OG" została ujawniona po dziennikarskim śledztwie, Jack miał się przerazić i schować w rodzinnym domu. Nie oznacza to, że nie był dobrze zainstalowaną wtyczką. Ale z tego, co do tej pory wiadomo, ta historia to dramat psychologiczny, a nie szpiegowski. Choć skutki wycieku to polityczny thriller.

Od opisu i oceny sytuacji na polu walki, przez harmonogram i stopień realizacji zachodnich dostaw uzbrojenia i amunicji, po stan wyekwipowania i kalendarz szkolenia ukraińskich brygad przeznaczonych do przyszłej kontrofensywy – ujawnione na Discordzie dokumenty to kopalnia wywiadowczych diamentów. Do tego codziennie aktualizowana rozpiska aktywności wojsk USA i sojuszniczych w Europie na lądzie, morzu i w powietrzu, która upubliczniła także skrywany fakt pobytu niemal setki żołnierzy wojsk sił specjalnych na terytorium Ukrainy. Poza materiałami ściśle wojskowymi, głównie z zakresu logistyki i rozpoznania, w dokumentach pojawiają się też oceny wywiadowcze relacji USA ze zdystansowanymi do wojny sojusznikami, jak Korea Południowa czy Izrael, których Ameryka usiłuje przekonać do większej pomocy Ukrainie. Wisienką na torcie są sprawozdania z podsłuchów realizowanych w samej Rosji pokazujące, gdzie Ameryka przykłada swoje elektroniczne ucho.

© EPA/PAP, MP, SANTI PALACIOS/AP/EAST NEWS

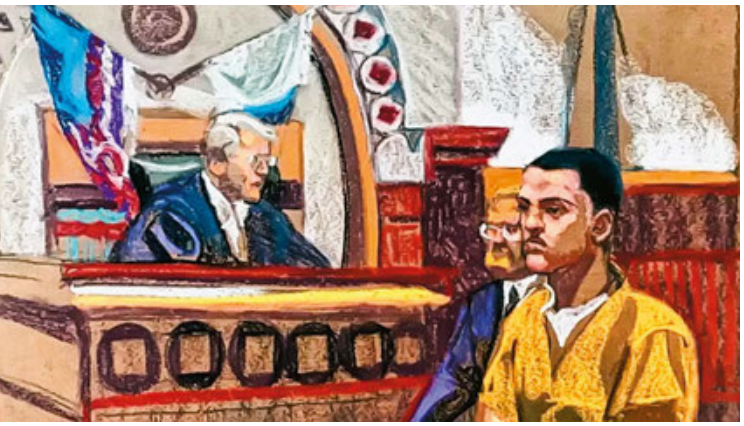

**21-letni Jack Teixeira przed sądem federalnym w Bostonie.**

Na niektórych slajdach można zobaczyć umiejscowienie sztabów dowodzenia ukraińskich jednostek i rejony ich odpowiedzialności na froncie. Wskazują, które brygady przewidziane są i przygotowywane do kontrofensywy. Wyliczają, do której jednostki i kiedy trafi jaki sprzęt z Zachodu oraz ile czasu zajmie jeszcze szkolenie żołnierzy. Kolejne mówią, kiedy w ocenie USA skończą się Ukrainie pociski przeciwlotnicze do najpowszechniej wykorzystywanych systemów obrony powietrznej, rodzimych i dostarczanych z Zachodu. Ta ostatnia tabela najbardziej dobitnie wyjaśnia, dlaczego apele o broń przeciwlotniczą były i są na pierwszym miejscu ukraińskich próśb o pomoc. Gdy po jej ujawnieniu rosyjskie rakiety spadły na Słowiańsk, zabijając kilkunastu cywilów, był to dowód, że kryzys może nadejść przed przewidywanym przez Amerykanów załamaniem w maju. Podane liczby pokazują, że nawet spodziewane właśnie teraz dostawy Patriotów nie wypełnią luki, a przewidywane zużycie arcydrogich amerykańskich pocisków przechwytujących może być trudne do zaspokojenia na bieżąco. Jeśli szacunki USA się potwierdzą, w maju zamiast kontrofensywy Ukrainę czekać może intensyfikacja rosyjskich nalotów i bombardowań, przed którymi nie będzie jak się bronić. Przy tym generalna ocena zdolności ofensywnych ukraińskiej armii odbiega od optymizmu polityków, choć koresponduje ze słowami szefa połączonych sztabów gen. Marka Milleya (który mógł się opierać na ujawnionych materiałach), że wyparcie Rosjan z całego okupowanego terytorium będzie bardzo trudne, a Ukraińcy mogą liczyć jedynie na umiarkowane sukcesy terytorialne.

Wedle papierów z Discorda armia rosyjska też traci siły. Spetsnaz został zdziesiątkowany – trzy elitarne brygady miały doświadczyć strat na poziomie 90 proc. Do utraty zdolności bojowych na okupowanych terenach wschodniej Ukrainy miało przyznawać się samo rosyjskie dowództwo, w przechwyconych przez USA komunikatach. Dzięki podsłuchom Amerykanie byli w stanie ostrzegać Kijów o planach Rosji. Jeden opisany przypadek dotyczy przygotowywanego i najprawdopodobniej nieudanego ataku na ukraiński skład amunicji dronowej pod Odessą. Sytuacja na froncie i w relacjach politycznych skłania Narodową Dyrekcję Wywiadu do konkluzji, że w 2023 r. żadnych rozmów pokojowych oczekiwać nie należy, a wojna zmierza ku zastojowi. Oferowane wojskowym codzienne briefingi CIA wykraczają czasem daleko poza sytuację frontową. Wiadomo z nich np., że Chiny są w posiadaniu głowicy hipersonicznej niebezpiecznej dla USA, że zdolności obronne Tajwanu przeciw chińskiej agresji są znikome i że Egipt knuł z Rosją, jak za plecami Zachodu dostarczyć jej 40 tys. pocisków rakietowych.

Poza otrzymaniem wysokokalorycznej pożywki dla własnego kontrwywiadu, Rosjanie dostrzegli w przecieku okazję do dezinformacji. Stąd na Telegramie pojawiły się skany z odwróconą liczbą zabitych, z których wynikało, że Ukraińców zginęło wielokrotnie więcej niż Rosjan. Sztuczkę szybko wykryto. Amerykańskie władze przyznają jednak milcząco, że co do zasady plansze pochodzą głównie z szefostwa połączonych sztabów, trafiły do sieci jako oryginały i zawierają autentyczne raporty dla dowódców. Na tym polega największa szkodliwość tego wycieku. Choć nie ma dziesiątków tysięcy stron, jakie wynieśli Manning czy Snowden, to dotyczy sytuacji bardzo aktualnej. Nawet jeśli ujawnione dane i plany USA oraz sojuszników pochodzą sprzed kilku tygodni, to wiele z nich jest aktualnych. A ponieważ nic nie wskazuje, by amerykańskie służby wiedziały o wycieku, zanim się pojawił, reagować mogą dopiero teraz. Trwająca wojna może przytłumić oburzenie, ale obawy będą słuszne.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

# Płyną!

Włochy wprowadziły półroczny stan wyjątkowy. To odpowiedź na wzrost liczby migrantów płynących z południa. Premierka Giorgia Meloni szuka prostszych i szybszych procedur na wydalanie przybyszów do krajów ich pochodzenia. Z pogwałceniem, przestrzega włoska opozycja, praw i zasad humanitaryzmu. Obecnie ruch na Morzu Śródziemnym jest czterokrotnie większy niż w początkach dwóch poprzednich lat. Najwyższa od sześciu lat jest też liczba utonięć. Są dni, gdy włoska straż przybrzeżna dociera do kilku łodzi wiozących w sumie ponad tysiąc pasażerów.

Meloni urzęduje od końca października. W kampanii składała obietnice surowego ograniczenia migracji i już w listopadzie jej rząd zamknął południowowłoskie porty dla statków organizacji, które prowadzą niezależne akcje ratunkowe, zmuszając je do zawijania do portów na północy, co wydłuża okres powrotów na poszukiwania. Tymczasem z rządowych prognoz wynika, że w tym roku do Włoch spróbuje w sumie przedostać się od 700 do 900 tys. osób, co jest poziomem porównywalnym z rekordowym 2015 r. Migranci pochodzą przeważnie z Afryki i Azji, a na pokłady kutrów i łodzi wsiadają przede wszystkim w Tunezji, będącej tradycyjnym ogniwem śródziemnomorskiego szlaku migracyjnego.

Jednak sytuacja w Tunezji się zmienia. Od tygodni przebywający tam cudzoziemcy padają ofiarami prześladowań ze strony sił porządkowych, bandyckich napadów, siłowych eksmisji i szykan biurokratycznych, bez powodu aresztowani bywają np. zagraniczni studenci. Atmosferę powszechniejącego rasizmu podsyca autorytarny prezydent Kais Saied. Jego zdaniem „fale nielegalnej migracji" są częścią przestępczego planu zmiany struktury demograficznej Tunezji w taki sposób, by czarnoskórzy z południa zastąpili ludność arabską i islamską. Wskazując kozła ofiarnego, Saied próbuje prawdopodobnie odwrócić uwagę od wielu nakładających się na siebie kryzysów, w tym wysokiego bezrobocia i drożyzny. Pogarszające się warunki życia wypychają na morze także samych Tunezyjczyków.

Powstanie w getcie; niemieccy żołnierze opanowują jeden z bunkrów, w których ukrywali się mieszkańcy i żydowscy powstańcy – propagandowe zdjęcie niemieckie z Raportu Jürgena Stroopa.

# Dlaczego tak późno?

Powstanie w warszawskim getcie wybuchło dopiero wtedy, kiedy większość blisko półmilionowego żydowskiego miasta już nie żyła, została zgładzona.

MARIAN TURSKI

W dyskursie publicznym, w intencji poszukiwania prawdy historycznej padają stwierdzenia: skoro wiadomo było, że Żydzi zostali skazani przez Adolfa Hitlera na zagładę, czemu wcześniej nie powstali? Czemu przedtem nie próbował każdy Żyd – choćby nożem, tasakiem, kamieniem – zabić lub zranić jakiegoś Niemca?

Dzisiaj wiemy, jak historia się dokonała. Ale musimy spojrzeć na wydarzenia oczami ówcześnie żyjących. Co oni wiedzieli? W jakim stanie – ciała i ducha – mogli podejmować decyzje?

Nie byłem w getcie warszawskim, ale – uwięziony w getcie łódzkim – byłem jakby jednym z nich. Mogliśmy mieć podobny sposób myślenia. Oczywiście od pierwszej chwili okupacji niemieckiej zdawaliśmy sobie sprawę, że wisi nad nami wyrok śmierci. Ale wszystko na to wskazywało, że to wyrok rozłożony w czasie.

O tym, że zagłada nastąpi w pewnym momencie, w sposób tak szybki i gwałtowny – tego sami Niemcy nie wiedzieli. Po słynnej „nocy kryształowej” (*Kristallnacht*, z 9 na 10 listopada 1938 r.) jeden z głównych współtwórców, ale przede wszystkim realizatorów zagłady Żydów, Reinhard Heydrich, napisał w notatce wewnętrznej, że „proces pozbywania się Żydów potrwa 10 lat”. Gdyby tak się stało, byłby to rok 1948.

© EAST NEWS (2)

**Kiedy wiadomości o masowych mordach dotarły do getta warszawskiego?** Kierownictwo Ha-Szomer ha-Cair, skautowej organizacji syjonistycznej, było w kontakcie z Szarymi Szeregami, m.in. z Aleksandrem Kamińskim. Irena Adamowicz, łączniczka z gettem warszawskim, zleciła Henrykowi Grabowskiemu wyjazd do Wilna w celu sprawdzenia, na ile prawdziwe są doniesienia o masowych egzekucjach w podwileńskich Ponarach. Grabowski wrócił i spotkał się z Icchakiem Cukiermanem, ps. Antek, jednym z przywódców młodych syjonistów.

Ze wspomnień Cukiermana: „Byłem zaszokowany wiadomościami o Ponarach. Nie wiedziałem, co ze sobą począć. (…) Świadomość, że Ponary to śmierć, zwaliła mnie z nóg. Wiele razy miałem to już na końcu języka. Ale tej nocy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że to totalna śmierć. Było to w listopadzie 1941 r.". Ta wiadomość będzie miała wpływ na postawę Cukiermana, gdy siedem miesięcy później, w lipcu 1942 r., przywódcy żydowscy w getcie warszawskim będą zastanawiać się nad tym, jak postępować w nowej sytuacji.

Docierają więc do getta pogłoski, plotki, wieści o masakrach, egzekucjach i mordach na wschodzie. Mamy na to dowody w diariuszach i we wspomnieniach, zostały odnotowane w konspiracyjnym Podziemnym Archiwum Getta Warszawskiego, dziś powszechnie znanym na świecie jako Archiwum Ringelbluma. Przełomową – chciałoby się tak rzec – rolę odegrał naoczny świadek z miejsca zbrodni. Nazywał się prawdopodobnie Szlomo Fajner, przez część historyków identyfikowany jako Szlomo Ber Winer. Był młodym mężczyzną z Izbicy Kujawskiej, którego wraz z innymi 19 Żydami Niemcy zwerbowali do pracy. Okazało się, że mieli pełnić funkcję grabarzy pierwszych ofiar obozu zagłady Kulmhof w Chełmnie nad Nerem. Szlamkowi udało się zbiec.

Po wielu perypetiach znalazł się w getcie warszawskim. Tu wyrobiono mu dokumenty na nazwisko Jakuba Grojanowskiego. Przesłuchał go Hersz Wasser, jeden ze współtwórców Archiwum Ringelbluma. Obszerne zeznanie Szlamka opublikowano w żydowskiej prasie konspiracyjnej w lutym 1942 r.

Jednak nie było telewizji, radia, wydawnictw! Prasa konspiracyjna – w kilkuset egzemplarzach. Kto znał, kto wiedział? Wiedziała elita, która próbowała tę wiedzę rozpowszechniać. Jednak ludzie nie mogli, nie chcieli w to uwierzyć. Czy w Europie ówczesnej ktoś mógł sobie wyobrazić wymordowanie całego narodu? Kiedy podziemny Bund przesłał kanałami Delegatury Polskiego Państwa Podziemnego w 1942 r. informację o kilkuset tysiącach wymordowanych Żydach polskich – w kręgach uchodźców polskich w Londynie, wśród najbardziej przyzwoitych i zasłużonych działaczy socjalistycznych, adresatów informacji Bundu, powątpiewano. Adam Pragier powiedział Adamowi Ciołkoszowi: Ale przesadzili. Napisaliby: kilka tysięcy wymordowanych – to i tak bardzo dużo. Ale kilkaset tysięcy?... Kto w to uwierzy?

**W getcie warszawskim w pełni uświadomiono sobie prawdę o tzw. drugim etapie, czyli o tym, co znamy jako *Endlösung*, dopiero po 22 lipca 1942 r.** Dr Izrael Milejkowski zapisał: „Historia getta warszawskiego dzieli się na 2 okresy: do dnia 22 lipca 1942 r. i okres następny. Pierwszy stał pod znakiem masowego głodu, drugi – masowej śmierci". Wtedy zaczęła się tzw. wielka deportacja, oznaczająca likwidację większości mieszkańców getta. Została tylko maleńka enklawa, ta, która przygotowała powstanie 1943 r.

22 lipca 1942 r., choć źródła nie są zgodne, a bardziej prawdopodobna jest data 23 lipca, odbyła się narada wszystkich przywódców partii politycznych w getcie warszawskim. Oto co zostało w pamięci Cukiermana: „Zaczęto zastanawiać się nad pytaniem, co można zrobić. Czy bronić się? (…) Ignacy Schipper [przewodniczący Komitetu Żydowskiej Samopomocy Społecznej] na przykład powiedział, że wiadomo, iż obecnie mowa o wywiezieniu tylko (!) 80 tys. Żydów. Mówił o historycznej odpowiedzialności: to prawda, mówił, możliwe, że ludzie zostaną straceni, ale czy wolno nam narażać życie wszystkich pozostałych Żydów? Schipper umiał mówić. Powiedział, że są w życiu Żydów okresy godzenia się z sytuacją i okresy walki o życie. Jego zdaniem okres obecny nie był okresem samoobrony. Jesteśmy słabi i musimy pogodzić się z losem. Czego żądałem na owym posiedzeniu? Przede wszystkim ustosunkowania się do działania. (…) Zaproponowałem, by ci, którzy uczestniczą w spotkaniu, oraz ich towarzysze, przywódcy społeczni (byliśmy w stanie zebrać kilkuset Żydów), wyszli na ulice getta z hasłem: »Treblinka to śmierć!«. Niech Niemcy wejdą i zabiją nas. Chciałem, żeby Żydzi zobaczyli krew na ulicach Warszawy, a nie dopiero w Treblince. (…) Powiedziałem również, że trzeba uderzyć w żydowską policję. Gdybyśmy działali w tym kierunku, możliwe, że przedłużylibyśmy proces, utrudnilibyśmy Niemcom robotę. Bo przecież »poradzić sobie« z 450 tys. Żydów jest trochę trudniej niż potem z 50 tys. Musieliby ściągnąć duże posiłki, by dniami i nocami wyłapywać Żydów. Aleksander Zysie Frydman z Agudat Israel powiedział mi ze łzami w oczach: »Synu, Bóg daje i Bóg zabiera«".

Jeden z najlepszych znawców zagadnienia prof. Israel Gutman – uczestnik powstania, później więzień Majdanka i Auschwitz, a po wojnie dyrektor naukowy Yad Vashem – tak widzi rezultat narady, o której mówi Cukierman: „W czasie spotkania zgłoszono postulat aktywnego, czyli zbrojnego, oporu. Wniosek został odrzucony przez osoby mające niekwestionowany autorytet w tym gronie: Zysię Frydmana z Agudat Isroel oraz historyka i działacza publicznego dra Ignacego Schippera. Frydman twierdził, że opór nie ma sensu, że należy zaufać opatrzności i czekać na pomyślny zwrot w sytuacji. Schipper z kolei uważał, że należy wyciągnąć wnioski z dziejów Żydów; niejeden raz naród Izraela zmuszony był do pogodzenia się z przelewem własnej krwi, by ratować rdzeń narodu i zapewnić ciągłość żydowskiego istnienia. (…) Stanowcze wypowiedzi Frydmana i Schippera wywarły silne wrażenie na pozostałych uczestnikach posiedzenia i uniemożliwiły podjęcie decyzji o aktywnym oporze".

**Młodzi poszli jednak własną drogą.** Po kilku dniach od wspomnianej narady, bo 28 lipca, organizacje młodzieżowe w getcie warszawskim postanowiły utworzyć Żydowską Organizację Bojową (ŻOB).

Nie można planować zbrojnego oporu, gdy się nie ma broni. W związku z tym chciałbym wspomnieć o czymś, co znam z pierwszej ręki. Miałem szczęście, że poznałem słynnego emisariusza Jana Karskiego, ps. Witold, i że darzył mnie przyjaźnią. Zgodził się też, bym niektóre nasze rozmowy nagrywał. Wiadomo, że przed ostatnią swoją misją, już do Londynu, udał się on potajemnie do getta, by spotkać się z dwoma przywódcami Bundu i syjonistów. Ci poprosili, aby przekazał jedno ich przesłanie bezpośrednio premierowi i wodzowi naczelnemu gen. Władysławowi Sikorskiemu, z pominięciem (!) gen. Stefana Grota-Roweckiego, komendanta Armii Krajowej. Była to bowiem… skarga na komendanta AK.

Cytuję zapis z dokonanego przeze mnie nagrania: „Powiedzieli mi – panie Witoldzie, wiemy, że młodzi (była to jesień 1942 r.) szykują w getcie powstanie. Oni są obywatelami polskimi. Jeżeli komendant ma broń – to im się też należy. Oni chcą walczyć, a komendant odmówił im broni. Proszę ▶

▶ to powiedzieć gen. Sikorskiemu. Na to ja [tj. Jan Karski]: – Proszę panów, ja tego nie mogę zrobić. On jest moim przełożonym. Chyba że panowie zgodzą się, żebym ja mu wasze posłanie przekazał, poprosił o komentarz i przedstawił gen. Sikorskiemu oba stanowiska. Zgodzili się. Lecę ja więc do mojego bezpośredniego przełożonego w BIP [Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZ/AK], do Jerzego Makowieckiego. Ten wściekły: – Po co pan się pcha do komendanta? – (nie znał skargi, gdyż była poufna). Poszedłem jednak z szefem BIP płk. Janem Rzepeckim do komendanta. Ten zrobił na mnie najlepsze wrażenie. Bardzo przystojny, postawny, dobrze ubrany, doskonale ogolony, spokojny, nie unosił się… Pamiętam: on siedział za stołem, ja stałem. Pochwalił mnie za moje postępowanie. »Dziwię się – powiedział – że Żydzi tego rodzaju posłanie panu dali. Ja ich znam, jestem z nimi w kontakcie… Powiedzieli panu prawdę: ludzie z getta zwrócili się do mnie, abym dał im broń. Coś tam dałem, ale bardzo mało. Proszę pana, ja jestem związany moim statusem wojskowym: mam mało broni, a muszę wysyłać broń oddziałom leśnym, komendantom powiatowym, ludziom, którzy robią dywersję i sabotaż. Najważniejsze zaś: muszę trzymać rezerwę broni i ludzi, żeby w odpowiednim czasie – pamiętam jego wyrażenie – wbić nóż w plecy Niemcom. Jakąś tam – pamiętam te słowa – ruchawkę w getcie Niemcy zduszą w ciągu paru godzin, przecież to nie będzie miało żadnego znaczenia wojskowego… Ale ja jestem karnym żołnierzem. Niech pan porucznik przekaże posłanie Wodzowi Naczelnemu, a ja zrobię, co mi każe. Musi mi jednak powiedzieć, jaką broń i w jakiej ilości mam dostarczyć do getta«".

Karski przerwał relację. Po chwili, z naciskiem zwracając się do mnie: „Mnie przekonały wówczas słowa komendanta. Później okazało się, że powstanie w getcie trwało o wiele dłużej".

**Wspomniałem przedtem dr. Izraela Milejkowskiego.** Nazwisko to – użyję słów przeznaczonych do opisu czynu wiekopomnego – zapisuje się złotymi głoskami w dorobku cywilizacji światowej. Ludwik Pasteur czy Robert Koch dokonali odkryć, których ludzkość im nie zapomni – w laboratoriach, pod mikroskopem, odkryli, co jest przyczyną wścieklizny czy gruźlicy. Jest wszakże jedna choroba, której nie powoduje ni wirus, ni bakteria. Jest to choroba głodowa.

I oto dr Izrael Milejkowski, przewodniczący Wydziału Zdrowia Publicznego Rady Żydowskiej w Warszawie, zgromadził około 20 lekarzy oraz gromadkę laborantów i wspólnie postanowili w dwóch szpitalach gettowych przeprowadzić badania naukowe nad chorobą głodową. Badania przerwano, gdy rozpoczęła się wielka deportacja. Wyniki badań pospiesznie opracowywano i domykano w przerwie w wysiedleniach. Wtedy to napisał dr Milejkowski słowo wstępne do opracowania zbiorowego. Oto krótkie fragmenty: „Pracę nad głodem rozpoczęto w lutym 1942 r. Głód był wówczas głównym motywem życia codziennego w murach getta warszawskiego. Wyrazem jego były: tłumy żebraków ulicznych, często napotykane na ulicach, papierem przykryte zwłoki, cyfry śmiertelności w punktach uchodźców i w domach sierot oraz specyficzny, szpitalny materiał głodowy z jego odmianami: gruźlicą i durem plamistym. (…) Każdy z nas jakby czuł podświadomie, że praca ta może być nagle przerwana. (…) Z przeminięciem pierwszej reakcji po straszliwym wstrząsie »przesiedlenia« wrócono do niej: wydobyto uratowany nagromadzony materiał naukowy i przystąpiono do systematycznego ułożenia i opisania wyników badań. (…) Charakterystyczny szczegół nie powinien być pominięty: praca nad ułożeniem i opisaniem materiału badań odbywa się w pokoju jednego z budynków cmentarnych, symbolizując tło i warunki, w jakich żyjemy i pracujemy".

Członkowie zespołu zdążyli przed 19 kwietnia 1943 r. przekazać maszynopisy drogą konspiracyjną prof. dr. med. Witoldowi Orłowskiemu z Uniwersytetu Warszawskiego. Dzieło ocalało i ukazało się drukiem w 1946 r. w Warszawie jako „Choroba głodowa. Badania kliniczne nad głodem wykonane w getcie warszawskim z roku 1942".

Przytoczę znaczący fragment rozdziału „Badania kliniczne nad patologią": „Ustrój ginący z powodu długotrwałego wyniszczenia głodowego upodabnia się do gasnącej świecy: życie zanika stopniowo, bez widocznych gołym okiem wstrząsów. Głodujący leniwieje. Jest skąpcem, strzegącym z uporem resztek swojego stanu posiadania, tj. ostatnich zapasów energii. Wydatkuje je minimalnie. Ruchy są oszczędne, jak gdyby obliczone. Ich powolność lub nawet bezruch, trwający nieraz w ciągu dni, dążenie do pozycji leżącej, senność, milczenie, hamowanie odruchów, uśpienie psychiki – oto pospolity obraz charłactwa, na którym głód wycisnął swoje piętno".

Czy nie mieści się w tym naukowym stwierdzeniu jedna z najważniejszych przesłanek problemu, dlaczego powstanie wybuchło tak późno?

Tacy jak ja – wynędzniali, zwykli więźniowie Auschwitz-Birkenau, znajdujący się o krok od całkowitego „zmuzułmanienia" – nie byli zdolni do podniesienia buntu (w żargonie obozowym „muzułmanem" nazywano więźnia skrajnie wycieńczonego z głodu). Uczynili to ci, których wtedy nienawidziliśmy niemal tak jak Niemców: więźniowie, członkowie Sonderkommando, ci, którzy brali udział – oczywiście przymuszeni przez oprawców – w gazowaniu i spalaniu trupów. Byli silni, dożywieni. Byli w stanie opracować plan buntu w Krematorium IV i zdobyć w tym celu materiał wybuchowy.

**Punktem wyjścia ostatniej z najważniejszych przyczyn późnego wybuchu powstania jest fragment** jednego z najcenniejszych źródeł wspomnieniowych z tamtych czasów. Pisał je Marian Berland na papierze z worka cementowego jeszcze w ukryciu w trakcie okupacji. Oto jego reakcja na myśl o powstaniu: „To dobre dla młodych, w każdej chwili gotowych na wszystko. Ludzi, którzy już nic nie mają do stracenia. A my? Dla nas całym życiem są rodziny, całą pociechą fakt, że jesteśmy razem. Jeszcze nikt z nas przez chwilę nie pomyślał, aby się oderwać i szukać dla siebie samego ratunku. Czyż możemy się ważyć z gołymi rękoma, ze starszymi i słabymi kobietami na tak desperacki krok? Od razu na wstępie zginiemy. Dla nas istnieje tylko jedna możliwość: czekać i jeszcze raz czekać. Rozwiązanie samo musi przyjść".

Może to, co stwierdzę, będzie okrutne: powstanie stało się dopiero wtedy możliwe, kiedy zabrakło rodzin – rodziców, dziadków, dzieci. Zostali zamordowani, zagazowani. Kiedy młodzi pozostali bez świadomości odpowiedzialności za ojców, za matki, za dziadków, za dzieci… Bo ich już nie było. Wtedy młodzi mogli szafować swoim życiem!

MARIAN TURSKI

Tekst jest skróconą wersją wstępu do Pomocnika Historycznego POLITYKI „Opór i Zagłada", do kupienia w dobrych punktach sprzedaży i na **sklep.polityka.pl**

# Pacjenci specjalnej troski

Czy istnieje maksymalny czas pobytu pacjenta na oddziale intensywnej terapii? Lekarze mówią, że nie. Jednak chory bez szans na wyleczenie, ale stabilny, powinien trafić do zakładu opiekuńczego. Kluczowym wyzwaniem jest tu przekonanie do tego rodziny pacjenta.

KATARZYNA KACZOROWSKA

ILUSTRACJA **MAREK KWIATKOWSKI**

Doktor Bernard Zając, kierownik Oddziału Anestezjologii Intensywnej Terapii w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym we Wrocławiu, po odebraniu telefonu mówi krótko: – *Zapraszam do siebie na dyżur i wytłumaczę, jak się u nas pracuje.*

Praca Oddziałów Intensywnej Opieki Medycznej zaczęła budzić zainteresowanie po ujawnieniu przez dziennikarzy Radia ZET sprawy dotyczącej marszałek Sejmu Elżbiety Witek czy precyzyjniej – jej męża Stanisława, który od 2,5 roku przebywa na OIOM w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Legnicy. Do tamtejszej prokuratury trafiła bowiem skarga kobiety, która twierdzi, że jej matka zmarła z powodu braku miejsca na oddziale intensywnej terapii, bo jedno z tych miejsc zajmuje pacjent, który jest w stanie wegetatywnym i powinien przebywać w zakładzie opiekuńczo-leczniczym lub hospicjum. Ten pacjent to właśnie Stanisław Witek. Prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa w sprawie śmierci pacjentki, która osiem dni czekała na przeniesienie na OIOM w Legnicy.

Wybuchła afera. Prezes PiS oskarżył dziennikarzy o bezpardonowy atak na marszałek Sejmu. Szpital wydał oświadczenie, w którym poinformował, że w placówce „każdy przypadek jest traktowany indywidualnie. Wobec pacjentów w ciężkim stanie niemożliwe jest określenie normatywnego okresu hospitalizacji. (…) Czas pobytu pacjenta w danym oddziale wynika każdorazowo z oceny stanu pacjenta, jego rokowań oraz dostępności koniecznej do stosowania terapii. Decyzje w zakresie metod i sposobu leczenia pacjenta zawsze podejmują lekarze specjaliści".

Swoje oświadczenie wydał też Narodowy Fundusz Zdrowia, który poinformował, że w ostatnich pięciu latach takich długoterminowych chorych na OIT i OIOM było 83, a decyzja o zakresie metod i sposobie leczenia pacjenta zawsze należy do lekarza ▶

▶ specjalisty. Ci z legnickiej placówki rozmawiać nie chcą. Jedna z osób pracujących do niedawna na legnickim OIOM opowiada: – *Cały szpital o niczym innym nie mówi, tylko o tym jednym pacjencie. Pani Witek w pandemii, kiedy szpitale były zamknięte dla rodzin, przyjeżdżała do niego nawet dwa razy dziennie. Na oddział szła często z dyrektorką, bo znają się jeszcze z Jawora. Pan Witek jest masowany, oklepywany, przestawiany z jednego miejsca oddziału na drugie. Bez rokowań. I podobno pani Witek lekarze znaleźli miejsce dla męża w zakładzie opiekuńczym, ale odmówiła. Powiedziała, że tam nie będzie miał tak dobrej opieki jak w szpitalu.*

Stan zdrowia Stanisława Witka objęty jest tajemnicą lekarską. Sama marszałek Sejmu w wywiadzie dla „Super Expressu" powiedziała: „Były ośrodki, które mogły rehabilitować intensywnie takiego pacjenta jak mój mąż, ale musiałby być na własnym oddechu, a nie pod respiratorem. Oddałabym wszystko, żeby go stamtąd zabrać, żeby mógł samodzielnie oddychać. Czekam na dzień, kiedy usłyszę od lekarza, że będę mogła go przenieść".

Ordynator oddziału intensywnej terapii w szpitalu wojewódzkim na północy Polski, zastrzegając nazwisko: – *Po pierwsze, jeśli pacjent nie rokuje, to mówiłbym o kryzysie odpowiedzialności. Ordynator powinien jasno powiedzieć bliskim, że już nic nie można zrobić poza pielęgnacją. Są przecież ośrodki, gdzie wentylacja mechaniczna jest prowadzona i pacjenci w stanie wegetatywnym do nich trafiają. A po drugie, nie dziwię się, że w przypadku pacjenta VIP ordynator nic nie powiedział. Kto by chciał mieć na głowie służby o 6 rano, proces ciągnący się kilkanaście lat? Wszyscy znamy historię profesora Dudka i możliwości Ziobrów.*

Dr Zając z kolei przyznaje, że na oddziale wrocławskiego szpitala byli już pacjenci długoterminowi. Jeden, młody mężczyzna, w szpitalu spędził rok. – *Ciężka choroba chirurgiczna, stosunkowo dobre rokowanie. Wymagał kolejnych sekwencyjnych zabiegów operacyjnych, wychodzenia z głębokiej niepełnosprawności oddechowej. Dzisiaj pracuje na budowie. Wyszedł z choroby i taki był sens jego pobytu* – opowiada dr Zając. I od razu przywołuje kolejny przypadek, głośny nie tylko w kraju. Na jego oddział trafiła 35-latka w ciąży, u której doszło do zatrzymania krążenia. – *Matka pięciorga dzieci. Udało się przywrócić pracę serca, ale bez rokowania neurologicznego. Jednocześnie rozwijało się w niej zdrowe dziecko i nie było mowy o terminacji ciąży. Utrzymaliśmy ją przy życiu do porodu. To jedyny, jak dotąd, taki przypadek na świecie, mam tu na myśli tak długi stan podtrzymania ciąży w stanie wegetatywnym matki.* Emilka urodziła się zdrowa. Ma prawie trzy latka. Jej mama jest w zakładzie opiekuńczym.

## Diabeł w konwencji

Dr Bernard Zając, pytany o koszty leczenia pacjenta na jego oddziale, odpowiada: – *Od ok. 3 tys. zł w górę za dobę. Pułapu górnego nie ma, bo to może być i kilkadziesiąt tysięcy dziennie. Wszystko zależy od tego, jakie zastosujemy metody, środki, leki. Teraz mam na oddziale pięciu pacjentów, którzy są dializowani całą dobę. Każda doba terapii nerkozastępczej ciągłej to ok. 4 tys. Więc doba każdego z nich to 7 tys. zł. W indywidualnych przypadkach koszt może być nawet kilkukrotnie wyższy, np. przy pozaustrojowym utlenowaniu krwi to ponad 60 tys.*

Anestezjolog z Wrocławia od razu dodaje, że koszty to jedno, ale kto wie, czy nie ważniejsze są właściwe procedury. I zaczyna od tego, że Polska jako jeden z niewielu europejskich krajów rozwiniętych nie ratyfikowała konwencji bioetycznej, choć ją podpisała w 1998 r. Konwencja reguluje szereg zasad dotyczących stanów chorobowych pacjenta, procesu decyzyjnego zwłaszcza w sytuacji, kiedy chory nie może sam podejmować decyzji. Obejmuje też możliwość przerwania terapii w przypadku takiej woli pacjenta.

Dr Zając: – *Zapytałem raz panią profesor prawa z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza o tę ratyfikację. Odpowiedziała mi, że diabeł w niej siedzi.* Diabły są tak naprawdę dwa. Jeden dotyczy oświadczenia woli na przyszłość – w Polsce nie ma prawnej możliwości złożenia takiego oświadczenia.

– *W Niemczech, Czechach, w wielu krajach europejskich funkcjonuje testament życia, w którym oświadczam np., że jeżeli moje życie miałoby być podtrzymywane przez ponad 30 dni środkami nadzwyczajnymi, wentylacją mechaniczną czy stosowaniem środków, jakich nie akceptuję, to nie życzę sobie takiej sytuacji. U nas mogę tylko zgłosić, że nie życzę sobie, żeby moje narządy zostały pobrane do przeszczepu* – tłumaczy dr Zając.

I od razu wyjaśnia, gdzie jest ukryty drugi diabeł. To brak możliwości ustanowienia pełnomocnika w sprawach medycznych, choć w każdej innej sprawie Polak pełnomocnika mieć może. – *W Polsce człowiek, który traci przytomność, traci podmiotowość prawną. Decyzję powinien za niego podjąć sąd* – mówi Bernard Zając.

Anestezjolog ze szpitala w centralnej Polsce: – *I jeden sąd w jeden dzień orzeka o umieszczeniu pacjenta w ośrodku, a drugi każe 89-letniej kobiecie brać adwokata, przyjść z nim na rozprawę i wciąga ją w absurdalne tryby, bo chodzi wyłącznie o umieszczenie 90-letniego nieprzytomnego męża w zakładzie opieki długoterminowej.*

## Lepiej przekonywać

W lipcu 2022 r. Polskie Towarzystwo Anestezjologii i Intensywnej Terapii przyjęło wytyczne do kwalifikacji pacjenta na oddziały intensywnej terapii i opieki medycznej. To zaledwie cztery proste punkty: „1. pacjent odniesie korzyść z leczenia na oddziale anestezjologii i intensywnej terapii, 2. prawdopodobnie odniesie korzyść, 3. nie jest wiadome, czy odniesie korzyść czy NIE odniesie korzyści z leczenia i ostatni, czwarty punkt – pacjent NIE odniesie korzyści" (pisownia oryginalna).

W tym ostatnim przypadku są to – po pierwsze – osoby niebędące w stanie bezpośredniego zagrożenia życia lub zdrowia, w stanie stabilnym, które z medycznego i organizacyjnego punktu widzenia mogą być poddane leczeniu lub monitorowaniu na innych oddziałach szpitala. Ale też – po drugie – osoby w tak ciężkim stanie, że wdrożenie wobec nich metod i procedur dostępnych standardowo na OIOM nie przerwie nieuchronnie postępującego procesu umierania. „Osoby te, nie odnosząc korzyści terapeutycznej z intensywnej terapii, powinny być objęte opieką paliatywną, aby nie wkraczać na ścieżkę terapii daremnej" – można przeczytać na stronie Towarzystwa.

W 2011 r. powstał w Polsce pierwszy dokument dotyczący terapii daremnej, zwanej też uporczywą. U dzieci. Dwa lata później przyjęto podobny dla dorosłych. To niecałe trzy strony, które wypełniane są przez lekarzy, kiedy konsylium medyczne jest zgodne, że dalsze stosowanie metod nadzwyczajnych nie przyniesie pacjentowi korzyści, a będzie prowadzić do kolejnych powikłań i potencjalnego cierpienia.

– *Protokół opracowano z myślą o pacjentach pozbawionych zdolności do składania oświadczeń woli. Kiedy trzeba go wypełnić, siada cały zespół, specjaliści, i wypełniają kolejne rubryki, oceniając, czy jakąś metodę można zastosować, nie podejmować jej stosowania, czy należy z niej zrezygnować. A na końcu podpisuje to kierownik oddziału czy ordynator oraz pozostali lekarze, w tym przynajmniej dwaj specjaliści* – tłumaczy dr Zając. I dodaje, że warunkiem ważności protokołu jest powiadomienie o jego wdrożeniu rodziny.

– *To jest też czas na odpowiedź na pytania, czy chory może być przekazany do zakładu opieki długoterminowej, czy może być*

*wentylowany w domu, czy w zakładzie dla osób wymagających mechanicznej wentylacji* – mówi anestezjolog z Wrocławia. A jego kolega z drugiego końca Polski od razu dopowiada: – *I właśnie ta opieka długoterminowa okazuje się problemem.* Bo zakłady opiekuńczo-lecznicze (ZOL) dla takich pacjentów działają w ramach ustawy o MOPS, a nie w ramach umowy z NFZ, a to oznacza, że na konto takiego zakładu rodzina musi oddać 70 proc. dochodu pacjenta. Renty, emerytury, zasiłku chorobowego.

– *I my nie możemy zmusić rodziny do podpisania takiej umowy, możemy tylko perswadować, przekonywać, tłumaczyć. Bo w domu sobie z takim chorym mało kto poradzi, a w szpitalu nie ma sensu go trzymać, tu musimy zapewnić miejsca dla chorych w stanach zagrożenia życia, których przyczyny są przynajmniej teoretycznie odwracalne* – mówi anestezjolog z Wrocławia.

Jest też jeszcze jedno narzędzie perswazji, którego nikt nie stosuje – wystarczyłoby, aby szpital zgłosił do płatnika, czyli NFZ, że na oddziale intensywnej terapii przebywa chory, który nie powinien być już tam leczony, bo np. kwalifikuje się do opieki długoterminowej w zakładzie opiekuńczo-leczniczym lub w hospicjum. Wtedy NFZ przestaje płacić za takiego pacjenta. Roszczenia jednak musiałby dochodzić szpital – realnie od rodziny pacjenta. – *A to może oznaczać proces sądowy, czas, windykację. To już lepiej przekonywać* – nie kryje dr Zając i przyznaje, że u niego na oddziale rozmowy z rodzinami to często połowa czasu pracy lekarzy.

Od lekarzy anestezjologów można usłyszeć, że czas przeżycia pacjentów, którzy trafiają do zakładów opiekuńczo-leczniczych i wymagają np. wentylacji mechanicznej – w każdym województwie jest kilka takich miejsc – waha się od kilku dni do kilku lat. Wszystko zależy od kompetencji, opieki, ale też bardzo często od tego, czy ośrodek umiejscowiony jest przy szpitalu. Bo jeśli tak, w sytuacji nagłej ściąga się lekarza z placówki. I stosuje metody szpitalne (a nie paliatywne – objawowe) w celu podtrzymania życia. Po kilka, czasem nawet kilkanaście razy.

W zakładzie opiekuńczo-leczniczym na Podkarpaciu w Górnie jest kilka łóżek dla pacjentów wentylowanych mechanicznie, zostały uruchomione kilka lat temu na podstawie mapy potrzeb zdrowotnych w województwie podkarpackim. Oddział startował z czterema łóżkami, dzisiaj ma ich osiem, w przyszłości ma być 10. Czy jest pełne obłożenie? Łukasz Ziemniak, kierownik oddziału, mówi, że wszystko zmienia się z dnia na dzień. Bo jednego dnia jest kilka telefonów z pytaniami o miejsce, czasem jest kilka wolnych łóżek, a czasem robi się kolejka. – *Koszt leczenia pacjenta pokrywa NFZ, ale zgodnie z aktami prawnymi możemy pobrać od pacjenta dodatkowo 70 proc. jego dochodów, nie więcej jednak niż 250 proc. najniższej emerytury* – wyjaśnia Ziemniak.

NFZ refunduje więc opiekę, badania, leki i wyroby medyczne, takie jak choćby pieluchomajtki, ale koszty wyżywienia i zakwaterowania są po stronie pacjenta.

Anna Żebranowicz, dyrektorka wrocławskiego oddziału Hospicjum Bonifratrów: – *Przy przyjęciach do zakładów opiekuńczo-leczniczych stosuje się skalę Barthel, która pozwala określić wymagania pacjenta: czy może samodzielnie korzystać z toalety, czy wymaga karmienia, czy jest leżący, czy korzysta z wózka. W ZOL ważna jest i opieka, i leczenie, które obejmuje np. rehabilitację. Hospicjum ma jeszcze inne zasady, bo tu mamy do czynienia z leczeniem paliatywnym, a więc leczeniem bólu i minimalizowaniem cierpienia pacjenta, który jest w stanie terminalnym, a więc po prostu umiera.*

Dyrektor Żebranowicz od razu dopowiada, że pacjenci, którzy trafiają do hospicjów, nie płacą za pobyt w nim, ale NFZ jasno precyzuje, kto może znaleźć się w takiej placówce. – *Jednocześnie bardzo rozwija się sieć hospicjów domowych. Chory pozostaje w swoim środowisku, jest pod opieką bliskich, ale ci bliscy mają wsparcie z naszej strony, a więc lekarza, pielęgniarki, kiedy trzeba psychologa* – tłumaczy Żebranowicz.

W tym katalogu wsparcia jest jeszcze jedna instytucja – miejskie czy gminne ośrodki pomocy społecznej, do których można się zwrócić o przyznanie opiekunki dla osoby wymagającej pomocy w codziennych czynnościach. – *Jest wywiad, jakiego rodzaju to ma być pomoc. Sprawdzane są dochody, bo za opiekunkę się płaci i kwota jest zależna od dochodu. Ale to nie jest rozwiązanie w przypadku osoby całkowicie zależnej od innych* – mówi Dorota Machnicka, która zwróciła się o taką opiekunkę dla mamy. – *Traciła wzrok, woziłam ją trzy razy w tygodniu na dializy i wiele spraw ogarniałam sama, ale potrzebowałam wsparcia, bo codziennie byłam w pracy. Opiekunka przychodziła na dwie godziny i głównie rozmawiała z mamą, bo ta nie chciała się przyznać, że potrzebuje pomocy chociażby w przygotowaniu śniadania.*

Machnicka nie kryje, że nie wyobrażała też sobie umieszczenia mamy w domu pomocy społecznej, ani gminnym, ani prywatnym. – *I nie chodzi o to, że mama miała bardzo niską emeryturę, więc dopłacalibyśmy z mężem kilka tysięcy złotych co miesiąc. Po prostu nie przesadza się starych drzew. Mama powiedziała wprost: żaden DPS* – opowiada Machnicka. Niby każdemu, kto ukończył 75. rok życia, przysługuje dodatek pielęgnacyjny, ale obecnie to niecałe 300 zł. Może go również uzyskać osoba młodsza, obłożnie chora, niesamodzielna i wymagająca stałej opieki – na podstawie decyzji lekarza orzecznika z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Dodatku nie dostanie jednak chory, który jest w ośrodku opiekuńczym. Dodatek wyklucza też uzyskanie zasiłku pielęgnacyjnego z pomocy społecznej – we Wrocławiu wynosi on niecałe 215 zł. Tego zasiłku nie dostanie się również wtedy, kiedy chory trafi do ZOL czy DPS.

## Nie jesteśmy gorsi

Anestezjolog z Wrocławia: – *Jeśli mówimy o czasie pobytu na oddziale, to mówmy też o tym, czego u nas brakuje. Z jednej strony jest wysoko specjalistyczny, bardzo drogi OIOM, z drugiej zwykły oddział, a z trzeciej ZOL. Nie ma miejsc pośrednich, a więc chociażby oddziałów o intensywniejszym nadzorze, z monitoringiem, ale jednak nie o charakterze Oddziału Intensywnej Terapii. Brakuje też miejsc, gdzie trafialiby pacjenci wymagający długiej rehabilitacji, naprawdę długiej. I wreszcie w świecie idealnym pacjent po wyjściu z OIT trafia pod opiekę specjalistycznej poradni psychologicznej, bo ma zespół stresu pourazowego.*

Dr Zając: – *W Polsce mamy dwa prywatne ośrodki, gdzie prowadzona jest bardzo intensywna rehabilitacja chorych, którzy przeszli przez OIT i nie spełniają już kryteriów dalszego pobytu, ale rokują poprawę stanu zdrowia i funkcjonowania. Koszt miesięczny to 30 tys. zł, warunkiem jest też pobyt z chorym kogoś z rodziny.*

Anestezjolog ze szpitala w centralnej Polsce: – *A ja się zastanawiam, kiedy rodziny pacjentów, którzy u nas leżą, zaczną mówić, że skoro mąż pani marszałek może być na OIOM ponad dwa lata, to dlaczego ich mama czy tato ma trafić do odpłatnego zakładu opiekuńczego? W czym jest gorszy?* Średni czas pobytu pacjentów na takich oddziałach w Wałbrzychu czy Szczecinie wynosi ok. ośmiu dni. Długie pobyty, w okolicach 100 dni, dotyczą pacjentów w bardzo ciężkim stanie, np. po wypadkach komunikacyjnych.

Marszałek Elżbieta Witek w połowie marca wzięła udział w uroczystym otwarciu nowej porodówki na Dolnym Śląsku. Przebudowa i kompleksowy remont części oddziału położniczo-ginekologicznego kosztowały 9 mln zł – pieniądze dały Rządowy Fundusz Inwestycji Lokalnych i dolnośląski samorząd. W tym szpitalu leży mąż marszałek Sejmu.

KATARZYNA KACZOROWSKA

# Serialoza

Oglądamy, chłoniemy, komentujemy, żyjemy nimi i z nimi. Streamowane seriale to już znacznie więcej niż rozrywka.

ANETA KYZIOŁ

Najnowszy przykład to „The Last of Us”, serial HBO Max oparty na popularnej grze wideo, która miała premierę dekadę temu. Świetne aktorstwo, kadry sugestywnie oddające postapokaliptyczny rozkład cywilizacji, zaskakujące wątki poboczne i rymy z pandemią sprawiły, że o produkcji Craiga Mazina i Neila Druckmanna rozmawiali, pisali i czytali nie tylko fani serialu i gry, ale wszyscy. Temat Cordycepsa, pasożytniczego grzyba, który w serialu przejmuje kontrolę nad ludzkim organizmem i grozi unicestwieniem cywilizacji, podjęły działy naukowe poważnych pism. Wzruszający odcinek portretujący miłość i wspólne życie Billa i Franka tradycyjnie rozjuszył internetowych tropicieli „propagandy LGBT”.

Od lewej: **Brian Cox jako Logan Roy w „Sukcesji”. Pedro Pascal jako Joel Miller w „The Last of Us”. Olivia Colman jako królowa Elżbieta II w „The Crown”. Millie Bobby Brown jako Jedenastka w „Stranger Things”.**

Seksapil 48-letniego Pedro Pascala odbił się echem niezliczonych internetowych wyrazów uwielbienia, ale stał się także pretekstem do poważniejszych analiz społeczno-psychologicznych fenomenu *sexy daddy*. Nie mówiąc już o zalewie internetowej twórczości fanowskiej.

## Jak zostać wiralem

Wydarzeniem z pogranicza rozrywki, kultury i życia społecznego okazał się także inny serial HBO Max „Sukcesja", której finałowy, czwarty sezon niedawno się rozpoczął. Osadzona w świecie potentatów branży medialnej jest jednocześnie bardzo śmieszną satyrą na oderwanych od rzeczywistości bogaczy, poruszającym dramatem rodzinnym i pozbawionym złudzeń portretem współczesnej zachodniej kapitalistycznej demokracji. Ale na wyobraźnię widzów w równym stopniu, co niepodrabialne dialogi, zaskakujące zwroty akcji i charyzma aktorów, działa sfera wizualna dzieła Jessego Armstronga, z luksusowymi limuzynami, penthouse'ami na Manhattanie, prywatnymi samolotami, helikopterami i jachtami. Serialowa garderoba doczekała się własnego konta na Instagramie, prezentowany przez Royów trend *quiet luxury* jest na bieżąco opisywany przez modowe media i naśladowany przez aspirujących do klasy (naj)wyższej.

Serialowy hit pandemii „Gambit królowej" Netflixa wywołał światowe zainteresowanie szachami, „Stranger Things" tej samej platformy wywindował na szczyty list przebojów piosenki z połowy lat 80., a scena tańca Wednesday Addams z innej hitowej serii „Wednesday" stała się tiktokowym wiralem i szybko wyszła poza internet. Media obiegło m.in. nagranie, na którym brawurowo odtwarza ją na studniówce dyrektorka jednego z sosnowieckich liceów, a na grany od kilku lat w stołecznym Teatrze Syrena musical „Rodzina Addamsów" bilety nagle zaczęły się wyprzedawać na pniu.

W demonstracjach przeciwko zaostrzaniu ustawy antyaborcyjnej i w Stanach, i w Polsce, maszerowali ludzie w purpurowych płaszczach i białych kornetach, stroju tytułowej bohaterki „Opowieść podręcznej", serialu bazującego na powieści Margaret Atwood. Niezwykle sugestywny „Czarnobyl", miniserial HBO Max z 2019 r., pozostawił po sobie memy z pamiętną kwestią szefa inżynierów czarnobylskiej elektrowni Anatolija Diatłowa: „3.6 roentgen, not great, not bad", którą komentował wybuch reaktora i szalejące promieniowanie. Ale także pełną emocji debatę na temat bezpieczeństwa energetyki atomowej. Podobny efekt miał przed laty „House of Cards" Netflixa. W wersji żartobliwej obejmował m.in. pytanie przez dziennikarzy Grzegorza Schetynę, w tamtym czasie odsuniętego od władzy przez premiera Donalda Tuska, czy niczym główny bohater serii – pominięty przy ministerialnej nominacji Frank Underwood – planuje zemstę. Zaś w wersji poważniejszej wywoływał lub gruntował w swoich widzach (także dziennikarzach) przekonanie, że polityka to jedynie cyniczna i brutalna gra o władzę.

Przez całe dekady telewizja uchodziła za tanią i masową rozrywkę. Wyjątki od tej reguły były głośne, ale nieliczne. Jednym z nich, zapowiadającym nadchodzącą zmianę, było „Miasteczko Twin Peaks" Davida Lyncha i Marka Frosta. Bohaterka tego dekonstruującego kryminał serialu, nastoletnia Laura Palmer, postać nie tylko fikcyjna, ale także martwa, znalazła się wśród Najbardziej Intrygujących Ludzi 1990 Roku magazynu „People". Kwestia „Kto zabił Laurę Palmer?" nurtowała wszystkich, nie wyłączając Michaiła Gorbaczowa, który miał pytać o to Ronalda Reagana podczas spotkania na szczycie. Po latach to prezydent USA Barack Obama okaże się fanem seriali. Swego czasu próbował wyciągnąć od szefa HBO informację, czy Jon Snow przeżył dramatyczny finał piątego sezonu „Gry o tron". „Panie prezydencie, nawet pański stopień dostępu do informacji nie jest tu wystarczający" – usłyszał w odpowiedzi. Zaś grający wspomnianego Jona Snowa Kit Harington, wspominając ludzi krzyczących do niego w tym czasie na ulicy: Przeżyłeś?! Powiedz, przeżyłeś?!, tłumaczył w „Variety": „Kiedy stajesz się cliffhangerem w serialu, a ten serial jest u szczytu swojej mocy, to skupienie na tobie jest cholernie przerażające".

To właśnie HBO jest odpowiedzialne za zdjęcie z seriali odium taniej, bardziej bądź mniej odmóżdżającej rozrywki. Jako stacja kablowa, opłacana z abonamentu, a nie z reklam, mogła sobie pozwolić na produkcje fabularnie coraz bardziej skomplikowane, dotykające ważkich tematów i nieunikające kontrowersji. Z niejednoznacznymi bohaterami, nagością, seksem i przekleństwami. Jej serie z przełomu wieków, na czele z „Rodziną Soprano" Davida Chase'a (1999–2007), „Prawem ulicy" Davida Simona (2002–08), „Sześć stóp pod ziemią" Alana Balla (2001–05) czy „Kompanią braci" Stevena Spielberga (2001), zainspirowały powstanie terminu *prestige TV*.

HBO uszlachetniła seriale, a Netflix przekonał do tej nowej wersji masy, gdy w 2007 r. rozpoczął udostępnianie ich w formie streamingu. Pierwszym ogólnoświatowym hitem własnym platformy okazał się wspomniany już „House of Cards", nadawany w latach 2013–18. W Polsce Netflix zadebiutował w 2016 r. jako pierwszy serwis streamingowy i mimo że od tego czasu przybyło mu konkurentów, jego pozycja, z 230 mln globalnych subskrybentów, się nie zmieniła – i na świecie, i w Polsce pozostaje hegemonem. Drugi, Disney+, miał na koniec 2022 r. globalnie 161,8 mln subskrybentów, a HBO Max, licząc razem ze stacją HBO i platformą Discovery+, 96,1 mln.

Ugruntowany prestiż, rosnące budżety, a także widzowie przenoszący coraz więcej życiowych aktywności do internetu (oraz kino zmieniające się w park tematyczny dla mentalnych nastolatków), zwabiły do świata seriali topowych reżyserów filmowych i hollywoodzkie gwiazdy.

Upowszechnienie się streamingu – obok Netflixa, HBO Max i Disney+ globalnie funkcjonują także Amazon Prime Video, Apple TV+, SkyShowtime, Canalplus.com, by wymienić tylko największych, zaś lokalnie u nas także choćby Player czy Polsat Box Go – wymusza konkurencję o czas i portfele widzów. W efekcie stale rośnie liczba seriali, krytycy i część widzów narzekają na ilość kosztem jakości, bo chcąc zminimalizować ryzyko porażki, serwisy dają nam głównie więcej tego, co już zdążyliśmy polubić, czy to w formie prequeli, sequeli, rebootów, spin-offów czy nowości bliźniaczo podobnych do hitów. Tak narodziły się kolejne terminy: *gilded era*, pozłacana era, w nawiązaniu do epoki przemysłowej w USA, i *peak TV* – szczytu, z którego droga ma wieść już tylko w dół.

## W bliskim kontakcie

Tymczasem pandemiczne lockdowny pokazały, że seriale i programy streamowane są towarem pierwszej potrzeby. Zamkniętym w domach ludziom służyły do zabijania czasu, poprawy nastroju i uciszania niepokoju. Tak od *prestige TV* z początku wieku doszliśmy do obecnej *comfort TV*, unieważniającej podział na dzieła dobre i złe, artystyczne i rozrywkowe, stawiające wymagania i odmóżdżające.

Niedawno, przy okazji premiery na Netflixie drugiej części filmowego cyklu zapoczątkowanego przez „Zabójczy rejs", z Jennifer Aniston i Adamem Sandlerem w rolach domorosłych detektywów, dziennikarz „Time'a" pytał, czy wielka popularność obu obrazów oznacza, że teraz będziemy już streamować cokolwiek? I czy w związku z tym nie należy ukuć jakiegoś ▶

©BE&W (2), NETFLIX (2)

▶ nowego terminu, bo może to już nie jest oglądanie, tylko narkoza za pomocą ruchomych obrazków?

Według raportu „Digital Consumer Trends 2022" przygotowanego przez firmę Deloitte, platformy streamingowe subskrybuje już 72 proc. Polaków. Średnio na osobę przypada nieco powyżej dwóch abonamentów, w grupie dorosłych do 24 lat dostęp do platform VOD deklaruje 9 na 10 osób, a najszybciej przybywa subskrybentów w grupie 45–54 lata. Streaming, będący blisko, na wyciągnięcie ręki do przycisku play, stał się towarzyszem naszego życia i spełnia w nim wiele rozmaitych funkcji. Wśród nich jest także rola współlokatora w naszych coraz częściej jednoosobowych gospodarstwach domowych (według ostatniego spisu powszechnego w dużych miastach to już jedna trzecia mieszkań). Wyparł w tym linearną telewizję, z telewizorów czyniąc kolejny z ekranów, na których oglądamy streamowane seriale, obok laptopów czy smartfonów, zresztą coraz częściej zastępowany w tej roli przez multimedialne projektory do kina domowego.

Twórcy i dystrybutorzy seriali opanowali do mistrzostwa internetowe techniki przyciągania i angażowania widzów, powszechnie stosowane też przez media społecznościowe. Sezonowość sprzyja budowaniu trwałych, emocjonalnych relacji z bohaterami, cliffhangery serwowane na koniec odcinka i sezonu podtrzymują te więzi, ale równie ważny jest marketing. Słynne algorytmy każdemu z widzów podsuwają inne produkcje, wybrane na podstawie tych, które wcześniej mu się spodobały. I zachęcają do *binge watchingu*, oglądania całych sezonów ciurkiem, gdy kolejne odcinki odpalają się automatycznie, niemal niezauważalnie, a widz nagle orientuje się, że jest czwarta rano. Albo przeciwnie – odcinki serwowane są w rytmie tygodniowym, by metodycznie budować wokół serialu bazę fanów, a przy okazji zniechęcać ich do przejścia do konkurencji, co w dobie szalejącej inflacji i będącego jej efektem ograniczania wydatków przez część widzów jest dla platform streamingowych realnym zagrożeniem. Są też serie o różnej długości odcinków – dopasowane do stylu i rozkładu życia widzów. Na krótsze odcinki łatwiej wygospodarować czas (i usprawiedliwić ten wybór) w ciągu dnia, dłuższe dobrze się sprawdzą wieczorem i w weekend. Dla wielu dodatkowym atutem jest możliwość wybrania wersji z napisami, co pomaga szlifować język. Jak dla trenera Jürgena Kloppa, który zwierzał się brytyjskim mediom, że jego angielski jest efektem wielokrotnego oglądania „Przyjaciół".

Tworzy się również sceny o potencjale wiralowym: instagramowe kadry cieszące oczy, chwytliwe kwestie łatwe do wykorzystania w memach, cliffhangery podnoszące temperaturę i skłaniające odbiorców do dzielenia się emocjami, budowania wokół produkcji społeczności i tworzenia namiastki wspólnotowości. Podtrzymywaniu zainteresowania serialem służą także udostępniane w sieci po każdym jego odcinku miniwywiady z aktorami i ekipą. HBO dla swoich sztandarowych produkcji, „Sukcesji" i „The Last of Us", prowadzi „oficjalny podcast serialu", w którym regularnie pojawiają się showrunnerzy, reżyserzy oraz aktorzy, komentujący akcję, dający wgląd za kulisy, tłumaczący wybory artystyczne. Gwiazdy są ważne, ale ogólne wrażenie jest takie, że w przemyśle serialowym – inaczej niż w kinie, zwłaszcza tym z ambicjami – najważniejszy jest widz, jego oczekiwania i emocje.

## Nieczysta fikcja

Te ostatnie dość łatwo można wywołać, produkując kontynuacje znanych serii czy filmów, ekranizacje głośnych książek, czy – jak ostatnio – gier komputerowych, z czego serwisy ochoczo korzystają. Ale równie dobrze sprawdza się strategia grania na styku fikcji i prawdy. Jak w opowiadającym o katastrofie elektrowni nuklearnej w 1986 r. w ZSRR „Czarnobylu". Efektem sugestywnego

**Anya Taylor-Joy (w roli Beth Harmon) z Marcinem Dorocińskim (Vasily Borgov) w „Gambicie królowej". Serial wywołał światowe zainteresowanie szachami.** Poniżej: **Jenna Ortega (Wednesday Addams) w „Wednesday", jej scena tańca stała się tiktokowym wiralem.**

łączenia fabularnej fikcji z researchem historycznym był wysyp w mediach i na internetowych forach artykułów i dyskusji, których twórcy i uczestnicy tropili fałsz czy nieścisłości. Podobne emocje i dyskusje wywoływała polska „Wielka woda" Netflixa, rozgrywająca się w 1997 r. podczas powodzi stulecia na Dolnym Śląsku i także łącząca fikcję z porządnymi badaniami.

A także „The Crown" Netflixa, fabuła o brytyjskiej rodzinie królewskiej, z aktorami dobieranymi i charakteryzowanymi tak, by do złudzenia przypominali rzeczywiste postaci. Duże kontrowersje wzbudził niedawny piąty sezon, skupiający się przede wszystkim na nieudanym małżeństwie Karola i Diany, ale też zawierający scenę, w której książę Karol omawia z ówczesnym premierem Johnem Majorem kwestię ewentualnej abdykacji Elżbiety II. „Wszystkie rozmowy jeden na jeden, które widzicie w serialu, są czystą fikcją. Zostały stworzone po to, by zapewnić dramatyczny efekt i by osiągnąć cele marketingowe, bez względu na prawdę. Ludzie powinni to bojkotować. (...) To są złośliwe bzdury" – komentował licentia poetica twórców John Major w „Mail On Sunday". Także brytyjska gwiazda Judi Dench w liście do „Timesa" oskarżała serial o tworzenie taniej sensacji i martwiła się, że szczególnie Amerykanie mogą wziąć fikcję za prawdę. Pojawił się nawet postulat, by odcinki poprzedzać planszą z informacją, że serial jest fikcją bazującą na faktach.

© PHIL BRAY/NETFLIX, VLAD CIOPLEA/NETFLIX

W odbiorze „House of Cards” ważną rolę grał dodający wiarygodności netflixowej wizji polityczny background jego twórców. Serial bazował na powieści Michaela Dobbsa, brytyjskiego polityka, bliskiego współpracownika Margaret Thatcher, showrunnerem był Beau Willimon, który przez lata pracował przy kampaniach wyborczych polityków partii demokratycznej (opisywał swojego bohatera Franka Underwooda jako „dwie łyżki prezydenta Lyndona B. Johnsona ze szczyptą Ryszarda III i Hannibala Lectera”), a politycznym konsultantem był Jay Carson, wcześniej sekretarz prasowy prezydenta Billa Clintona i członek sztabu wyborczego Hillary Clinton. Z kolei konsultantami „Sukcesji”, dbającymi o wiarygodność przedstawionego w serialu świata, są ludzie pracujący dla osławionego 1 proc. A niedawno pokazana scena, w której Logan Roy (Brian Cox) krąży po newsroomie swojej telewizji ATN – cytując kuzyna Grega: „jak rekin w »Szczękach«, gdyby wszyscy w »Szczękach« pracowali dla Szczęk” – jest podrasowanym wspomnieniem jednej ze scenarzystek. Była w redakcji „Wall Street Journal”, gdy w 2007 r. kupił ją Rupert Murdoch, szef globalnej News Corp., właściciel m.in. stacji Fox, i zakup uczcił przemówieniem do załogi. W serialu Logan wchodzi na podwyższenie ułożone z paczek z papierem do drukarek i wygłasza mowę motywacyjną, w której przewijają się nawoływania do podrzynania gardeł opozycji i wezwania do „bycia pieprzonymi piratami”. W rzeczywistości Murdoch ponoć przemawiał mniej obrazowo.

## Bez końca

Ale nowe emocje i paliwo do internetowych dyskusji i memów można znaleźć także w starych serialach. Na przykład „Buffy: Postrach wampirów” (1997–2003), serial o nastoletniej pogromczyni zła, z Sarah Michelle Gellar w roli głównej, przedmiot nie tylko uwielbienia, ale i feministycznych uniwersyteckich analiz, po latach okazał się toksycznym miejscem pracy, co wyznają w kolejnych postach i tweetach aktorzy, a komentują fani i antyfani. Z kolei „Przyjaciele” (1994–2004), sitcom wszech czasów, obrażają uczucia młodych generacji brakiem zróżnicowanej etnicznie obsady oraz promowaniem fatfobii, co cyklicznie wywołuje internetowe debaty i pyskówki, a tym samym kolejne fale zainteresowania serialem.

Żyjące w naturalnej symbiozie z mediami społecznościowymi seriale stały się częścią nie tylko kultury czy rozrywki, ale także, a może przede wszystkim (wirtualnego) życia społecznego. A w tej sferze jakość artystyczna jest tylko jednym z parametrów oceny, ważnym dla części odbiorców. *Binge-watchingowi* towarzyszy *hate-watching* – oglądanie dla beki i żeby dać upust sarkazmowi i ironii w internetowych komentarzach.

A platformy zadbają, by materiału nie zabrakło. Przed nami na pewno wiele ciekawych i zaskakujących premier, bo w zalewie przeciętniaków zawsze trafiają się perełki. Ostatnio dobrą passę ma choćby Apple TV+, ze świetnym „Rozdzieleniem” i pomysłową „Nagrodą na dzień dobry”. Ale w Polsce dyskusje niezawodnie rozpalać będą zapowiadane przez Netflix na ten rok nowe adaptacje „Znachora” – rodzimego melodramatu wszech czasów, żelaznej pozycji w repertuarze wielkanocnym każdej niemal stacji telewizyjnej, oraz „Pana Samochodzika i Templariuszy”. W SkyShowtime w maju startuje serialowa adaptacja „Fatalnego zauroczenia”. A HBO Max ogłosił zakup praw do stworzenia serialowej wersji „Harry’ego Pottera”. Za chwilę klawiatury zaczną się rozgrzewać od komentarzy.

Tak oto seriale z platform streamingowych rządzą masową wyobraźnią w stopniu, w jakim nie udaje się to innym gałęziom kultury.

ANETA KYZIOŁ



REKLAMA

Najnowsze FORUM w sprzedaży od 21 kwietnia!

W NUMERZE:

- Powrót kłamstw o Katyniu
- Dziewiczy lot Elona Muska
- Szaman wśród hakerów
- Ciemna strona Pink Floyd
- Opowieści starego Bagdadu
- Marny zakład karny
- Fentanyl – to już epidemia!
- Gra w kotka i… człowieka
- Co zbiera Ai Weiwei
- Tajne laboratoria śmierci

# Polska Ludowa 2050

**Wspólne listy Polski 2050 i PSL rodzą się w bólach, ale wygląda na to, że się urodzą. To jednak projekt defensywny, obliczony głównie na przetrwanie.**

RAFAŁ KALUKIN

Obie partie zapewniają, że na pewno się dogadają i umowa koalicyjna o wspólnym starcie w wyborach wcześniej czy później zostanie podpisana. Hołownia nawet już zapowiedział, że jej treść będzie upubliczniona, chociaż właściwym adresatem dokumentu jest Państwowa Komisja Wyborcza i ma on charakter głównie techniczny. Przesadna transparentność zapewne ma pomóc skruszyć silną nieufność wobec projektu w elektoratach Polski 2050 i PSL.

O samych rozmowach wiadomo niewiele. Prowadzone są w dyskrecji. W jakiejś mierze to skutek ograniczonego zaufania we wzajemnych relacjach obu formacji, a dochodzi do tego jeszcze obopólna nieufność wobec całego otoczenia polityczno-medialnego. Można wręcz mówić o syndromie oblężonej twierdzy, szczególnie na zapleczu Hołowni. W ostatnim czasie przyczyniła się do tego „Gazeta Wyborcza", która tuż przed świętami Wielkanocy doniosła, że po odejściu ludowców od stołu negocjacje zostały zawieszone. Zdaniem dziennika przyczyną miał być kuriozalny warunek pozostawiony przez ludzi Hołowni, że Polska 2050 ma obsadzić pierwsze miejsca na wspólnych listach we wszystkich 41 okręgach. Obie strony żywiołowo jednak temu zaprzeczały, po cichu sugerując, iż źródłem dezinformacji musiała być Platforma Obywatelska, od dawna grająca na zantagonizowanie partnerów i wywrócenie rozmów.

Trudno ustalić, jak było naprawdę. Na sejmowym korytarzu podśmiewano się, że Hołownia skłonny był wspaniałomyślnie oddać dwie jedynki: prezesowi PSL Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi oraz wicemarszałkowi Sejmu Piotrowi Zgorzelskiemu. Ale być może to jedynie przejaw ironii, bez pokrycia w faktach. Nie najgorzej wszakże odzwierciedlający ogólną otoczkę: nikt nic nie wie, nikt nikomu nie ufa, nie wiadomo, komu wierzyć.

## Dryblingiem wprost do PSL

Pierwszoplanowym problemem pozostaje oczywiście nieufność wyborców obu formacji. A przynajmniej pewnej ich części, która na wieść o takich planach zaczęła się wykruszać. Widać to przede wszystkim w przepływach od Hołowni do Konfederacji, chociaż nie jest jeszcze do końca jasne, o jaki typ wyborcy konkretnie w tym przypadku chodzi. Część obserwatorów skłania się ku tezie, iż w pierwszej kolejności porzuca Hołownię tzw. elektorat TUP, czyli Tymczasowego Ugrupowania Protestu – takim terminem politolog Jarosław Flis zwykł określać w miarę stałą jego zdaniem grupę wyborców, którzy w każdych wyborach wypatrują nowej siły zdolnej wywrócić stolik. Po Kukizie, Nowoczesnej i efemerycznym projekcie Biedronia pełnił tę rolę właśnie Hołownia, ale być może teraz właśnie wypiera go Sławomir Mentzen. Wedle innego wyjaśnienia Mentzen odbiera przede wszystkim wyborców o twardych wolnorynkowych przekonaniach, którzy w przeszłości popierali Platformę, a zniechęceni jej socjalnym zwrotem przechodzili do Hołowni.

Tak czy owak, paktowanie z ludowcami nie miało prawa wzmocnić związku Szymona Hołowni z jego dotychczasowym elektoratem. Tym bardziej że lider nie zrobił wcześniej właściwie nic, żeby przygotować grunt pod nieco egzotyczny sojusz. Przez długie miesiące to zresztą ludowcy przeważnie się przymilali do Hołowni, czego ten zdawał się nie zauważać. Temat wspólnego startu oficjalnie pojawił się na stole dopiero po zawirowaniach wywołanych głosowaniem koła poselskiego Polski 2050 przeciwko ustawie o Sądzie Najwyższym i – pośrednio – odblokowaniu pieniędzy z KPO. Otwarte wyłamanie się z opozycyjnego frontu Hołownia tłumaczył swoim przywiązaniem do wartości konstytucyjnych, chociaż niewątpliwie był to również wybór taktyczny. Problem w tym, że jego wyborcy chyba niewiele z tego zrozumieli i doszli do przekonania, że niedoświadczony lider zaczyna się gubić w meandrach realnej polityki. Test jego zdolności od dawna zresztą wisiał w powietrzu, bo na rozruchu formacja Hołowni funkcjonowała przede wszystkim w społecznościowej niszy, jako podmiot jedynie komunikujący się, ale pozbawiony namacalnego wpływu na życie publiczne.

Kontrowersyjny manewr nie poprawił więc i tak już słabnących od dłuższego czasu notowań Polski 2050. Ucieczką do przodu

ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

miała być w tej sytuacji deklaracja współpracy z PSL, początkowo jedynie programowej, ale w domyśle również wyborczej. W jakimś sensie podważało to obietnicę nowej polityki, z którą trzy lata temu z okładem Hołownia zameldował się na scenie. Tymczasem zamiast zmieniać skostniały system, niespodziewanie skleił się z jego najtrwalszym fundamentem. PSL to w końcu jedyna partia, która w nienaruszonym kształcie przemaszerowała przez wszystkie etapy III RP. Pod wieloma względami uosabia model partyjnego klientelizmu, który spora część zwolenników Hołowni (a wcześniej Biedronia, Kukiza etc.) chciałaby wreszcie odesłać do lamusa.

W efekcie sondażowe słupki Polski 2050 już na dobre zjechały poniżej 10 proc., co do niedawna uważano w kierownictwie ruchu za granicę przyzwoitości. Obecny poziom 7–8 proc. chyba nikogo nie satysfakcjonuje, a przy okazji osłabia zdolności negocjacyjne Hołowni wobec PSL.

## Układ prawie idealny?

Nieprzypadkowo to ludowcy byli wcześniej dużo bardziej szczerymi entuzjastami wspólnego startu. Stronnictwo od dawna szuka lekarstwa na pogłębiającą się asymetrię swoich potencjałów, czyli tradycyjnie silnych struktur oraz słabnącego poparcia wyborców. Pierwsze trzyma się mocno dzięki pokoleniowej reprodukcji terenowego aktywu, który na przestrzeni dekad trwale wrósł w życie lokalnych wspólnot. Drugie jest pochodną modernizacji polskiej wsi, szczególnie konsolidacji produkcji rolnej i upadku większości rodzinnych gospodarstw, które przed laty stanowiły wyborczy bastion PSL. Z partii klasowej stało się ono formacją trochę dla nikogo, jeśli nie liczyć samych działaczy, ich rodzin, sąsiedzkich wspólnot, lokalnych grup interesu. To do niedawna wystarczało, żeby przechodzić nad progiem, ale pod nieustanną presją, że kiedyś zabraknie ułamka procenta i wtedy ogólnokrajowy peleton już na dobre ludowcom odjedzie.

Niewiele jednak przyniosły próby zmiany wizerunku, które miały przyciągnąć do Stronnictwa nowych wyborców. Żeby się jakoś zabezpieczyć przed ryzykiem, ludowcy zaczęli więc szukać wyborczych podpórek. W 2019 r. zdecydowano się na karkołomny sojusz z Kukizem, chociaż koniec końców procentujący niezłym wynikiem w wyborach parlamentarnych. O nic więcej zresztą nie chodziło, już w trakcie kadencji bez żalu pożegnano się z ogólnie trudnym partnerem. A skoro eksperyment się powiódł, pojawiła się naturalna chęć, żeby go powtórzyć w kolejnych wyborach. Hołownia od dawna wydawał się partnerem wręcz oczywistym: miał podobne zalety, co wcześniej Kukiz, a zarazem pozbawiony był jego wad.

Sojusz z Hołownią dawał ludowcom możliwość awansu do wyższej ligi, przynajmniej dopóki Hołownia trzymał pod swoją chorągwią kilkanaście procent wyborców. Jeszcze jesienią ubiegłego roku kalkulowano, że jeśli uda się go wreszcie namówić na wspólny start, taki komitet będzie w stanie nawet powalczyć z Platformą o pozycję lidera opozycji. W tamtym czasie był to więc jeszcze projekt w jakimś sensie imperialny, przynajmniej w założeniu. Każdy z partnerów miał to, czego brakowało drugiemu. ▶

▶ Hołownia – ciągle jeszcze świeży wizerunek, stabilne kilkanaście procent poparcia i emocjonalną więź z sympatykami ruchu, ale przy zalążkowej strukturze oraz finansowej partyzantce. Z kolei Kosiniak-Kamysz miał terenowe struktury, których zazdroszczą mu wszystkie polskie partie, oraz zasobną dzięki budżetowym subwencjom partyjną kiesę.

## Dociskanie Szymona

Ale od jakiegoś czasu owa świetlana perspektywa traci na aktualności. Przede wszystkim dlatego, że Hołownia już nie wnosi aż tak wysokiego poparcia, jak jeszcze niedawno. Nawet jego unikatowi wyborcy, ci na dobre i na złe, zaczęli się wykruszać. A bez nich cały pomysł na Polskę 2050 staje pod znakiem zapytania. Hołownię od początku trudno było wpisać w tradycyjne podziały ideowe, legitymizowała go przede wszystkim rozbudzona nadzieja „zmiany", cokolwiek miałoby to oznaczać. Słabnąc, wytracał jednak w oczach ludowców swoje najważniejsze atuty, stając się coraz częściej po prostu kolejną wyborczą podpórką. Dzisiaj trudno już mówić o projekcie mocarstwowym, zamiast tego zaczęła wracać logika walki o przetrwanie. Co biegłych w partyjnym rzemiośle polityków PSL z czasem musiało skłonić do zaostrzenia linii negocjacyjnej.

W tym kontekście rzekoma próba wymuszenia przez Hołownię wszystkich jedynek staje się nawet zrozumiała; byłby to desperacki zryw słabnącego partnera, który wciąż jeszcze nie zdołał się pogodzić z odpływem mocy. Z drugiej strony otoczenie lidera Polski 2050 faktycznie ma powody obawiać się, że bez specjalnych przywilejów wyjdzie na aliansie z ludowcami jak Zabłocki na mydle. To wynika ze specyficznej metody pozyskiwania głosów przez PSL. Konstruując listy, inne partie skupiają najwięcej uwagi na obsadzie kilku pierwszych miejsc oraz ewentualnie ostatniego. Tylko one bowiem realnie liczą się w rozgrywce o mandaty, podczas gdy cały środek i ogon to tylko wymagane przy rejestracji tło. Ale już zakorzenione w gminach i powiatach Stronnictwo podchodzi do sprawy zupełnie inaczej. Buduje swoje listy w taki sposób, żeby mieszkaniec każdej większej miejscowości w granicach okręgu mógł tam znaleźć nazwisko swojego krajana, kogoś z sąsiedztwa. I bywa, że staje się ono wówczas magnesem nawet dla wyborców, którzy ogólnie nie utożsamiają się z PSL. To istotny w ogólnym bilansie naddatek, ale też czynnik osłabiający znaczenie formalnej kolejności na listach. A dla Hołowni to murowany problem, gdyż peeselowscy swojacy nawet z niższych miejsc będą wyprzedzać jego nominatów, którzy zazwyczaj dopiero co weszli do polityki i mało kto ich zna. Tyle że ludowcy potrafią szacować potencjały i dobrze wiedzą, kiedy partner blefuje. Tym bardziej że negocjacje dodatkowo odsłoniły jego największe słabości. Choćby to, że na całym Podkarpaciu Polska 2050 może podobno liczyć na zaangażowanie niespełna 50 osób, co ludowcy powtarzają sobie teraz jako anegdotę. Startując samodzielnie, Hołownia miałby więc tam problem już nawet nie z organizacją kampanii, a samym tylko obsadzeniem list.

Do tego dochodzi drażliwa kwestia finansowa, istotnie wpływająca na kalkulację ryzyka przez PSL. Niedawno Sąd Najwyższy odrzucił sprawozdanie Polski 2050 za 2021 r. Bezpośrednio nie wiąże się to z żadnymi sankcjami, bo zarejestrowana już po ostatnich wyborach parlamentarnych partia nie korzysta z budżetowej subwencji, więc jeszcze nie ma jej czego odbierać. Wiadomo jednak, że identyczny błąd w rozliczeniach popełniono również w 2022 r. i niemal na pewno kolejne sprawozdanie również zostanie odrzucone. Toteż dobrze byłoby jeszcze przed startem tegorocznej kampanii na wszelki wypadek wyzerować bilans partyjnych wpływów i wydatków. Po to, żeby w przyszłości PKW bądź sąd nie miały powodów, żeby zakwestionować pochodzenie pieniędzy przekazanych przez Polskę 2050 do wspólnego z PSL funduszu wyborczego jako pochodzących z nielegalnego źródła. Z prawnego punktu widzenia sprawa nie jest oczywista, ale trzeba brać pod uwagę arbitralność wyroków Sądu Najwyższego, który w sporej części składa się z pisowskich „neosędziów".

A jeżeli sprawozdanie z kampanii zostanie odrzucone, budżetową subwencję na niemal całą kadencję straci nie tylko Polska 2050, ale też jej koalicjant. Tymczasem ludowcy w przeszłości swoje już wycierpieli z powodu błędu w rozliczeniach i nie palą się do powtórki. To oczywiście jeszcze nie powód, żeby uciekać przed wspólnymi listami z Hołownią, ale na pewno istotny powód, żeby zażądać dodatkowych profitów z tytułu zwiększonego ryzyka.

## A może jednak wspólna lista?

Tym bardziej że czas bynajmniej nie gra na korzyść lidera Polski 2050. Jego ruch jest na krzywej opadającej, podczas gdy notowania PSL pozostają dosyć stabilne, chociaż na niskich poziomach. Dzisiaj podwyższony 8-proc. próg wyborczy dla koalicji ciągle jeszcze nie wydaje się specjalnie trudnym wyzwaniem. Przeciwnie, obie partie raczej nastawiają się na solidne kilkanaście procent, nawet jeśli ich cząstkowe poparcia tak całkiem się nie sumują. Z tego punktu widzenia należałoby jednak pospieszyć się z ogłoszeniem decyzji o wspólnym starcie, gdyż koalicyjny szyld powinien wreszcie znaleźć się w sondażach i zacząć „pracować" na wyborczą rozpoznawalność.

Ale rzeczników pośpiechu wcale nie ma aż tak wielu. Bo jeżeli impuls zjednoczeniowy nie przyniesie oczekiwanych sondażowych profitów, a sam Hołownia trochę jeszcze straci na rzecz Konfederacji (i bynajmniej to nie przypadek, że od jakiegoś czasu w swoich wystąpieniach tak wiele uwagi poświęca wolnej przedsiębiorczości!), z czasem może się zrobić dosyć nerwowo. A zdolność wspólnego komitetu Polski 2050 i PSL do przeskoczenia nad progiem wcale nie będzie aż tak oczywista. Może więc warto już teraz wziąć taki scenariusz pod uwagę i pozostawić sobie jako alternatywę znacznie mocniejszy lewar? Czyli oczywiście Koalicję Obywatelską z jej chwilowo zarzuconym konceptem wspólnej listy. W końcu z Donaldem Tuskiem znają się od lat, kiedyś byli w jednym rządzie, po ludzku się lubią. W razie czego osobista relacja pomoże zniwelować znaczenie coraz większych w ostatnim okresie różnic ideowych i politycznych. Zapewne Tusk byłby zresztą skłonny oddać PSL nieco więcej przestrzeni na wspólnych listach, niż by to wynikało z ich faktycznego potencjału. Do tego osobność, tradycja i lokalne zakorzenienie Stronnictwa raczej stanowią gwarancję, iż nie roztopi się ono w Platformie, jak chociażby kiedyś Nowoczesna.

Ale już Hołownia nie może liczyć na specjalne traktowanie i wątpliwe, aby wchodząc w układ z Tuskiem, zdołał uratować swój dosyć widmowy ruch. Ocaliłby co najwyżej siebie i najbliższe grono współpracowników, chociaż za cenę utraty podmiotowości. Pytanie, czy byłby w ogóle gotowy do takiego manewru, gdyż już od dawna czuje się osobiście i medialnie pokiereszowany przez Tuska. Jego urazy, z którymi często się obnosi, są za kulisami polityki powszechnie znane. I chociażby z tego względu pole manewru lidera Polski 2050 wydaje się dzisiaj dużo węższe niż Kosiniaka-Kamysza.

A taktyka Tuska jest dosyć czytelna. Nawet jeśli wprost nie ingeruje w rozmowy mniejszych partii, z pewnością im nie sprzyja i wolałby, żeby zakończyły się fiaskiem. Wariant z osobnym startem każdej z nich oczywiście nie wchodzi w rachubę, w obecnej sytuacji to zbyt wielkie ryzyko. Realną alternatywą jest dogadywanie się z Platformą. A jeśli Hołownia chciałby tego uniknąć, skazany jest na sojusz z ludowcami.

RAFAŁ KALUKIN

ILUSTRACJA **OBYWATEL JANEK**

# Wymiar śmieszności

EWA SIEDLECKA

Trwa wojna pozycyjna rządu z Brukselą i z polskimi sędziami. I wojna sędziów z neosędziami. Wszyscy przegrywają. A „pieniędzy nie ma i nie będzie". Ani praworządności, bo państwo stało się nieprzewidywalne.

Prawo w państwie PiS nie porządkuje już rzeczywistości. Jest płynne. PiS uruchomił też proces autodestrukcji organów sądowych. Już nie musi ich niszczyć, bo niszczą się same w wewnętrznych sporach i plątaninie postprawa. Najlepiej widać to w Trybunale niegdyś Konstytucyjnym, który jest coraz mniej Trybunałem Przyłębskiej.

Brak praworządności zablokował unijne pieniądze. Buntownicy w Trybunale zablokowali orzeczenie w sprawie ustawy, która mogłaby pieniądze odblokować. Orzekanie blokowane jest też w Sądzie Najwyższym, m.in. działaniami Pierwszej Prezes, która usiłuje – poza trybem, czyli w trybie postprawa – zablokować orzeczenia o nielegalności neosędziów. A sędziowie i neosędziowie blokują się nawzajem. Panuje nastrój wyczekiwania na przesilenie, które może przyjść po wyborach. Albo nie.

Komisja Europejska odrzuciła właśnie wniosek polskiego rządu o wstrzymanie naliczania kar za niewykonywanie zarządzenia tymczasowego TSUE zawieszającego działalność pseudodyscyplinarną wobec sędziów. Płacimy milion euro dziennie – obecnie to już 526 mln euro (stan na 13 kwietnia). Jak tak dalej pójdzie, staniemy się płatnikiem netto, bo pieniądze potrącane są z należnych Polsce unijnych dotacji. Na samo KPO miało być do końca 2023 r. 23 mld euro dotacji.

## Trybunał się zepsuł

Teraz dotacje na KPO zawisły – za sprawą prezydenta – w tzw. Trybunale, gdzie nie rządzi już niepodzielnie Julia Przyłębska, i który w ogóle przestał być już bezawaryjnym narzędziem do umacniania władzy PiS. Zaciął się w momencie, gdy był tej władzy najbardziej potrzebny. I już widać, że to nie chwilowy kryzys, tylko spirala autodestrukcji. A mechanizm zniszczenia wymyślił i uchwalił sam PiS, dążąc w 2016 r. do aneksji Trybunału za pomocą wielokrotnie zmienianego pod aktualne potrzeby prawa: a to zablokowania orzekania, gdy prezesem był jeszcze Andrzej Rzepliński, a to dopuszczenia do orzekania dublerów, a to niedopuszczenia do uczciwych wyborów kandydatów na prezesa. Przez te zmiany i prawne wygibasy można teraz kwestionować prezesowanie Przyłębskiej, bo PiS nieopatrznie wprowadził kadencyjność prezesów TK. I nie można, z powodu buntu części sędziów przeciw Przyłębskiej, sądzić spraw pełnoskładowych, bo aby zablokować orzekanie, za prezesury prof. Rzeplińskiego PiS zwiększył z 9 do 11 minimalną liczbę sędziów koniecznych do osądzenia ▶

▶ takich spraw. Gdyby nie tamta zmiana, dzisiaj Przyłębska miałaby pełny skład.

PiS wpadł we własne sidła, nie przewidując, że obdarowani świetnymi synekurami w Trybunale prawnicy kiedykolwiek się zbuntują. Współpracy z Przyłębską odmówiło pięciu sędziów i jeden dubler. Konflikt i wynikająca z niego blokada orzekania jest opisywany jako polityczny: że to walka Ziobry z PiS. Tymczasem jest to przede wszystkim bunt przeciwko Przyłębskiej, a konkretnie sposobowi, w jaki zarządza Trybunałem i jak traktuje sędziów. Trybunał pod jej rządami całkowicie stracił autorytet, stał się pośmiewiskiem, a sędziowie wraz z nim. I prawie przestał pracować. Więc pięciu sędziów: Wojciech Sych, Jakub Stelina, Andrzej Zielonacki, Zbigniew Jędrzejewski i Bogdan Święczkowski, oraz jeden dubler wiceprezes TK Mariusz Muszyński, odmówili orzekania w najważniejszych sprawach, by wymusić na Przyłębskiej zwołanie Zgromadzenia Ogólnego, które wybierze kandydatów na nowego prezesa.

I tu w debatę o końcu – lub nie – prezesury Przyłębskiej toczoną przez prawników wkroczyła polityka. Prezes Kaczyński za pośrednictwem wywiadu dla PAP ogłosił swoją polityczną wolę: Przyłębska jest prezesem, a sędziowie, którzy to kwestionują, działają przeciw racji stanu. Czyli pogroził konsekwencjami. W tej sytuacji nie mieli innego wyjścia, jak pozostać konsekwentni w buncie. Inaczej potwierdziliby publicznie, że wypełniają polecenia prezesa Kaczyńskiego. Wykruszył się tylko związany z Ziobrą Święczkowski. Buntownicy znowu ogłosili, że żądają wyboru nowego prezesa, czym pokazali, że Kaczyńskiego się nie boją. Na to poszedł (z rządu?) „przeciek" do mediów, że działają pod dyktando Ziobry, który za ich pośrednictwem wymusza na prezesie Kaczyńskim zmianę prezesa TK. Najwyraźniej chciano buntownikom przypiąć polityczną „gębę". Kiedy mimo to znowu nie przyszli na naradę nad wyrokiem w sprawie ustawy o SN, Julia Przyłębska rozesłała do nich pismo, w którym żąda powrotu do orzekania i stwierdza, że ich bunt jest naruszeniem powinności sędziego i „zasad funkcjonowania legalnego organu". Czyli zaczęła przekuwać groźby prezesa w czyn.

## Walka o pietruszkę?

A cały ten nacisk na rozpoznanie wniosku prezydenta tonie w oparach absurdu. Bo przecież przymuszenie buntowników do orzekania nie gwarantuje, że Trybunał orzeknie po myśli władzy: że ustawa jest zgodna z konstytucją. Nie ma też pewności, że po wejściu nowelizacji w życie Unia odblokuje pieniądze na KPO. Ustawa poprawia bowiem praworządność w sposób dyskusyjny, za to wprowadza chaos i paraliż w Naczelnym Sądzie Administracyjnym, zawalając go sprawami dyscyplinarnymi sędziów.

Im bardziej Przyłębska usiłuje udowodnić, że nadal w Trybunale rządzi, tym wyraźniej pokazuje, że traci władzę. Co i raz zwołuje narady i wyznacza terminy rozpraw, które musi odwoływać ze względu na nieobecność buntowników. Na koniec kwietnia wyznaczyła dwie bardzo polityczne rozprawy: tzw. spór kompetencyjny – czyli sprawę ułaskawienia Mariusza Kamińskiego i innych przez prezydenta – oraz niekonstytucyjności kar nakładanych przez TSUE. Zaś osądzenie prezydenckiego wniosku w sprawie nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym wyznaczyła na 30 maja. Więc znowu będzie publiczne „sprawdzam", ile zostało z władzy Przyłębskiej.

Bunt ośmieszył nie tylko Julię Przyłębską i jej Trybunał, ale też Kaczyńskiego, którego publiczne groźby nie odstraszyły

rebeliantów. I zanosi się na trwały paraliż Trybunału, bo skoro buntownicy uznają decyzje Przyłębskiej jako prezeski TK za nielegalne, to dotyczy to nie tylko spraw pełnoskładowych, ale w ogóle wyznaczania przez nią składów we wszystkich sprawach. Przyłębska i jej adwersarze znaleźli się w podobnej sytuacji, co „starzy" sędziowie TK, gdy władzę przejęła Przyłębska wybrana sprzecznie z uchwalonym przez sam PiS prawem. Wtedy „starzy" (ku rozczarowaniu części opinii publicznej) wydawszy oświadczenie, że jej wybór jest nielegalny, podporządkowali się jednak jej władzy, uznając, że ich pierwszym obowiązkiem jest sądzenie. Buntownicy albo nie mają takich dylematów, albo tak mają dosyć Przyłębskiej.

Nie ma tego złego: Trybunał dokona aktu samowyłączenia i odbierze władzy PiS jedno z kluczowych narzędzi władzy. Gdyby zaś rządy przejęła opozycja, obawy, że nic się nie da zreformować, bo Trybunał Przyłębskiej to zakwestionuje, przestaną być straszne.

## SN nad przepaścią

O ile wydaje się, że władza traci Trybunał, o tyle jest coraz bliższa przejęcia Sądu Najwyższego. A to też ważny instrument rządzenia, choć – ze względu na liczebność – nie tak łatwy do sterowania.

Za chwilę SN zostanie całkiem przejęty przez neosędziów. Już dziś jest ich więcej niż sędziów, a w krótkim czasie przejmą władzę we wszystkich Izbach. W tym roku – z powodu osiągnięcia wieku stanu spoczynku – może odejść jeszcze połowa obecnie orzekających sędziów. I będzie sytuacja jak w Trybunale: sami swoi.

Sędziowie i neosędziowie w SN bojkotują się towarzysko. Prezeska Manowska pogłębia podział, izolując się od prezesów ostatnich dwóch Izb rządzonych przez „starych" sędziów: Karnej i Pracy i Ubezpieczeń Społecznych. Nie zwołuje zebrań prezesów, a ze swoimi prezeskami: Izby Kontroli Nadzwyczajnej Joanną Lemańską (zaprzyjaźnioną z Andrzejem Dudą) i Małgorzatą Misztal-Konecką – prezeską Izby Cywilnej – spotyka się prywatnie.

Niedługo zresztą prezes Izby Pracy Piotr Prusinowski będzie jedynym nieneoprezesem w SN, bo drugi, Michał Laskowski, prezes Izby Karnej, kończy kadencję 25 maja. Właśnie jego Izba wyłoniła trzech kandydatów – do wyboru przez prezydenta. Jest wśród nich jeden neosędzia: Zbigniew Kapiński, wieloletni sędzia apelacyjny. Można być niemal pewnym, że to jego wskaże prezydent. Poparło go wszystkich dziewięcioro (głosował sam na siebie) neosędziów orzekających w Izbie Karnej. Kapiński jest niekontrowersyjny, ale – jak słyszymy – nie ma co spodziewać się po nim aktów odwagi czy pryncypialności. Kandydatura w sam raz, by „nie drażnić Brukseli". Najwięcej głosów dostał Michał Laskowski, ale nie ma co liczyć, że prezydent Andrzej Duda weźmie to pod uwagę.

Sędziowie niemal bez wyjątku odmawiają sądzenia z neosędziami. Coraz trudniej dobierać składy tak, by orzekali w nich sami sędziowie lub neosędziowie. Jeśli skład jest mieszany, sędziowie występują o wyłączenie neosędziów, więc sprawa nie może się zacząć. Strony także składają wnioski o wyłączenie neosędziów lub o „test bezstronności". Tylko że nie daje się go przeprowadzić, bo jeśli wyznaczony jest do tego skład mieszany – to znowu będzie wniosek o wyłączenie lub przetestowanie neosędziów. Piętrowa układanka. A argumenty na rzecz braku bezstronności neosędziów są mocne: neosędziowie,

oceniając neosędziów, byliby sędziami we własnej sprawie. SN zaczyna trawić przewlekłość, do której sama Manowska się przyczynia.

## Manowska skonfliktowana

Na niedawnym posiedzeniu neoKRS I prezeska SN mówiła, że sytuacja jest „tragiczna", bo Izba Cywilna zapchała się pozwami frankowiczów (było 4,5–5 tys. spraw rocznie, teraz jest 8 tys.). Tyle że sama Manowska się do tego przyczyniła, usiłując wymusić na sędziach, by – w pełnym składzie Izby Cywilnej, a więc z neosędziami – zajęli się wykładnią prawa.

Manowska, wzorem Przyłębskiej, skonfliktowała się już nie tylko z sędziami, ale też neosędziami. W Izbie Cywilnej są wakaty, więc Manowska stara się je tymczasowo łatać, posyłając tam sędziów z innych Izb: Kontroli Nadzwyczajnej i Izby Pracy. W Izbie Kontroli sędziowie mają w referacie po 30 spraw rocznie, podczas gdy w Izbie Cywilnej – po 300, więc wyglądało to racjonalnie. Jednak dwoje neosędziów: Elżbieta Karska (żona wpływowego europosła PiS Karola Karskiego) i Paweł Czubik, odwołało się do neoKRS. Manowska przegrała, zaległości frankowe rosną.

Z winy I prezeski SN nie toczą się też sprawy z udziałem ławników. Pół roku temu Senat wybrał nowych, na następną kadencję, ale Manowska nie odbiera od nich przyrzeczenia. Powód: mają opozycyjne poglądy, bo rekomendowały ich opozycyjne organizacje, głównie KOD. Tyle że tylko tacy kandydaci się zgłosili. Pierwsza prezes ławników nie zaprzysięga „bez żadnego trybu", zainspirowana widać tym, jak prezydent Andrzej Duda odmówił zaprzysiężenia sędziów wybranych do Trybunału Konstytucyjnego.

## Sprawy w areszcie

Aresztowanie spraw to kolejny sposób, w jaki prezeska Manowska przyczynia się do przewlekania postępowań. To także działanie „bez żadnego trybu": po prostu zabiera akta spraw, których osądzenie chce zablokować, i posyła je do jakichś analiz. Skoro nie ma akt – nie można orzekać. Proceder dotyczy głównie spraw, w których chodzi o legalność orzekania przez neosędziów. Manowska jest nimi – jako neosędzia – osobiście zainteresowana. Jako pierwsze aresztowała akta sprawy wniesionej do SN przez sędziego Waldemara Żurka. Wyrok TSUE w odpowiedzi na pytanie prejudycjalne sędziów Izby Pracy SN w sprawie sędziego Żurka zapadł już półtora roku temu, ale sędzia nie doczekał się wyroku Izby Pracy i nie może wrócić do orzekania w swoim wydziale.

Aresztowanych spraw jest więcej. Prezes Izby Pracy sędzia Piotr Prusinowski napisał w marcu pismo adresowane do prezydenta, prokuratora generalnego, RPO i prezeski SN w sprawie dziesięciu aresztowanych spraw z jego Izby. Pisze: „jestem zmuszony do poinformowania Pana Prezydenta oraz pozostałych Państwa o niemożności sprawowania przez Sąd Najwyższy wymiaru sprawiedliwości, a tym samym o naruszeniu przez Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego art. 45 ust. 1 Konstytucji RP, to jest o uniemożliwianiu realizowania prawa do sądu". Prezes Prusinowski stwierdza, że jest wysoce prawdopodobne, że prezeska Manowska popełniła przestępstwa: nadużycia władzy i wywarcia przemocą lub groźbą wpływu na czynności sądu. Owa „groźba" to wszczęcie postępowania dyscyplinarnego w sprawie wadliwego wyznaczenia składu do osądzenia jednej ze spraw, w których zostało zadane pytanie prejudycjalne. Przypadek dotyczy sześciu sędziów SN, w tym prezesa Prusinowskiego.

Na razie prokurator generalny nie zareagował na doniesienie prezesa Prusinowskiego. Za to Manowska zwróciła się do prezydenta o powołanie specjalnego rzecznika dyscyplinarnego do tych sześciu sędziów, a prezydent wyznaczył zasłużonego dla władzy Piotra Schaba. Na razie nic w sprawie się nie dzieje. Natomiast sam rzecznik Schab, jego zastępca Piotr Radzik i neosędzia Dariusz Drajewicz zostali, z powodu swoich niezwykłych karier za rządów PiS, uznani w procedurze testu bezstronności za niedających gwarancji niezależności. Podobnie stało się z neosędzią Małgorzatą Bednarek, która z prokuratury awansowała do SN. To nie oznacza zakazu orzekania, bo taki „test" wywołuje skutki tylko w sprawie, w której został przeprowadzony. Ale to wstyd i publiczne napiętnowanie osób, które oddały sędziowską niezawisłość za karierę. Oczywiście, jeśli ktoś ma poczucie wstydu.

## A na dole…

Problem neosędziów jest dla całego wymiaru sprawiedliwości jak sepsa. Odmowa uznawania neosędziów za uprawnionych do orzekania jest najczęstszą przyczyną szykan wobec legalnych sędziów. A zaprzestanie tych szykan i odwrócenie ich skutków – najważniejszym bodaj „kamieniem milowym", od którego wypełnienia zależy przekazanie przez Unię pieniędzy na KPO. I tu władza PiS cofnęła się najmocniej. Dziś wszyscy zawieszeni czy odsunięci od orzekania sędziowie zostali przywróceni. Zdecydowano o tym w nowej Izbie Odpowiedzialności Zawodowej, ale są nawet przypadki, gdy sam rzecznik dyscyplinarny Schab czy jego zastępca Przemysław Radzik umarza własne postępowania. Tak stało się niedawno z katowickimi sędziami Aleksandrą Janas i Ireną Piotrowską, ściganymi od grudnia 2019 r. za pytanie prawne do SN, czy neosędziowie są sędziami: w marcu dostały pismo rzecznika Radzika, że wycofał z Izby Odpowiedzialności Zawodowej wnioski o ich zawieszenie i obniżenie wynagrodzenia. Nie podał uzasadnienia. Można przypuszczać, że uzasadnieniem jest to, że rząd ciągle zabiega o pieniądze na KPO. Ale z szykan rezygnować nie chce, więc je modyfikuje: przenosi niepokornych sędziów na inne miejsca służbowe. Szczególnie perfidnie postąpiła neoprezes Sądu Okręgowego w Warszawie Joanna Przanowska-Tomaszek: niedawno „odwieszonemu" sędziemu Piotrowi Gąciarkowi, doświadczonemu karniście, zmieniła zakres obowiązków na taki, jaki mógłby obsługiwać referendarz.

Władza demonstracyjnie upokarza za niezależność i nagradza za spełnianie jej oczekiwań. Sędzia Sądu Rejonowego Poznań-Nowe Miasto Joanna Knobel, która uniewinniła 32 osoby oskarżone o złośliwe przeszkadzanie w mszy, w ramach protestu po wyroku TK w sprawie aborcji dostała publiczną reprymendę – oczywiście „bez żadnego trybu" – od przewodniczącej neoKRS Dagmary Pawełczyk-Woickiej. Natomiast neosędzia Agnieszka Brygidyr-Dorosz, która skazała działaczkę aborcyjną Justynę Wydrzyńską za udzielenie środka wczesnoporonnego kobiecie proszącej o pomoc, bez skrępowania ogłosiła na sali sądowej, że dostała awans do wyższej instancji.

Cóż, Komisja Europejska w „kamieniach milowych" nie wspomniała o niekorumpowaniu sędziów awansami. Być może właśnie demoralizacja będzie teraz podstawowym narzędziem władzy w przejmowaniu władzy sądowniczej.

EWA SIEDLECKA

# Radykalny umiar

Pogrążający się w melancholii liberalni komentatorzy resztkami sił próbują znaleźć radę dla opozycji, która przestaje wierzyć w zwycięstwo. Moja rada: szerzej, mości panowie!

PRZEMYSŁAW SZUBARTOWICZ

ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

Pośród rozlicznych wskazówek dla opozycji poczesne miejsce zajmują apele (niżej podpisany sam dał się uwieść tą ponętną fatamorganą) o stworzenie porywającej opowieści o Polsce przyszłości. Kłopot w tym, że taka romantyczna narracja, o ile ktokolwiek rzeczywiście wpadłby na coś odkrywczego, wcale nie musi znaleźć swoich adresatów i zmienić biegu spraw.

Zasadniczy problem polega na tym, że choć antyPiS i PiS teoretycznie tkwią w śmiertelnym zwarciu, to paradoksalnie są to dwa światy, które nieustannie mijają się bez zderzeń. Jak pisał równo sto lat temu poeta Tadeusz Peiper, odpowiadając na wrogie ataki nieprzychylnych polemistów, jest „dużo pocisków, ani jednej rany". Walka polityczna w gruncie rzeczy przestała być walką. Gdy opozycja krytykuje władzę za brak pieniędzy z KPO, władza przekonuje, że pieniądze wcale nie są nam potrzebne. Gdy pod naciskiem rolników minister odpowiedzialny za ten obszar traci stanowisko, natychmiast dostaje „awans poziomy", jakby jego przewiny były wirtualne. Relatywizacja wszystkiego pożera krytycyzm obywateli.

Jeszcze niedawno wydawało się, że tegoroczne wybory będą wielkim starciem Polski Donalda Tuska (i innych demokratów) z Polską Jarosława Kaczyńskiego (i innych autokratów), a ludzie skupieni wokół proeuropejskich idei zmierzą się z nacjonalistycznymi zamordystami. Tak prosty podział miał gwarantować wiarę w zwycięstwo, nadzieję na przyszłość, miłość między liderami oraz mobilizację wyborców. Zamiast tego na opozycji zapanowała wielka smuta. Sondaże PO nie mogą trwale przebić niezłego, ale niewystarczającego do zwycięstwa pułapu wypracowanego kilka lat temu przez Grzegorza Schetynę, idea wspólnej listy stopiła się chwilowo w ogniu partyjnych kalkulacji, a Szymon Hołownia buduje raczej wizerunek ckliwego pięknoducha niż sprawnego polityka.

Dodatkowo przed zdezorientowaną publicznością odgrywane są medialne spektakle np. o tym, że Rafał Trzaskowski chciał ukraść Tuskowi Platformę, więc Tusk czuje się obrażony. Albo że Hołownia zdobędzie więcej mandatów z ludowcami, więc nie opłaca mu się szeroka współpraca z Koalicją Obywatelską, a niektórzy na lewicy na wszelki wypadek grają na dwie strony, więc nie mogą być atrakcyjnymi partnerami. Pośród takiego kociokwiku informacyjnego potencjalny wyborca nabiera przekonania, że ma do czynienia z niezbyt poważnymi ludźmi.

Skoro liderzy wciąż opowiadają o tym, jak ważne czeka Polskę polityczne starcie, to czemu Bartłomiej Sienkiewicz podkłada się rządowej propagandzie wypowiedzianymi w kontekście programu 500 plus słowami o rozdawnictwie, które buduje „marginesy społeczne", a Jan Filip Libicki kompromituje siebie, a przy okazji swoją partię (PSL odcięło się od słów senatora), dezawuowaniem ofiar pedofilów w sutannach?

Zapewne można to zrzucić na karb pewnej nonszalancji, ale najważniejsze wybory od 1989 r. – jak zgodnie nazywają tegoroczną batalię niemal wszyscy politycy – wymagają dyscypliny i precyzji. Zwłaszcza że trwa intensywne zakłamywanie rzeczywistości przez PiS, co wyklucza zbudowanie debaty wokół idei Polski liberalnej, Polski socjalnej i Polski socjaldemokratycznej. Nawet prof. Leszek Balcerowicz jako zwolennik pełnej wolności gospodarczej,

który zaczął badać natężenie populizmu w programach władzy i opozycji, zamieniając się nieoczekiwanie w swoistego symetrystę, został natychmiast zapisany do populistycznej z ducha i ksenofobicznej Konfederacji, więc rzeczowa dyskusja stała się nierealna. Pojawia się pytanie, jakie idee nieść na sztandarach, a w jakich sprawach tylko puszczać oko do swoich wyborców.

Oczywiście Donald Tusk zapowiedział, że jego partia chce legalnej aborcji do 12. tygodnia, próbuje też oddzielić prywatną wiarę od psującej się instytucji Kościoła, ale jest to raczej wyraz taktyki politycznej niż sprawa przesądzającego o wszystkim zasadniczego manifestu politycznego. Gdy lata temu wielki rodzimy spór został osadzony w narracji o Polsce Michnika i Polsce Rydzyka, miało to solidne podstawy. Elity polityczne, które porozumiały się przy Okrągłym Stole i dokonały jedynej w swoim rodzaju bezkrwawej rewolucji w imię racji stanu, wspólnie wybrały drogę ku NATO i Unii Europejskiej, a ówczesna prawica – wyzywająca demokratów od zdrajców i sprzedawczyków – poszła ścieżką zohydzania Europy i wzniecania antyunijnych lęków. Łatwiej buduje się wspólnotę na pragnieniach – a celem była wówczas realna przynależność do Zachodu – niż na mglistych proroctwach, że partia władzy dąży do wyprowadzenia naszego kraju ze struktur europejskich. Nawet jeśli takie zagrożenie istnieje, wyborcy w głębi duszy nie wierzą w samobójcze dla rządzących decyzje.

Populistom, takim jak Orbán, Kaczyński czy Trump, udało się dokonać w dyskursie publicznym rewolucji, w wyniku której tradycyjne reguły symboliczne zostały zastąpione przez perwersyjną wolnoamerykankę. Dzięki temu bezkarnie odwraca się znaki, kpi z wszelkich wartości, kwestionuje najpotężniejsze idee, wyśmiewa dawne reguły, a w zamian oferuje atrakcyjne wabiki i sny o potędze. Trudność opozycji polega właśnie na tym, że jeśli próbuje odwoływać się do racjonalizmu, postaw propaństwowych, fundamentalnych wartości demokratycznych, to zawsze przegrywa z ordynarnymi mirażami błyskawicznego szczęścia, rozsiewanymi przez populistów.

Jeśli więc nie nowy język i nie nowa opowieść, to co pozwoli opozycji – trawestując Jeremiego Przyborę – pisowskich rządów moc móc zmóc? Jeśli nie realne zderzenie Polski demokratycznej i Polski autokratycznej, to jakie jest wyjście z politycznego klinczu dla pogrążającego się w pesymizmie obozu demokratycznego? Jeśli tłumne spotkania Tuska z wyborcami, jego niewątpliwa retoryczna sprawność, propozycje programowe, zabawne filmiki w mediach społecznościowych to wciąż za mało, by wysunąć się na prowadzenie, to czy nie lepiej pogodzić się z odstawionymi na bocznicę frakcjami w PO, dołączyć do gry popularnego Trzaskowskiego, rozdać karty na nowo i sprawdzić siłę takiej listy? Jeśli Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz nie chcą iść w jednym bloku z Tuskiem, to czy nie powinni budować swojej chadeckiej koalicji z werwą i zapałem, a nie ślamazarnie i nieporadnie, licząc na sondażowy cud? Jeśli polityka uprawiana dotychczas przez opozycję nie przyniosła spodziewanych rezultatów, to czy nie trzeba spróbować po prostu innej polityki?

Trafia mi do przekonania pogląd prof. Jarosława Flisa, który doradza opozycyjnym liderom, by brali przykład z powiatowej elity politycznej trzymającej się z daleka od wojen kulturowych, ponieważ przesłaniają one realne problemy ludzi, na ogół związane z pracą, firmą, utrzymaniem rodziny, wiązaniem końca z końcem. Można to potraktować jako ważny postulat, który powinna wdrożyć opozycja, żeby nie dawać się nieustannie rozgrywać liderowi PiS ksenofobicznymi czy homofobicznymi prowokacjami. Otwarcie się na samorządowców i rozsądne wciągnięcie ich do dużej polityki miałoby swoje pozytywne konsekwencje w tej materii.

Cokolwiek wyszło Tuskowi i jego ludziom w wewnętrznych badaniach, nie zadziałało tak, jak powinno. Przechył w stronę światopoglądowej lewicy nie przyniósł wcale znaczącego skoku poparcia w sondażach, nie uwiódł też nadmiernie wielkomiejskich elit, które tradycyjnie kręcą nosem, a odświeżający pomysł tzw. babciowego czy obietnica zerowego kredytu na mieszkanie dla młodych, skądinąd zresztą dość słabo przez autorów reklamowane, nie wywołały spodziewanej rewolucji.

Platforma powinna więc odkurzyć tak wyśmiewaną kiedyś „konserwatywną kotwicę", być może znaleźć dla niej inną nazwę, zwłaszcza że współczesny konserwatyzm nie boi się ani legalnej aborcji, ani związków partnerskich, ani świeckiego państwa, z których to postulatów nie powinno się rezygnować. Jednak dociążenie umiarkowanego skrzydła, które obecnie jest w personalnej i programowej defensywie, pozwoliłoby największej partii opozycyjnej znów zacząć reprezentować szerokie liberalne centrum i powalczyć o straconego wyborcę, a być może nawet o zupełnie nowego.

Opozycja musi odzyskać wiarygodność i sterowność, a poszerzenie pola walki o programową wielowątkowość w ramach KO dałoby na to szansę. Pozwalałoby krytykować Kościół za rozpasanie, afery, przestępstwa i hipokryzję bez obrażania wierzących, dewastowania pomników papieża, organizowania manifestacji w kościołach, jak nieraz czynią to ulubieni przez prezesa PiS pożyteczni radykałowie. Stwarzałoby przestrzeń dla odważnych propozycji gospodarczych z zachowaniem słuchu społecznego i socjalnej wrażliwości. Byłoby także szansą, by otworzyć się na tych, którzy z różnych powodów rozczarowali się polityką lub odeszli do politycznej szarej strefy. Aktywna, grająca zespołowo i szeroka Platforma – od Trzaskowskiego, poprzez Tuska, po Schetynę – miałaby wszystkie atuty pozwalające na powrót do propozycji wspólnej listy opozycji, bo zagospodarowywałaby większość opozycyjnych idei: lewicowych, liberalnych, chadeckich i konserwatywnych. Tusk musi postawić na szerszą drużynę, bo sam nie da rady.

Konieczne wydaje się także natychmiastowe zawarcie realnego paktu o nieagresji po stronie opozycyjnej, ponieważ eksperyment z rywalizowaniem między sobą okazał się kompletną klapą. Niech każdy robi swoje, a w ramach szukania wspólnych spraw cała opozycja mogłaby zająć się przeciąganiem na swoją stronę grup społecznych, w które najbardziej uderzyły pisowskie reformy i „reformy". Nie jest bowiem tak, że transfery realizowane w ramach rozlicznych rządowych programów uratowały całe polskie społeczeństwo przed bytowym bankructwem, jak chce propaganda. Raczej poprawiły sytuację pewnych grup społecznych, ale przede wszystkim uwiodły elektorat władzy, odepchnęły zaś tych, którzy nie przydadzą się jej przy urnach wyborczych. Przedsiębiorcy, nauczyciele, klasa średnia i inteligencja z Polski B, rozczarowani rolnicy wciąż czekają na swoją polityczną reprezentację, która będzie umiała dać im nadzieję na przyszłość.

W pięknym wierszu „Spiskowcy" Jorge Luis Borges pisał o ludziach „różnych plemion", którzy „podjęli dziwną decyzję: postanowili być rozsądni". Niemożliwe? ■

© PAP/RAFAŁ GUZ

**Przemysław Szubartowicz**
(ur. 1976 r.) – dziennikarz radiowy i telewizyjny, publicysta, felietonista, poeta i krytyk literacki. Były redaktor naczelny portalu Wiadomo.co.

# Zła pogoda dla klimatu

**Dorośli mówią: walczcie, bo jak nie wy, to kto? Ale z młodych, którzy aktywnie walczyli kiedyś o klimatyczne zmiany, uszło właśnie powietrze.**

JULIA ZABRODZKA

Zbierali się na warszawskim placu Na Rozdrożu. Grupka nastolatek pisała sobie markerem na dłoniach „Future in our hands". Główne hasło wydarzenia – „Jeszcze nie wymarła, póki my żyjemy".

Potem marsz pod Sejm pod muzykę „Dancing queen" Abby. Tak jak bohaterka piosenki, gros osób uczestniczących w wydarzeniu to nastoletnie dziewczyny, w sumie niewiele, może kilkadziesiąt. Od tamtej pory już nic większego się nie wydarzyło.

W 2019 r. młodzi ludzie wyszli na ulice niemal na całym świecie. Jedną z inspiracji była dla nich Greta Thunberg, która rok wcześniej, w wieku 15 lat, rozpoczęła uczniowski protest przed szwedzkim parlamentem. Domagała się

ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

m.in. zmniejszenia emisji $CO_2$ i respektowania postanowień traktatu paryskiego, mających ograniczyć globalne ocieplenie. Choć nie była pierwszą uczennicą, która zwróciła uwagę na te kwestie – wcześniej protestowali m.in. nastolatkowie z Florydy – trafiła we właściwy moment i pociągnęła za sobą rówieśniczki i rówieśników z całego świata. W marcu 2019 r. odbył się pierwszy piątkowy protest w ramach międzynarodowej inicjatywy Fridays For Future, która w Polsce przyjęła nazwę Młodzieżowego Strajku Klimatycznego. Uczestniczyli w nim uczniowie ze 125 krajów. We wrześniu, podczas Protestu Tysięcy Miast, demonstracje odbyły się w kilkudziesięciu miejscach w Polsce.

– *Nastąpiło aktywistyczne przebudzenie. A wartością Młodzieżowego Strajku Klimatycznego w Polsce było to, że wyszedł poza wielkie ośrodki miejskie* – komentuje dziś dr Dominika Blachnicka-Ciacek z Wydziału Socjologii UW. W 2019 r. opracowała raport „Młodzi Polacy wobec zmian klimatycznych". Po latach narzekań, że młode pokolenie nie angażuje się w protesty, nastolatkowie wyszli na ulice. Na transparentach pisali do dorosłych: „Nie zabierajcie dzieciom przyszłości", „Nie mamy planety B", „Nasze życie jest ważniejsze niż wasz komfort", „Wasza bierność nas zabija".

„W młodych tkwi siła, której nie można lekceważyć" – zaczęli emocjonować się komentatorzy. O strajkach informowały nie tylko dzienniki, ale nawet prasa kolorowa, jak „Viva!" czy „Vogue". Wszyscy zdawali się wierzyć, że sam entuzjazm młodych może uratować planetę.

## Poczuć, że ktoś mnie wysłucha

W 2020 r. działania proekologiczne i klimatyczne wyhamowała pandemia. Część aktywistek i aktywistów dołączyła do Strajku Kobiet. Ale już we wrześniu tamtego roku Młodzieżowy Strajk Klimatyczny wrócił na ulice. W lutym 2021 r. działacze Extinction Rebellion – grupy odwołującej się do idei nieposłuszeństwa obywatelskiego – ogłosili Klimatyczny Stan Wyjątkowy, blokując przez wiele godzin centrum Warszawy. Kilka miesięcy później pierwszą spektakularną akcję zorganizował młodzieżowy odłam ruchu: Extinction Rebellion Youth (XRY). Młode osoby aktywistyczne – jak sami o sobie mówią – zablokowały wówczas stołeczną Wisłostradę. Uczniowie z MSK protestowali pod siedzibą PGE, żądając sprawiedliwej transformacji energetycznej; pod siedzibą PZU pytali, czyją przyszłość ubezpiecza firma; na stołecznym placu Defilad zorganizowali festiwal z prelekcjami, warsztatami i pokazami filmowymi; skrzykiwali się na kolejne demonstracje.

– *2021 był złotym rokiem naszego aktywizmu* – deklarują Matylda, związana z MSK, oraz Zosia, działająca w XR. Matylda dołączyła do MSK w 2020 r. jako 12-latka. Jej pierwszą akcją był wrześniowy strajk, kiedy uzbrojona w megafon kierowała jedną z sekcji protestu. – *Wtedy zrozumiałam, że chcę to robić. Chociaż potem przez dwa dni odsypiałam emocje i wysiłek, poczułam, że jest to rzecz, która daje mi siłę* – wspomina.

Zosię ciągnęło do bardziej radykalnych działań, dlatego dołączyła do Extinction Rebellion. – *Czułam, że muszę coś zrobić. Chciałam poczuć, że ktoś mnie wysłucha* – opowiada. Jej pierwsza akcja – blokada Orlenu – skończyła się jednak niepowodzeniem. Została szybko stłumiona przez policję. – *Śledzili nas, robili przeszukania, jeździli za nami. To było ciężkie przeżycie: przygotowujesz się przez kilka miesięcy, a nagle okazuje się, że tak łatwo wszystko stłamsić* – wspomina Zosia.

## Natura czy matura

– *Po paru strajkach, akcjach, konferencjach nadszedł moment, gdy opadłam z sił. Skala działań bardzo ostatnio spada. W ruchu czuje się wypalenie, nikt nie widzi sensu dalszych akcji* – opowiada Matylda. Brakuje zasobów, sił i ludzi, żeby wszystko ogarnąć. – *Gdy przyszłam na mój pierwszy strajk, nie wiedziałam, że przygotowanie takiego wydarzenia to aż tyle pracy.*

Są jednak chwile warte tego wysiłku. Ollie działał w MSK w Lesznie od wrześniowego strajku w 2019 r. – *W moim małym Lesznie przyszło 500 osób, to było rekordowe zaangażowanie* – pamięta dumę, gdy gratulował mu znajomy z Warszawy. – *Później ludzie pomyśleli chyba, że to odhaczyli, mają temat z głowy. Skupiliśmy się na zorganizowaniu pojedynczego strajku, a nie zbudowaniu ruchu. A potem zablokowała nas pandemia i po prostu się rozsypaliśmy* – ciągnie. Ollie nadal działa w MSK, ale w Poznaniu. Ostatnio zresztą trochę się wycofał, w tym roku przygotowuje się do matury. – *Kiedyś deklarowałem, że najpierw natura, potem matura, ale nie mogę sobie na to pozwolić. Z MSK nie wyżyję. Ale jestem rozdarty. Chciałbym mieć poczucie, że coś robię. Jak sobie myślę o, powiedzmy 2050 r., to czuję, że byłbym zawiedziony, gdyby nam się nic nie udało.*

Ollie sam przyznaje, że nie jest to chyba zbyt zdrowe podejście: złość na poprzednie pokolenia, które nie zrobiły nic, by ratować klimat, przekłada na wygórowane wymagania względem samego siebie. – *U nas chęć działania wynika trochę z poczucia przymusu. Z negatywnych emocji. Ale nie mamy na to wpływu. To nie jest tak, że może zrobiłbym coś dla klimatu. Teraz już po prostu trzeba.*

– *Wydaje mi się, że nie ma innej opcji. Bo co można zrobić? Można tylko się złościć albo przekuć tę złość w działanie* – Olga Ślepowrońska jest psycholożką i aktywistką. Sama doświadczyła depresji związanej z klimatem. W 2019 r. założyła w Warszawie Klimatyczną Grupę Wsparcia, która dla niej też była terapią – próbą znalezienia własnego obszaru sprawczości, a także ludzi, którzy czują i myślą podobnie. – *Lęk klimatyczny to specyficzna forma żałoby. Kiedy umiera ktoś bliski, nikt z nami nie dyskutuje, czy ta osoba umarła, czy nie. A w przypadku depresji klimatycznej wiele osób twierdzi, że to wyimaginowany problem.* Ślepowrońska wspomina, że na pierwsze spotkanie przyszło kilkadziesiąt osób, niektóre specjalnie przyjechały z innych miast.

Psycholożka podkreśla, że aktywizm może być formą radzenia sobie z lękiem i niepewnością związanymi ze zmianami klimatu. – *Mamy grupę odniesienia, która odczuwa to samo co my, mierzy się z takimi samymi lękami. Mamy poczucie sprawstwa i pomysł, co ze sobą zrobić* – wyjaśnia. A dr Blachnicka-Ciacek dodaje: – *Każda aktywność społeczna, zwłaszcza wśród młodych, jest bardzo ważna i przekłada się na późniejsze postawy. Doświadczenie wspólnego działania to niesamowity zasób.* Socjolożka precyzuje, że poczucie wpływu może dotyczyć również spraw na pozór skromnych. – *W małej skali łatwiej dostrzec efekt i ludzie uczą się, że to również jest ważne. Natomiast w wielkiej skali, jeśli chodzi o kształt polityki klimatycznej w Polsce, jest niestety ciężko.*

## Już za późno?

– *Ważne jest, by kiedyś mieć poczucie, że się nie odpuściło, nie siedziało bezczynnie* – dodaje Zosia. Mówi, że niekiedy czuje się dostrzeżona i wysłuchana, ale równie często ma wrażenie, że jej działania nic nie dają. Dr Blachnicka-Ciacek podkreśla, że wrażenie walenia głową w mur jest udziałem wielu najbardziej zaangażowanych aktywistów. Dodaje jednak, ▶

© JULIA ZABRODZKA

**Aktywistki klimatyczne: Matylda działająca w Młodzieżowym Strajku Klimatycznym oraz Zosia związana z Extinction Rebellion Youth.**

Po paru strajkach, akcjach nadszedł moment, gdy opadłam z sił. W ruchu czuje się wypalenie, nikt nie widzi sensu dalszych akcji – opowiada Matylda.

▶ że tak naprawdę mówimy o garstce ludzi. – *Z badań wynika, że młodzi Polacy wcale nie są bardziej przejęci stanem planety niż inne grupy wiekowe* – wyjaśnia. – *Z 2022 r. mamy dosyć przygnębiające dane, które pokazują, że osoby od 18 do 24 roku życia w największym stopniu czują się zdezorientowane. Młodzi uważają, że nie da się już nic zrobić, że jest za późno na podejmowanie jakichkolwiek działań.*

Socjolożka odwołuje się do raportu „Ziemianie atakują", sporządzonego na podstawie badań przez agencje Lata Dwudzieste i Kantar. „Nadzieją nie napawa fakt, że brak chęci działania deklarują osoby młode" – czytamy w nim. A ze stwierdzeniem: „To inni są odpowiedzialni za katastrofę ekologiczną, nie zamierzam nic z tym robić", zgadza się 13 proc. ogółu badanych i aż 23 proc. młodych. Warto zaznaczyć jednak, że blisko 70 proc. respondentów potwierdza, że: „Stan, w jakim znalazła się Ziemia, jest poważny i wymaga natychmiastowych działań". Dr Blachnicka-Ciacek dodaje, że młodzi dorośli w ogóle są bardziej sceptyczni i z lękiem patrzą na kierunek, w jakim zmierza Polska. – *Łączyłabym ten sceptycyzm dotyczący własnego wpływu na klimat z ogólnym poczuciem braku perspektyw. Być może jest to pierwsze pokolenie, które uważa, że będzie miało gorzej niż rodzice* – mówi socjolożka.

Ślepowrońska winą za powszechne zniechęcenie częściowo obarcza media. – *Aktywizm wymaga siły. A media piszą o katastrofie klimatycznej w nieodpowiedzialny sposób. Po pierwsze, poruszają ten temat zbyt rzadko. Po drugie, jeśli już o nim piszą, to tak, że chce się jak najszybciej przestać czytać: cierpimy na śmiertelną chorobę, na którą nie ma lekarstwa, a która jeszcze nie daje symptomów.*

– *Bardzo nie lubię pytań, które zadają nam niektórzy dziennikarze: wymień trzy rzeczy, które byś zmieniła, żeby planeta była teraz w dobrej kondycji* – zżyma się Zosia. – *My nie jesteśmy ekspertami. To nie my odpowiadamy za naprawianie świata. My mówimy: „Hej, posłuchajcie ekspertów!", a nie: „Hej, my wam powiemy, co macie zrobić". Ja mam 14 lat!* – irytuje się. Sygnalizuje tym samym jeden z problemów związanych z młodzieżowymi protestami. Czytając niektóre komentarze wyrażające poparcie dla tych ruchów, można odnieść wrażenie, że ich autorzy uznają za normalne, że to właśnie nastolatki zajmują się takimi sprawami. – *Zatkało mnie, kiedy w „Dzień Dobry TVN" na zakończenie wywiadu dziennikarka powiedziała: „Walczcie dalej, bo jak nie wy, to kto?"* – opowiada Matylda. Podobne odczucia ma Ollie. – *Osoby z pokolenia moich rodziców często cieszą się, że młodzi coś robią. Ale nie pomagają nam w tym. A przecież mogliby się zaangażować.*

Nie są to wyłącznie odczucia młodych. Dr Blachnicka-Ciacek też wskazuje na powszechność głosów typu: „Czy młodzi uratują planetę?". – *Oczekiwaniom względem MSK, XR i innych inicjatyw towarzyszy sprzeczność. Z jednej strony ruchy te nieustannie przypominają nam, że potrzebna jest radykalna zmiana myślenia o świecie. Ale gdy organizują demonstrację albo blokadę, by zwrócono na nie uwagę, słyszymy narzekania, że to już przesada, bo ktoś nie może dojechać do pracy* – kwituje socjolożka. Wyczuwalny w jej głosie sarkazm znajduje poparcie w badaniach. W raporcie „Ziemianie atakują" czytamy, że gotowość do istotnego ograniczenia korzystania z samochodu deklaruje zaledwie 16 proc. badanych.

## Siewca i słoneczniki

Ostatnio głośnym echem odbiły się akcje, w których aktywistki ruchów klimatycznych oblewały słynne obrazy, m.in. Van Gogha i Moneta, płynami, najczęściej zupą z warzyw. Choć doniesienia brzmiały dramatycznie, za każdym razem okazywało się, że dzieła nie ucierpiały, ponieważ były zabezpieczone, o czym aktywistki wiedziały. Mimo to akcje wywoływały ogromne oburzenie.

– *Ja sama nie zorganizowałabym takiej akcji* – mówi Zosia. – *Ale cała ta rozmowa o obrazach za szybą w obliczu katastrofy klimatycznej wydaje mi się dziwna.* Matylda też odnosi się do takiej formy protestu sceptycznie: – *Może nie jest to najlepszy pomysł, ale zastanawiam się, do czego musimy się posunąć, by politycy zauważyli, o co tak naprawdę walczymy i co chcemy osiągnąć?*

Tak gorzkie słowa w ustach nastolatek nie znaczą, że nie zdają sobie sprawy z wysiłków podejmowanych na poziomie kraju czy Unii Europejskiej. Wiedzą jednak, że działania te nie są wystarczające. Pod koniec 2022 r. Inger Andersen, dyrektorka wykonawcza Programu Środowiskowego ONZ, powiedziała, że czas na stopniowe zmiany już minął, a przed przyspieszeniem katastrofy klimatycznej świat może uratować tylko gruntowna transformacja gospodarek i społeczeństw. Tymczasem z raportu Międzynarodowej Agencji Energetycznej wynika, że w 2022 r. globalna emisja $CO_2$ związana z produkcją energii wzrosła, osiągając nowy światowy rekord.

JULIA ZABRODZKA

# Mamieni mamoną

Rozmowa z psycholożką prof. Anną Marią Zawadzką o tym, jakie skutki niesie za sobą coraz powszechniejsza materialistyczna postawa młodzieży i jak można temu przeciwdziałać.

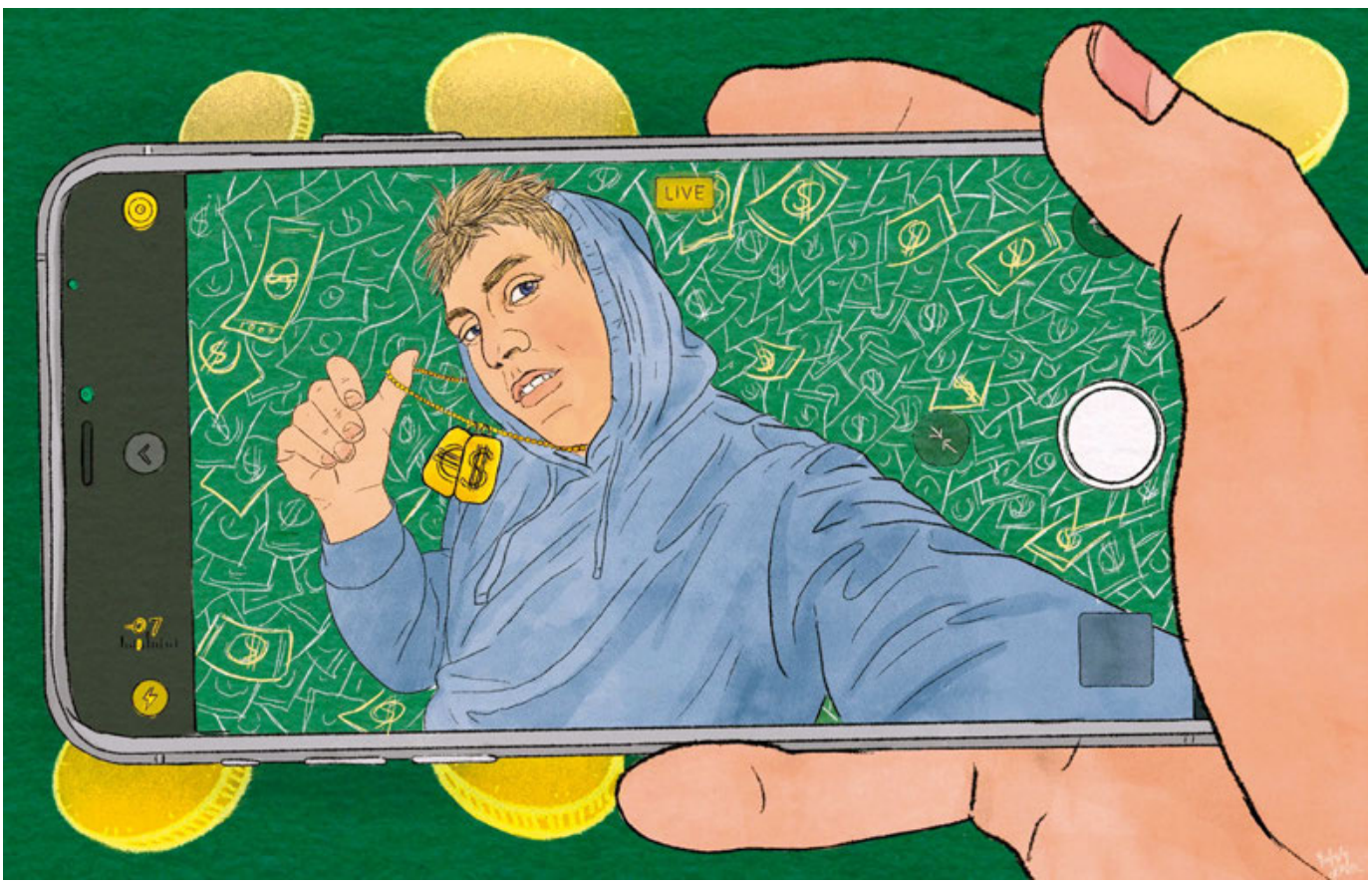


ILUSTRACJA **IZA KUCHARSKA**

EWA PĄGOWSKA: **– Czy są jakieś dowody na to, że nastolatki są dziś bardziej materialistyczne?**

ANNA MARIA ZAWADZKA: – Większość nastolatków jest materialistyczna, uważa, że to dzięki bogactwu można osiągnąć szczęście; pragnie posiadać mnóstwo pieniędzy, by móc kupować dużo rzeczy i chce mieć taki zawód, który pozwala dobrze zarabiać, by czerpać z życia przyjemność. Potwierdzają to badania. Szczególnie te prowadzone przez Amerykanów, bo oni od dawna sprawdzają, jak różnią się między sobą kolejne pokolenia pod kątem cech osobowości i wyznawanych wartości. Z badań Jean Twenge wynika, że pokolenie Z, do którego należą dzisiejsze nastolatki, jest bardzo narcystyczne i skupione na sobie. Jeśli chodzi o pracę, dziś młodzi ludzie szukają przede wszystkim takiej, w której będą dobrze zarabiać. Nie chcą jednak się w nią bardzo angażować ani na niej skupiać. Sama w sobie nie stanowi dla nich większej wartości. Ważne, by dawała komfort i dużo wolnego czasu.

**Mieć dużo wolnego czasu i zarabiać dużo pieniędzy – czy to się nie wyklucza?**

Nie dla osób z pokolenia Z. Jak wynika chociażby z badań Twenge i Tima Kassera, opublikowanych w 2013 r., one chcą mieć jedno i drugie.

**To dotyczy też młodych Polaków?**

Tak. Z raportu CBOS „Młodzież 2021" wynika, że od lat 90. zmienia się podejście młodego pokolenia do wartości. Między 1994 a 2021 r. dziewięć razy pytano młodzież o trzy najważniejsze cele życiowe. Okazało się, że przez ten czas wzrosło znaczenie miłości i przyjaźni (z 39 do 57 proc.), ale też wysokiej pozycji zawodowej (z 19 do 35 proc.) oraz zdobycia majątku i wysokiej pozycji materialnej (z 25 do 35 proc.). Nastolatki coraz częściej uważają, że warto dążyć do wysokich zarobków, a coraz rzadziej uznają za ważne dążenie do wykonywania ciekawej i zgodnej z zainteresowaniami pracy. I to też widać m.in. w raporcie CBOS – cel w postaci ciekawej pracy zgodnej z zainteresowaniami był w 1994 r. ważny dla 52 proc. badanych, a w 2021 r. już tylko dla 38 proc. Oczywiście ta zmiana jest częścią ▶

▶ większych przemian w Polsce. Zaczęły się wraz z nastaniem nowego ustroju i dotyczyły wszystkich grup wiekowych.

**Jako społeczeństwo po 1989 r. zaczęliśmy stawać się coraz bardziej materialistyczni?**

Można tak powiedzieć. To, jakie wartości są ważne dla społeczeństwa, jest zależne m.in. od poziomu dobrobytu materialnego. Im jest on niższy, tym ludzie bardziej skupiają się na tym, by zabezpieczyć sobie byt, ale jednocześnie bardzo dbają o kontakty z innymi. Natomiast posiadanie pieniędzy – i masa badań to potwierdza: począwszy od amerykańskich eksperymentów Kathleen Vohs, a skończywszy na badaniach polskich ośrodków: USWPS we Wrocławiu, Uniwersytetu Śląskiego i Uniwersytetu Gdańskiego – daje złudne poczucie samowystarczalności. Rozleniwia nas, usypia, przestajemy dbać o relacje. Do czasu bolesnego przebudzenia, kiedy na skutek jakiejś poważnej straty przypominamy sobie, że są rzeczy ważniejsze niż pieniądze.

Ten nasz materializm się jednak zmieniał. Oczywiście zawsze chodzi w nim o to, żeby mieć więcej – i cenniejsze – rzeczy, ale wcześniej ważniejsze było posiadanie dóbr, a teraz to idzie w kierunku kupowania przyjemności i komfortu. Kiedyś chcieliśmy imponować drogimi przedmiotami, dziś częściej przyjemnościami i atrakcjami, na jakie nas stać. Widać to w wynikach badań Wojciecha Trempały, przeprowadzonych wśród osób od 16. do 24. roku życia. Badacz wraz ze współpracownikami sprawdzał, jakie aspiracje mają młodzi ludzie. Z podanych 12 mieli wybrać trzy dla nich najważniejsze. 48,57 proc. ankietowanych zaznaczyło zbudowanie szczęśliwej rodziny, karierę – 48,42 proc., a życie w miłości – 45,29 proc. Co zaskakujące, prawie tyle samo osób – 45,14 proc. – wybrało odczuwanie pozytywnych emocji. Autorzy badania wiążą to właśnie z kultem przyjemności i konsumpcyjnym stylem życia.

**Dlaczego to nastolatki są najbardziej skłonne przyjąć postawę materialistyczną?**

Kluczową rolę odgrywają media, które promują wartości i postawy materialistyczne. Popularny jest przekaz: Jeśli będziesz bogaty i sławny, to będziesz szczęśliwy i wolny. Młodzież to grupa, która najczęściej korzysta z mediów, głównie z internetu i telewizji. A jak wynika z badań, które przeprowadziliśmy na osobach w wieku 13–16 lat – i opublikowaliśmy w 2021 r. – im więcej czasu w ten sposób spędzają, tym bardziej materialistyczni się stają.

Serwisy społecznościowe są wymarzoną płaszczyzną dla reklamodawców. Co gorsza, media oddziałują na młodzież ze zdwojoną siłą. Bezpośrednio – gdy młodzi ludzie z nich korzystają, i pośrednio – gdy do prezentowanych treści, często promujących konsumpcję, odwołują się potem w rozmowach rówieśnicy. W tych samych badaniach potwierdziliśmy także, że duże znaczenie mają wartości i postawy rodziców – jeśli ci są materialistami, wzrasta ryzyko, że dzieci też będą. Podobny wpływ ma rodzeństwo w zbliżonym wieku.

**W jaki sposób rodzice zaszczepiają dzieciom materialistyczną postawę?**

Częste rozmowy o pieniądzach i o tym, że są w życiu najważniejsze, to jedno, ale bardziej istotne jest to, co rodzice pokazują swoimi wyborami i zachowaniem. Czy dążą do tego, by np. mieć najnowszy sprzęt albo podporządkowują życie pracy, by móc kupować drogie rzeczy? Ważne jest też, o czym i o kim rozmawiają. Czy tematem jest nowy samochód znajomych? Albo celebryci, którzy są znani z tego, że wiodą komfortowe życie? Nawet jeśli rodzice nie wspominają o bogactwie tych osób, to sam fakt, że w jakimś kontekście, np. diety czy sportu, odwołują się do nich, jest dla dzieci komunikatem, że w życiu kluczowe są pieniądze.

To, z czym kojarzy się osoba stawiana za wzór, ma ogromne znaczenie. Dobrze to pokazały badania, które przeprowadziliśmy i które miały dać odpowiedź na pytanie, czy aktywizm może być antidotum dla postaw materialistycznych u młodzieży. Zorganizowaliśmy warsztaty, na których trenerzy tłumaczyli, czym jest aktywizm, dawali przykłady aktywistów, mówili o ich motywacji i satysfakcji. W pierwszej grupie, w której o swoich działaniach opowiadali młodzi nieznani szerzej ludzie, po warsztatach materializm badanych pozostał na tym samym poziomie. W drugiej za przykład stawialiśmy aktywistów, którzy byli celebrytami. Co zaskakujące, u młodzieży w tej grupie po warsztatach potrzeba dążenia do sukcesu finansowego wzrosła.

© MP

**Anna Maria Zawadzka** – dr hab. prof. Uniwersytetu Gdańskiego, psycholożka i kierowniczka Zakładu Psychologii Ekonomicznej i Organizacji Uniwersytetu Gdańskiego. Naukowo zajmuje się problematyką wartości, dobrostanu i materializmu oraz poszukiwaniem na niego antidotum.

**Jakie znaczenie ma to, czy nastolatek wychowuje się w biednej czy bogatej rodzinie?**

Jeśli status socjospołeczny rodziny jest niski, to dziecko łatwiej przyjmuje postawę materialistyczną. Jest to dla niego forma radzenia sobie z obniżonym poczuciem własnej wartości, które wynika z tego, że rodziny na wiele rzeczy nie stać. Nastolatek chce mieć pieniądze czy określone przedmioty, żeby dzięki nim podnieść swoją samoocenę. Staje się też bardziej podatny na wpływ rówieśników. Co ciekawe, w wielu badaniach, także naszych, okazało się, że wysoki status socjospołeczny również może sprzyjać materializmowi, chociaż częściej takiemu, który wyraża się w konsumowaniu i hedonizmie, a nie w gromadzeniu dóbr.

**Jaki wpływ na stosunek nastolatka do pieniędzy mają jego rówieśnicy?**

Duży. Nastolatek jest tym bardziej materialistyczny, im bardziej materialistycznych ma kolegów i im mniej wsparcia emocjonalnego dostaje od rodziców, bo ono chroni przed negatywnym wpływem rówieśników. Udowodniliśmy to w zeszłorocznych badaniach na osobach w wieku 13–16 lat. To naturalne, że w kontakcie z rówieśnikami dziecko uczy się wchodzenia w różne role i naśladuje ich styl bycia. Jeśli jednak ma rodziców, którzy dają mu miłość i akceptację, z którymi może swobodnie porozmawiać o tym, co jest popularne i ważne w jego środowisku, to ma szansę złapać do tego dystans, spojrzeć na to z innej strony. W rezultacie jego materializm może być instrumentalny – służyć realizowaniu zadań, a nie odzwierciedlać jego wartości, np. w gronie znajomych z klasy, dla których pieniądze są bardzo ważne, nastolatek będzie zachowywać się tak samo jak koledzy, będzie rozmawiać o drogich gadżetach – ale przyjaciół poszuka w innym środowisku. Dodatkowo przed wpływem rówieśników częściowo chroni też dobra samoocena. Na nią również wpływają rodzice. Do pewnego stopnia oczywiście, bo zmiany, jakie zachodzą w ciele nastolatka, burze hormonalne i wahania nastrojów często chwieją tą samooceną. A najbardziej destrukcyjnie oddziałuje na człowieka samoocena niestabilna. Natomiast im silniejszy

jest tzw. stres rodzinny – im większa jest przewaga zdarzeń o znaczeniu negatywnym, jak np. kłótnie rodziców, nad tymi postrzeganymi przez dziecko jako pozytywne, tym większe ryzyko przyjęcia przez nie materialistycznej postawy.

**Ale właściwie dlaczego mamy się niepokoić materializmem młodzieży?**

Przede wszystkim nastolatki, które się nim cechują, częściej podejmują ryzykowne zachowania: piją alkohol, biorą narkotyki, palą papierosy, przedwcześnie uprawiają seks. Częściej też kompulsywnie robią zakupy. Zapytane, dlaczego wydały pieniądze, mówią: Nie wiem, jakoś tak mi się dobrze kupowało. Hedonizm i materializm idą w parze. I tu, i tu chodzi o więcej, bardziej i natychmiast. Nie ma samokontroli. Kompulsywne kupowanie jest bardzo niebezpieczne, bo jeśli wejdzie w nawyk, może nawet w dorosłym życiu doprowadzić do bankructwa. Kolejny negatywny skutek to uzależnianie poczucia własnej wartości od opinii innych oraz od wyglądu. Żeby utrzymać dobre mniemanie o sobie, trzeba wciąż z kimś rywalizować i starać się nadążyć za modą, a ona się przecież zmienia. O wiele zdrowiej jest opierać poczucie własnej wartości na swoich umiejętnościach, zdolnościach i charakterze, czyli na tym, co jest trwałe i stanowi integralną część nas. Materializm zmienia też podejście do ludzi, niszczy relacje, utrudnia budowanie związków. Ważniejsze staje się zdobycie popularności w grupie niż tworzenie głębokich, opartych na zaufaniu relacji, wzajemne wspieranie się i współdziałanie.

**Jak można pomóc nastawionemu materialistycznie nastolatkowi?**

Trzeba rozmawiać o innych wartościach i pokazywać inne światy. Takie, w których liczą się wspólnotowość i relacje, gdzie czerpie się radość z tego, za co nie trzeba płacić.

**Ale chyba unikanie tematu pieniędzy też nie wpływa dobrze na dzieci?**

Nie. Socjalizacja ekonomiczna jest ważna, a nawet może przeciwdziałać materializmowi. Tim Kasser sprawdził, jak na młodzież wpłynie udział razem z rodzicami w trzymiesięcznym programie edukacji finansowej „Share, Save, Spend". Trenerzy regularnie spotykali się z rodzicami i dawali im zadania do realizacji z dziećmi. Chodziło o naukę gospodarowania pieniędzmi – zachowywania zdrowych proporcji pomiędzy wydawaniem, oszczędzaniem i dzieleniem się z innymi. Nastolatki, które wzięły udział w tym programie, po jego ukończeniu miały niższy poziom materializmu niż przed jego rozpoczęciem i pozostawał on na tym poziomie jeszcze kilka miesięcy po badaniu. W grupie kontrolnej materializm wzrósł. Te badania pozwoliły też wyciągnąć wniosek, że spadek materializmu powoduje zwiększenie dobrostanu.

**Czy więc do pogorszenia się zdrowia psychicznego młodzieży, z jakim mamy dziś do czynienia, mogła przyczynić się popularyzacja postaw materialistycznych?**

I hedonistycznych. Zdecydowanie tak. W ogóle badania nad materializmem u młodych ludzi zaczęto prowadzić, bo zaobserwowano, że pewne wyznawane przez nich wartości przyczyniają się do ich złego samopoczucia. W przeciwdziałaniu materializmowi pomóc może też kontakt z osobami, które znalazły się w bardzo trudnej sytuacji, ale dają sobie jakoś radę, oraz pomoc innym. Rozwiązaniem mógłby być więc wolontariat. Ale nie na rzecz zwierząt czy planety, tylko innych ludzi. Przeprowadzaliśmy badania, w których podzieliliśmy nastolatki na trzy grupy. Poprosiliśmy, by przez miesiąc raz w tygodniu osoby z jednej grupy robiły coś dobrego dla innych, te z drugiej grupy – coś dla siebie, a te z trzeciej nie dostały żadnego zadania. Nastolatki z pierwszej grupy po miesiącu stwierdziły, że bogactwo nie jest tak ważne na drodze do szczęścia, jak wcześniej sądziły. Mnie porusza i niepokoi to, jak często ostatnio jesteśmy zachęcani do koncentracji na sobie. Wciąż słyszę: zajmij się sobą, dbaj o swoje prawa, rób dla siebie. Młodzieży też się to powtarza. A przecież wszystkie badania dotyczące dobrostanu jasno pokazują, że działanie na rzecz innych zwiększa poczucie szczęścia. Człowiek ma więcej satysfakcji z prezentu, który komuś da, niż z tego, co kupi sobie.

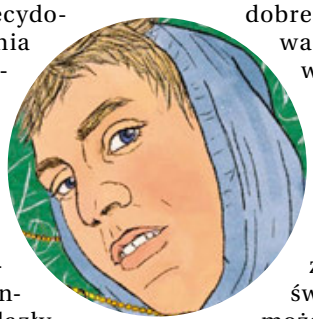

Kolejną rzeczą, która negatywnie koreluje z materializmem, jest wdzięczność. Udowodniła to Lan Nguyen Chaplin w eksperymencie przeprowadzonym wśród Amerykanów w wieku 11–17 lat. Zostali podzieleni na dwie grupy: jedna miała prowadzić dziennik z zapiskami codziennych czynności, a druga dziennik wdzięczności – badani mieli codziennie zapisywać, komu i za co są wdzięczni. Po dwóch tygodniach materializm badany testami zmniejszył się w grupie prowadzącej dziennik wdzięczności. Dodatkowo wszyscy uczestnicy eksperymentu otrzymali 10 banknotów jednodolarowych z informacją, że mogą je zatrzymać lub dowolną ich liczbę przekazać na cel charytatywny. Nastolatki, które wcześniej prowadziły dziennik wdzięczności, przekazały 60 proc. więcej pieniędzy niż te prowadzące zwykły dziennik.

**Jaki tu występuje mechanizm?**

Kiedy człowiek zaczyna wspominać i zapisywać, kto i co dla niego zrobił, ile miłych rzeczy zdarzyło się w ciągu dnia, uświadamia sobie, że łączą go z ludźmi dobre relacje, że jest dla kogoś ważny. Nabierają znaczenia wartości wewnętrzne. No i dzięki temu, że sobie te pozytywne fakty przypomina, zaczyna widzieć świat w jaśniejszych barwach. To ważne, bo młodzież, korzystając często z mediów, a one są przecież świetne w uwypuklaniu zła, może postrzegać rzeczywistość bardzo negatywnie.

Są też naukowe dowody na to, że praca nad samokontrolą i samorozwój pomagają zmienić podejście na mniej konsumpcyjne. Samokontroli uczy się, m.in. odraczając gratyfikację. Chodzi o to, by nie spełniać wszystkich życzeń dziecka od razu, tylko by musiało na coś poczekać, pozbierać na coś pieniądze, poprzedzić przyjemność wysiłkiem. Ważne jest doskonalenie umiejętności i rozwijanie mocnych stron dziecka – dobrze, by rodzice pomogli mu odkryć jego talenty i pasje – ale także nabywanie cech, które pomagają w życiu, takich jak np. radzenie sobie ze stresem i złością.

**Czy dzięki temu damy radę zmienić postawę materialistycznego nastolatka?**

Na pewno nie oczekiwałabym od współczesnych nastolatków, że dobra materialne nie będą się dla nich liczyć, bo to nie jest ta epoka. Najpierw musiałoby się zmienić globalne podejście do konsumpcji. Może wyniszczenie środowiska naturalnego w końcu nas do tego zmusi. Natomiast wierzę, że zawsze można chociaż trochę wpłynąć na postawę nastolatka. Czasami nawet jedna przypadkowa rozmowa może zmienić coś w człowieku. Dlatego kluczowe wydaje mi się spędzanie czasu z dzieckiem i dawanie mu możliwości wypowiedzenia się. Nie tylko przedstawianie swoich poglądów, ale zadawanie pytań: dlaczego tak uważasz?; dlaczego to jest dla ciebie ważne? Warto też, byśmy my, dorośli, zrewidowali swoją postawę i zastanowili się, jaki wzór dajemy młodszemu pokoleniu.

ROZMAWIAŁA EWA PĄGOWSKA

# Najpierw piersi

Promocja mieszanek zastępujących mleko odwodzi młode matki od karmienia naturalnego. Ministerstwu Zdrowia to nie przeszkadza. A dzieciom szkodzi.

PAWEŁ WALEWSKI

Jak mocno wizja macierzyństwa Polek odkleiła się od polityki rodzinnej Prawa i Sprawiedliwości, świadczą dane GUS mówiące o tym, że w ubiegłym roku odnotowano najmniej urodzeń od drugiej wojny światowej. Ale jest coś jeszcze, co stoi w sprzeczności z opowieścią PiS o prorodzinnych celach rządu i z ochroną życia najmłodszych – rezygnacja kobiet z karmienia piersią. Zawsze szczyciliśmy się bardzo wysokim, sięgającym 97 proc., odsetkiem noworodków, które otrzymywały najzdrowszy pokarm, czyli mleko matki. Teraz coraz częściej wypierają je mieszanki mlekozastępcze, podawane beztrosko, bez świadomości konsekwencji tej decyzji dla dzieci. Mieszanki nie zastąpią walorów naturalnego mleka, ponieważ nawet najlepsza technologia nie potrafi naśladować natury w wytwarzaniu wszystkich białek odpornościowych, które się w nim znajdują.

Dyrektorzy szpitali nie raportują liczby noworodków dokarmianych sztucznymi mieszankami, choć od 2018 r. zgodnie z zaleceniami WHO powinni to robić. Przeprowadziliśmy własny sondaż wśród szpitali z różnych regionów Polski i w każdym mówiono, że gotowość kobiet do karmienia naturalnego w ostatnich latach wyraźnie spadła. Nieraz spośród dziesięciu kobiet po porodzie dziewięć odmawia.

Nie najlepiej świadczy to o rodzicielskiej odpowiedzialności, ale jeszcze gorzej o państwowym systemie wspierania karmienia naturalnego, za co odpowiada Ministerstwo Zdrowia. – *W standardach okołoporodowych zamieszczono wiele słusznych zaleceń, ale to spis pobożnych życzeń, bo opieki laktacyjnej nikt nie wspiera ani nie monitoruje* – mówi prof. Ewa Helwich, krajowa konsultantka w dziedzinie neonatologii.

Program wczesnej stymulacji laktacji dla ośrodków neonatologicznych i położniczych, który prof. Helwich zredagowała z zespołem ekspertów w lutym 2014 r., miał zacząć obowiązywać po czterech latach, gdyż potrzebny był czas na wyszkolenie i zatrudnienie w szpitalach doradców laktacyjnych oraz zakup sprzętu niezbędnego matkom do odciągania pokarmu. PiS zaczęło rządzić

© VERES PRODUCTION/SHUTTERSTOCK

jesienią 2015 r. – *Od 2018 r. program nie ruszył* – przyznaje prof. Helwich.

## Wstydzą się przyznać

W styczniu tego roku w Ministerstwie Zdrowia powołano wreszcie zespół ds. poprawy jakości opieki okołoporodowej w zakresie poradnictwa laktacyjnego. I od razu jego członków zobowiązano do „zachowania poufności informacji związanych z działalnością Zespołu". Czyżby chodziło o rozdźwięk między gołosłownymi zapewnieniami ze strony rządzących o wspieraniu zdrowia dzieci a rzeczywistością? Wszak kilka miesięcy temu minister zdrowia Adam Niedzielski w podległym mu Instytucie Matki i Dziecka promował raport poświęcony narastającej epidemii otyłości, ale ani on, ani autorzy tego opracowania nie zwrócili uwagi, że istotnym czynnikiem zapobiegającym jej wśród dzieci jest właśnie wczesne karmienie mlekiem matki, a nie fabrycznymi mieszankami.

– *Jeśli refundacja mieszanek mlekozastępczych w ciągu ostatnich lat wzrosła trzykrotnie, a rodzi się coraz mniej dzieci, to już na tej podstawie można wyciągnąć wniosek, co się dzieje* – mówi nam anonimowo jedna z osób pracujących w ministerialnym zespole. Sztuczny pokarm sprzedawany szpitalom i aptekom, wytwarzany przez światowe marki, ma swoich sponsorów – karmienie piersią nie. A byłoby czym się zająć, bo są w Polsce oddziały położnicze, które nie dysponują nawet podstawowym sprzętem do laktacji.

Z niewiadomych powodów laktatory – urządzenia do odciągania naturalnego mleka i stymulacji laktacji – w przeciwieństwie do glukometrów, pulsoksymetrów czy ciśnieniomierzy nie są w Polsce uznawane za wyroby medyczne, więc rynek zalały tanie imitacje z Chin, które do szpitalnego użytku się nie nadają. Ale kobiety też liczą się z wydatkami, więc kupują właśnie te tańsze, nie mając świadomości, że byle jaki aparat za kilkadziesiąt złotych (renomowanej firmy są kilkakrotnie droższe) nie będzie pracował, jak należy, wskutek czego laktacja szybciej ustanie. – *To nawet niektórym odpowiada* – zauważa jedna z położnych. – *Wiele matek, zwłaszcza młodych, wstydzi się otwarcie przyznać, że nie chce karmić naturalnie. Przykłada więc do piersi słaby laktator i mówi nam, że zrobiła wszystko, a i tak mleka nie ma.*

## Mieszanie w mieszankach

Dorota pierwsze dziecko urodziła 10 lat temu. W lutym przyszła na świat Zosia. – *Inne miasto, inny szpital, może też czasy zmieniły się na tyle, że żadna z mam, które spotkałam na swojej sali, do karmienia piersią wcale się nie paliła* – mówi. Uderzające było to, że pielęgniarki, które się nimi zajmowały, nie próbowały ich do tego nakłonić. – *To ja, ponieważ wykarmiłam już dwójkę dzieci, postanowiłam je edukować, co stracą na sztucznym mleku. Ale usłyszałam, że jestem nienowoczesna.*

Ewa, pierwszy poród na Śląsku: – *Wybrałam prywatny szpital, bo liczyłam na lepszą opiekę. Tymczasem położne przykładały córeczkę do piersi i odchodziły, a ja nie miałam pojęcia, czy ssie prawidłowo, czy się najada. Doradca laktacyjny, który podobno był na miejscu, nie przyszedł do mnie przez trzy dni.*

Pani Dominika jako jedyna zgodziła się porozmawiać z dziennikarzem, ale z decyzji, że nie będzie nowo narodzonego synka przystawiać do piersi, nie zamierza się tłumaczyć. – *Mieszanki, które są teraz na rynku, zabezpieczą go we wszystko, co mu potrzebne do rozwoju* – przekonuje. – *A ja nie będę miała brzydkich piersi ani bała się o to, że nie dojada.*

Rozumowanie młodej matki jest dość typowe dla jej pokolenia, lecz oparte na wiedzy z internetu. Katarzyna Półtorak, doradczyni laktacyjna i położna środowiskowa z Sosnowca: – *Nie rozumiem, skąd ta bezkrytyczna wiara w reklamy, że mieszanki mlekozastępcze w pełni zastępują naturalny pokarm*. W naturalnym pokarmie znajdują się białka, mikroelementy, enzymy, hormony, 200 rodzajów oligosacharydów, które są niezastępowalnymi pogromcami bakterii i wirusów. Ale największe zdziwienie budzą u mojej rozmówczyni współczesne wyprawki, z którymi młode matki szykują się do porodu. – *Zazwyczaj jest już w nich butelka ze smoczkiem, a nieraz wychodząc ze szpitala, dostają kilka buteleczek gotowej mieszanki mlekozastępczej. Dawniej nikt z góry nie zakładał, że będzie to potrzebne.*

„Nie jestem dojną krową" – i takie argumenty słyszy Półtorak od ciężarnych kobiet, które nie są przekonane do karmienia naturalnego. – *Żyjemy w kulturze wygody* – mimo wszystko stara się je zrozumieć. – *Tłumaczą mi, że chcą się wysypiać i uniknąć nocnego karmienia, bo butelkę może też podać ojciec. Albo że muszą jak najszybciej wrócić do pracy, więc dziecko i tak zostanie skazane na sztuczny pokarm.*

Zgodnie z rekomendacjami niemowlęta przez pierwsze pół roku życia powinny być karmione wyłącznie piersią i choć po czwartym miesiącu można wprowadzać niewielkie ilości innych pokarmów, naturalne mleko pozostaje podstawowym źródłem ich żywienia. Tymczasem z badań opublikowanych kilka lat temu przez zespół prof. Barbary Królak-Olejnik z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, wykonanych na ogólnopolskiej ▶

REKLAMA

Fundacja Panoptykon

Internetowe korporacje
Zmieniamy je dla ciebie

Dołóż swoje 1,5% podatku

KRS: 0000327613

▶ grupie ponad 1,5 tys. kobiet, wyłączne karmienie piersią do 6. miesiąca życia deklarowało jedynie 4 proc. matek (w 2012 r. było to 14 proc.). Już w drugim miesiącu zrezygnowało z niego 57 proc. matek. Głównym powodem było poczucie, że dziecko się nie najada. – *Tłumaczą płacz dziecka głodem, a przecież nie każdą jego potrzebą jest jedzenie, bo niemowlę to nie sam żołądek* – podkreśla Katarzyna Półtorak.

Alergie – tym również spora grupa mam usprawiedliwia konieczność zamiany piersi na butelkę. Chodzi o to, że do mleka mogą się przedostawać z organizmu matki substancje uczulające. To lęk na wyrost. Brakuje naukowych dowodów uzasadniających eliminację produktów w diecie matki, by zapobiec kolce czy alergii u dziecka. Chociaż w jednej z ankiet co piąta Polka (spośród ponad 7 tys.) wskazała, że to lekarze zalecili jej eliminację potencjalnie alergizujących produktów i aż 43 proc. matek otrzymało to błędne zalecenie od pediatrów.

## Przestarzała wiedza

Będzie tak, jak pani sobie życzy – usłyszała Ewa przy przyjęciu do porodu, gdy zapytała personel o dostępne alternatywy karmienia swojej pociechy. – *To mi się spodobało, bo szpital powinien akceptować decyzje pacjentek* – wspomina, choć później zmieniła zdanie: – *Dlaczego nikt mnie nie przekonywał, bym jednak próbowała karmić piersią? Dlaczego nie zamienił ze mną słowa na ten temat żaden lekarz?*

Być może dlatego, że choć taki obowiązek można znaleźć we wspomnianych standardach opieki okołoporodowej, nikt z nich nikogo nie rozlicza. – *Kobiety powinny być przygotowywane do laktacji już podczas ciąży. Wtedy nie przychodziłyby do porodu z nastawieniem, że mleko naturalne można łatwo zastąpić sztucznym* – mówi dr hab. Maria Wilińska, szefowa Komitetu Upowszechniania Karmienia Piersią i kierowniczka Oddziału Klinicznego Neonatologii w Szpitalu CMKP w Warszawie. – *Po wypisie ze szpitala nasze starania też biorą w łeb.*

Pani Ewa, podobnie jak większość matek, które trafiają pod opiekę ginekologów na czas ciąży, powinna pomiędzy 21. a 26. tygodniem dowiedzieć się od nich o przysługujących im spotkaniach z położnymi podstawowej opieki zdrowotnej w ramach tzw. edukacji przedporodowej. Ale np. w całym województwie opolskim, gdzie pierwszy w Polsce NZOZ „Zdrowa Rodzina" w zakresie położnictwa środowiskowego prowadzi od 2000 r. Ewa Janiuk, wiceprezeska Naczelnej Rady Pielęgniarek i Położnych, jest zaledwie 9 lekarzy, którzy kierują na takie konsultacje. W innych regionach Polski nie jest lepiej. – *W szkołach rodzenia nie ma obowiązku mówienia o zaletach karmienia naturalnego, ale podczas edukacji przedporodowej porady laktacyjne muszą być realizowane. Tylko tej edukacji nie ma* – ubolewa Ewa Janiuk.

– *Kobiety podczas wizyt patronażowych, a więc już po porodzie, dowiadują się ode mnie, że zanim urodziły, mogły ponad 20 razy skorzystać z bezpłatnych wizyt u położnych podstawowej opieki zdrowotnej* – mówi Katarzyna Półtorak. – To mi się należało? – dziwią się.

> Trudno mieć pretensje do kobiet, że nie chcą być zmuszane do karmienia piersią, skoro tak niewiele się robi, by przekonać je do jego zalet.

Choć bywa i tak, że ginekolog zaleci wizytę u położnej środowiskowej w poradni rodzinnej, ale ta odmówi. I znów nikt nie ma nad tym żadnego nadzoru.

– *Nie weryfikuje się też wiedzy położnych. Narażę się pewnie niektórym koleżankom, ale przekazują matkom wskazówki na temat karmienia dawno zdezaktualizowane* – tłumaczy Katarzyna Półtorak, która jest położną od 23 lat, a od sześciu dyplomowaną doradczynią laktacyjną. Lista przekazywanych Polkom przestarzałych poglądów jest całkiem długa: redukcyjne diety dla matek karmiących (bez jajek, czekolady, cytrusów, pomidorów, pietruszki, selera, ryb, orzechów, pszenicy, soi, papryki, ciepłego pieczywa, kakao, mleka), obowiązkowe dokarmianie maluchów, przystawianie tylko do jednej piersi, stosowanie kapturków na brodawki (zamiast korekcji techniki ssania). Wszystkie te zalecenia nie służą prawidłowej laktacji lub przyspieszają decyzje o rezygnacji z karmienia naturalnego, bo niełatwo wytrzymać na tak drakońskim (i niepotrzebnym) poście albo borykać się z bólem. A zdarza się i tak jak u pani Doroty, że wizyty patronażowe położna odbywała… przez telefon. – *Czy tak powinna się odbywać kontrola rozwoju noworodka? Co się dziwić, że moje koleżanki sięgają po sztuczne mieszanki, skoro same muszą ocenić, czy ich dzieci prawidłowo przybierają na wadze.*

## Niewydolny system

Trudno mieć pretensje do kobiet, że nie chcą być poddawane terrorowi laktacyjnemu, czyli zmuszane do karmienia piersią, skoro tak niewiele poświęca się im czasu, by przekonać je do jego zalet. Ale władzom resortu zdrowia nie przeszkadza, że matki – niedoinformowane w kwestiach właściwego żywienia niemowląt – zachęcane są np. do komercyjnego bankowania krwi pępowinowej, rzekomo przydatnej w leczeniu ich jeszcze nienarodzonych dzieci. Uczą się więc nie tego, co trzeba, tylko na co jest zapotrzebowanie wśród sponsorów.

Co więcej, stawka wizyty patronażowej z uwzględnieniem porady laktacyjnej, która zajmuje od 1,5 do dwóch godzin, została wyceniona przez NFZ na 26 zł. Większość takich porad udzielana jest więc komercyjnie i trzeba za nie zapłacić z własnej kieszeni 100, a czasem nawet kilkaset złotych. Sztuczne mleko kosztuje taniej.

Nie pomyślano również o skróceniu drogi do innych specjalistów, którzy potrafią rozwiązać bardziej skomplikowane problemy. – *Przy stanach zapalnych piersi też odsyłamy do lekarzy rodzinnych lub ginekologów, którzy potrafią ofukać pacjentkę, bo uważają, że to nie problem, którym powinni się zajmować* – wyznaje Ewa Janiuk. – *A chodziłoby o zwykłe skierowanie do chirurga, by odbarczył ropień, lub o umożliwienie położnym przepisywania na receptę leków przeciwzapalnych w tym wskazaniu.* Dlaczego w wykazie farmaceutyków, które mogą ordynować położne, ich nie ma, a są np. leki na zapalenie uszu, których raczej nie stosują?

Te wszystkie zaniedbania obciążają twórców systemu, który do karmienia naturalnego nie zachęca. Jakoś nikomu nie przychodzi do głowy, by zastanowić się, dlaczego ponad 90 proc. kobiet przerywa karmienie piersią z powodu nieuzasadnionych lęków lub przesądów – i nikt nie stara się temu przeciwdziałać. Tylko kto w Ministerstwie Zdrowia miałby to robić? Za rządów PiS departament matki i dziecka został zlikwidowany, więc nikt już nie sprawuje pieczy nad modelem wczesnego żywienia.

PAWEŁ WALEWSKI

© SHUTTERSTOCK

# 80. rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim

Już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Zapraszamy na profil https://www.facebook.com/projektpulsar/, a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów z cyklu „POLITYKA o historii”

# Najłatwiejsze pieniądze w Polsce

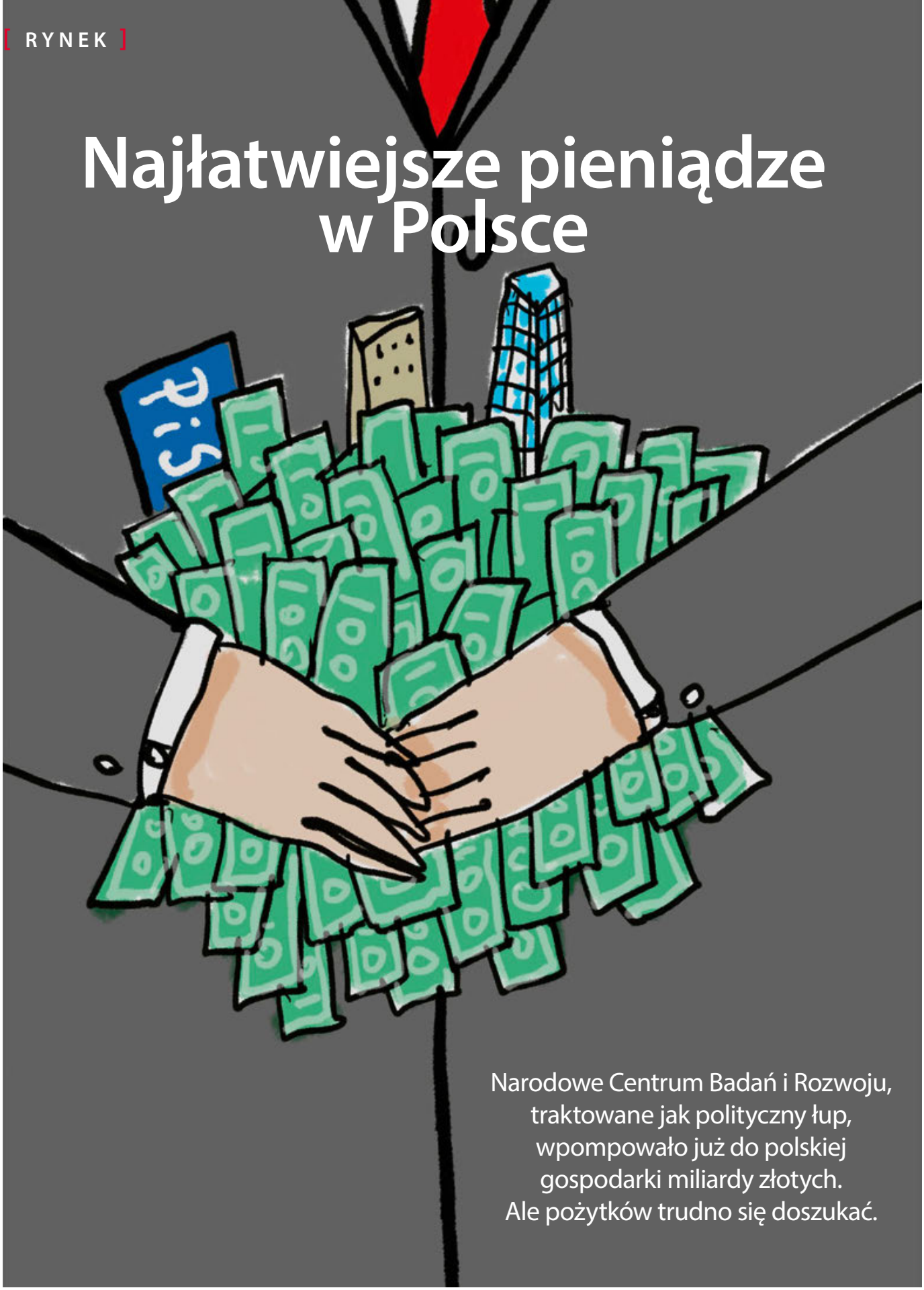


Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, traktowane jak polityczny łup, wpompowało już do polskiej gospodarki miliardy złotych. Ale pożytków trudno się doszukać.

ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

MARCIN PIĄTEK

Afera z wyprowadzeniem 188 mln zł dotacji dla firm bez dorobku, powiązanych z politykami Partii Republikańskiej, wymusiła wzięcie pod lupę Narodowego Centrum Badań i Rozwoju przez prokuraturę oraz Centralne Biuro Antykorupcyjne. Obie instytucje kontrolowane bezpośrednio przez polityków obozu rządzącego, więc wiadomo, że jak długo ta władza będzie trwała, wszyscy organizatorzy procederu pozostaną bezkarni.

– *Nie chodzi tylko o bezpodstawnie przyznawane dotacje* – mówi poseł Dariusz Joński z PO, który wspólnie z posłem Michałem Szczerbą tropi skok polityków Prawa i Sprawiedliwości na państwową kasę – *ale również o pączkowanie podmiotów wewnątrz NCBiR. Bez merytorycznego uzasadnienia powoływane są do życia kolejne spółki, każda ma swój zarząd i radę nadzorczą – to oznacza dużo stanowisk do obsadzenia. A te spółki zlecają ekspertyzy, opinie prawne, podpisują umowy-zlecenia. Właśnie badamy, z kim konkretnie* – dodaje. NCBiR powstało po to, by z unijnych pieniędzy finansować sferę badań i rozwoju, do czego prywatny kapitał – zwłaszcza w kraju na dorobku, jak Polska – zazwyczaj nie jest skory.

**W ostatniej dekadzie NCBiR rozdzielał między beneficjentów konkursów średnio 5 mld zł rocznie.** 2017 r. był wyjątkowo chudy – 2,7 mld do podziału, ale od tej pory pula systematycznie rosła, a w ubiegłym roku plan zakładał rozdysponowanie rekordowych 7,8 mld. – *To ogromna suma. Budżet Łodzi albo Wrocławia waha się wokół 5 mld* – zwraca uwagę Joński. Funkcjonowaniu NCBiR przygląda się wespół z posłem Szczerbą od mniej więcej trzech lat. Ich uwagę przykuły najpierw olbrzymie dotacje (180 mln zł w latach 2012–20), jakie otrzymała w ramach różnych grantów biotechnologiczna firma Onco Arendi, należąca do Marcina Szumowskiego, brata byłego ministra zdrowia w rządzie PiS, Łukasza. Publiczny szum skłonił Centralne Biuro Antykorupcyjne do przeprowadzenia kontroli, która ujawniła liczne nieprawidłowości w NCBiR: konflikt interesów między ekspertami a wnioskodawcami, rozmyte kryteria oceny wniosków, niejasny sposób doboru oceniających.

Marcin Szumowski wycofał się z panelu eksperckiego, gdy rozważano wpompowanie milionów w projekty przedstawione przez Onco Arendi, ale jego brat minister zaordynował przekazanie do NCBiR 57 mln zł na obsługę Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój, którego beneficjentem była Onco Arendi. Wrażenie konfliktu interesów pozostało, jesienią 2020 r. ogłoszono, że pakiet akcji kupiła duża belgijska firma z sektora biotechnologicznego Onco Arendi. Cena akcji wspięła się na szczyt (80 zł), ale od tamtej pory spółka – obecnie występująca pod zmienionym szyldem Molecure – traci na wartości; jej akcje kosztują cztery razy mniej. Sukces okazał się pozorny.

– *Prosiliśmy Pawła Kucha, kiedy jeszcze pełnił funkcję dyrektora, o doprecyzowanie, co konkretnie udało się stworzyć dzięki grantom NCBiR. Co polska gospodarka z tego ma? Odparł tylko, że można to sobie sprawdzić na stronie internetowej centrum* – dodaje Joński.

Umieszczono na niej m.in. wyszukiwarkę sukcesów beneficjentów. Wśród wartych wsparcia projektów eksperci NCBiR umieścili m.in. program wychowania przedszkolnego, nowy system rejestracji i przetwarzania obrazu przestrzennego, recykling roślinnych olejów posmażalniczych, automatyczną skrzynię biegów do maszyn rolniczych, nakładkę rozprowadzającą energię cieplną z moszny, lody dla diabetyków, program senior w akcji, innowacyjną wylęgarnię ryb łososiowatych…

W nazewnictwie projektów dużo enigmatycznej, naukowej nomenklatury: światłowody mikrostrukturalne, sfunkcjonalizowane biopolimery, robotyczna manipulacja obiektami elastycznymi, koherentny spektrometr dyspersyjny, ogniwa słoneczne perowskitowe itp. Ale w tytułach powracają też chwytliwe – przynajmniej jeśli chodzi o ubieganie się o granty na badania i rozwój – sformułowania: innowacyjny, autorski, przełomowy, zaawansowany, kluczowy. Dla zainteresowanych jest jeszcze zakładka „dowiedz się więcej", ale na ogół próżno tam szukać konkretów o jakichkolwiek sukcesach rynkowych. Tymczasem ustawa o NCBiR mówi wprost: do zadań centrum należy wspieranie komercjalizacji wyników badań naukowych lub prac rozwojowych.

POLITYKA zwróciła się do kilkunastu firm oraz instytucji naukowych będących beneficjentami grantów z NCBiR z prośbą o przedstawienie efektów wdrożenia: w czym konkretnie pomogła dotacja, co udało się dzięki niej stworzyć, jak przełożyła się na rozwój firmy mierzony przychodami lub stanem zatrudnienia, czy produkt zainteresował rynek? Odpowiedziała jedna – Airly, producent urządzeń monitorujących jakość powietrza. Marcin Gnat, odpowiedzialny w firmie za marketing: – *Otrzymaliśmy z NCBiR dofinansowanie w wysokości 3,4 mln zł. Zainwestowaliśmy w zatrudnienie, stworzenie laboratorium i zakup materiałów. Innowacyjność? Nasze stacje pomiarowe nie tylko monitorują jakość powietrza, ale dzięki wykorzystaniu sztucznej inteligencji tworzą 24-godzinną prognozę. To przykuwało uwagę na targach zagranicznych i przełożyło się na sprzedaż do ponad 40 krajów na świecie. Firma się rozwija, zwiększyła przychody i zatrudnienie.*

**Dlaczego beneficjenci nie chwalą się efektami swoich prac?** – *Bo nie chcą być zestawiani z instytucją, która kojarzy się z wyprowadzaniem gigantycznych pieniędzy na lewe spółki zakładane przez kolegów polityków PiS* – mówi jeden z byłych, wysoko postawionych pracowników NCBiR. I dodaje, że według niego granty z pewnością przełożyły się na rozwój branży gier komputerowych. Przykłady konkretnych produktów? – *Pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to dofinansowanie prac nad karabinkiem Grot z fabryki „Łucznik"-Radom.*

Jakub Bursa, partner zarządzający polskiego oddziału firmy Civitta, zajmującej się m.in. pośrednictwem w pozyskiwaniu grantów od instytucji publicznych (rocznie analizują mniej więcej sto wniosków o dofinansowania z NCBiR): – *W projekty badawczo-rozwojowe wpisane jest ryzyko niepowodzenia, a na komercyjne efekty trzeba niekiedy czekać wiele lat. Dzięki dotacjom NCBiR powstały np. elastyczne telefony komórkowe i tablety, które można zwinąć w rolkę. Ale na rynek jeszcze nie trafiły, zapewne konsumenci nie są na taką technologię gotowi.*

Były pracownik NCBiR: – *W tej instytucji pokutuje przekonanie: mamy środki unijne, trzeba je wydać za wszelką cenę. Taka sytuacja: duża polska spółka składa wniosek o grant na kilkadziesiąt milionów złotych, nie proponując jednocześnie w swoim produkcie nic innowacyjnego, przynajmniej w porównaniu z tym, co już jest na rynkach zachodnich. Ale dostaje dotację, bo jednocześnie realizuje duże zamówienie na ten produkt dla jednego z samorządów, który również ma do wydania unijne miliony. Kiedyś staraliśmy się ustalić, cóż takiego nowatorskiego powstało* ▶

▶ *w polskiej gospodarce za miliardy, które wpompował w nią NCBiR. Nie znaleźliśmy niczego. Kasa płynie za to na internetowe portale projektowania stylizacji albo podobne bzdury. I nie sposób tego zakwestionować, bo w papierach wszystko się zgadza: portal powstał, kogoś tam zatrudnia, środki wydano zgodnie z deklaracją. Mówiliśmy półżartem, że pracujemy raczej w Narodowym Centrum Lewarowania Biznesu.*

Jakub Bursa mówi, a właściwie pociesza, że na pozytywne efekty działalności NCBiR należy spojrzeć w szerszym kontekście: współpracy firm z sektorem naukowym, rozwoju zawodowego kadry badawczej. – *Duże korporacje często podejmują decyzje o lokalizacji swoich działów naukowo-badawczych m.in. na podstawie oceny jakości otoczenia biznesowego. Polska jako duży beneficjent unijnych środków na badania i rozwój w dalszym ciągu jest traktowana preferencyjnie* – dodaje.

**Przez kilkanaście lat funkcjonowania NCBiR biznes zdążył się już zorientować, że nie ma nacisku na tworzenie innowacyjnych produktów**, które na dodatek miałyby szansę przebić się na rynku, a unijne konfitury i tak można przejeść. Zwłaszcza jeśli pójdzie się na skróty, „szybką ścieżką". – *Jeśli o wypłacie milionów przesądza zdanie zasiadających w panelu oceniającym ekspertów, trzeba na nich wpłynąć. Jak? Można się tylko domyślać. Słyszałem o pracownikach NCBiR, którzy odchodzili, znając nie tylko know how pisania wniosków, ale zabierając ze sobą listę oceniających oraz bazę firm starających się o granty. To gotowy kapitał, który można wnieść aportem do spółki pośredniczącej w procesie aplikacji. Tymczasem w NCBiR nie przechodzi się żadnych szkoleń z zarządzania konfliktem interesów ani nie podpisuje klauzul z zakazem działalności po drugiej stronie.*

Ujawniony niedawno, również dzięki dociekliwości opozycyjnych posłów, mechanizm wyprowadzania z NCBiR milionów raził prostactwem. Ale problem „przepalania" sowitych dotacji na nierealne, rozdmuchane albo po prostu fikcyjne projekty istnieje od dawna. Były pracownik centrum: – *Dział kontroli projektów jest kluczowy. Jestem poza firmą, ale za moich czasów jego pracownicy mieli pełne ręce roboty. Kilkaset kontroli planowych rocznie, do tego kilkadziesiąt doraźnych w związku z donosami: konkurencji, byłych pracowników, wniosków organów ścigania. Jeśli chodzi o planowe, jakieś 10 proc. kończyło się rekomendacją rozwiązania umowy i zwrotu środków. Ale w przypadku kontroli doraźnych mniej więcej co druga miała taki finał.*

Do dziś krążą opowieści o firmach zarejestrowanych pod nieistniejącymi adresami, proponujących kontrolerom spotkania w parku na ławce albo prezentujących nieudolnie wykonane atrapy genialnych wynalazków, na które przyznano im dofinansowanie. – *Zawiadomienie o kontroli często powoduje urwanie kontaktu z firmą. Zdarzało się również, że wykryte nieprawidłowości i wstrzymanie płatności kończyło się rozsyłaniem skarg do organów nadzorczych albo zaprzyjaźnionych polityków* – opowiada były pracownik.

Skala wykrytych nadużyć jest bardzo duża. Z informacji przekazanych POLITYCE przez Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej wynika, że w latach 2016–22 stwierdzono nieprawidłowości u 300 skontrolowanych beneficjentów. Polegały najczęściej na realizacji prac niezgodnie z planem, zakupach wykraczających poza zakres wskazany we wniosku, błędnym rozliczaniu projektów albo kosztów osobowych. Tylko w ramach programu Innowacyjny Rozwój rozwiązano umowy o wartości 388 mln zł. 4,2 mln do dziś nie udało się odzyskać, a w przypadku 33 podmiotów konieczne było zawiadomienie organów ścigania w związku z podejrzeniem popełnienia przestępstwa.

Konieczność uszczelnienia systemu dostrzegł Maciej Chorowski, profesor Politechniki Wrocławskiej, mianowany dyrektorem NCBiR w 2016 r. Wprowadził zasadę, że elementem oceny aplikacji jest wizja lokalna przeprowadzona przez pracowników centrum w siedzibie wnioskodawcy. Aby na miejscu zorientować się, czy firma w ogóle istnieje, a jeśli tak, to jakim zapleczem i zasobami dysponuje. Jego inicjatywa spotkała się z niewielkim entuzjazmem (bo generuje dodatkowe koszty i wydłuży procedury), ale w końcu zdołał ją przeforsować, argumentując, że odstraszy to firmy widma.

Jednak dyrektor Chorowski w marcu 2019 r. został odwołany ze stanowiska i wkrótce potem zaprzestano wizytacji firm na miejscu. Ponadto, we wrześniu 2022 r., przeforsowano przepisy przekazujące kontrolę nad NCBiR z Ministerstwa Edukacji i Nauki do Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej. Rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek zaskarżył je do Trybunału Konstytucyjnego, co jednak nie mogło powstrzymać zmiany. – *Nadzór nad NCBiR objął wtedy Jacek Żalek, który zapewnił sobie pełnomocnictwo wyboru kierownictwa instytucji, a niebotyczne dotacje dostała firma jego znajomych z Białegostoku* – mówi były pracownik centrum.

O tym, że dotacje płyną do zaprzyjaźnionych z obecną władzą firm, mówiło się od dawna – przed wybuchem obecnej afery najgłośniejszy był przypadek należącego do tzw. układu wrocławskiego (gdzie głównymi rozgrywającymi są Adam Hofman i Dawid Jackiewicz) Radosława Tadajewskiego, który otrzymał grant w wysokości 40 mln zł dla jednego ze swoich funduszy, a środki zainwestował m.in. w firmę zajmującą się profilowaniem użytkowników mediów społecznościowych. W kampanii prezydenckiej 2020 firma ta pracowała dla Andrzeja Dudy i mówi się, że miała duży udział w przechyleniu szali na korzyść urzędującego prezydenta.

**Ale bijące miliardami źródełko NCBiR raczej nie wyschnie.** Choć rząd PiS konsekwentnie ignoruje płynący z Brukseli nakaz wycofania się z tzw. reformy wymiaru sprawiedliwości i z tego powodu wypłata dotacji z KPO jest zamrożona, to unijne środki na badania i rozwój są zagwarantowane z innej, nieobjętej sankcjami puli. Ostatni bezczelny skok na kasę ma jednak swoje konsekwencje: działanie instytucji zostało sparaliżowane i na wszelki wypadek wstrzymano wypłaty wszystkich grantów.

Sprzątanie bałaganu w NCBiR najprawdopodobniej skończy się na demonstracyjnych zapowiedziach uszczelnienia kontroli wniosków o dotacje oraz kontrolowania powiązań między oceniającymi a ocenianymi. Konstruktywnej dyskusji o tym, jak realizować ustawową misję instytucji, czyli przyczyniać się do tego, by projekty wsparte milionowymi dotacjami przeszły do fazy udanej realizacji i rynkowego sukcesu, raczej nie należy się spodziewać. Tym bardziej że kompetentni pracownicy odchodzą albo są zwalniani. System NCBiR tak został skonstruowany, że dziś to bodaj najłatwiejsze publiczne pieniądze, jakie cicho można sprywatyzować.

MARCIN PIĄTEK

# Tędy nie pojedziemy

Ostatnio kilkukrotnie pociągi skierowano na niewłaściwe tory, szczęśliwie udało się uniknąć katastrof. Rządowa spółka PKP PLK tłumaczy, że chaosowi na torach winna jest opozycja. A dokładnie jej pociągi.

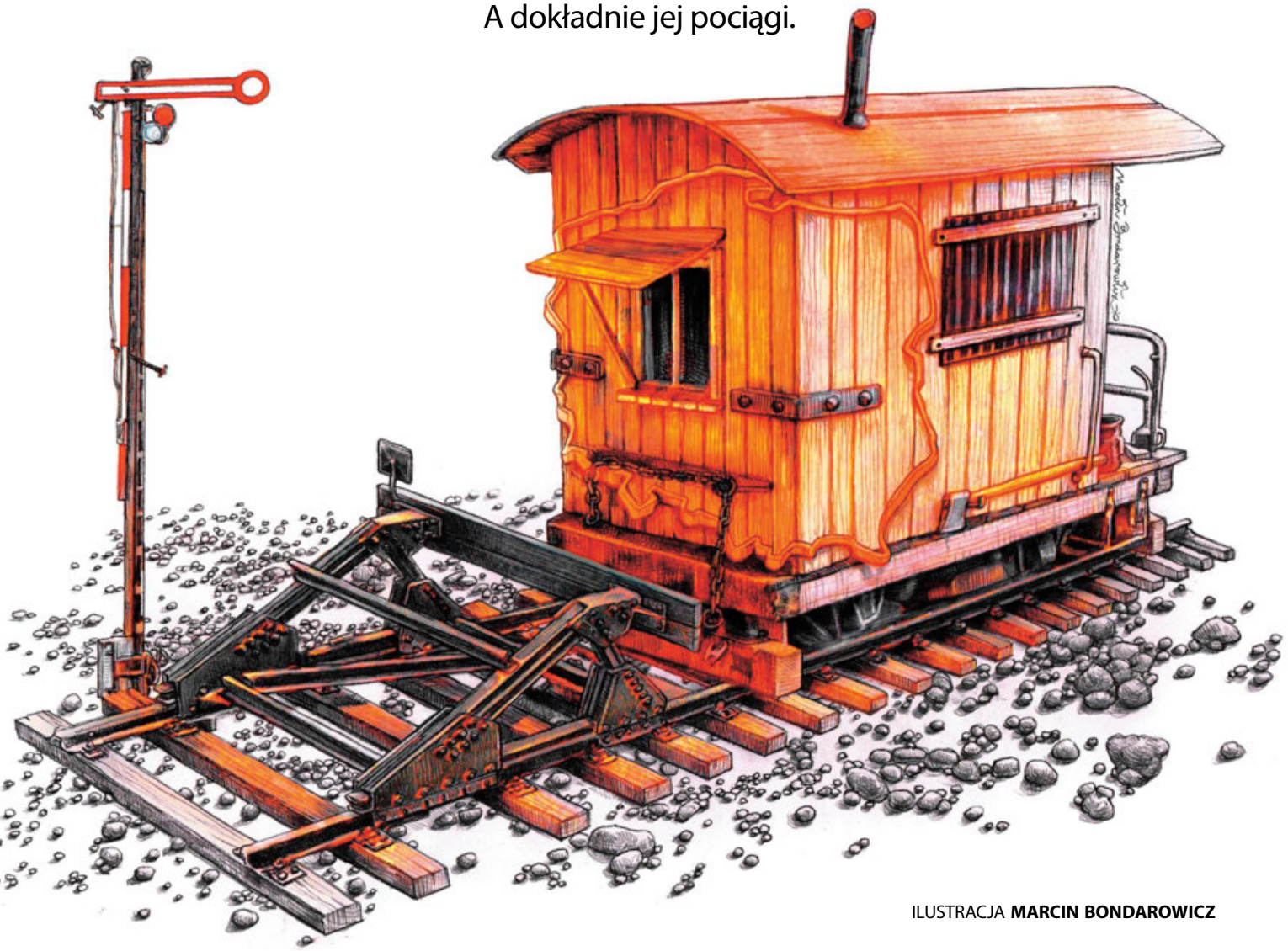

ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

CEZARY KOWANDA

Tomasz Gidelski ma znowu pracowity czas. Jako prezes Stowarzyszenia Przyjazna i Bezpieczna Kolej od siedmiu lat stara się reprezentować interesy pasażerów. Teraz apeluje do Ministerstwa Infrastruktury i Urzędu Transportu Kolejowego, żeby wreszcie ukarano odpowiedzialnych za warszawski chaos. Gidelski od lat jeździ codziennie do pracy pociągami – kursując między Łodzią a Warszawą, przy okazji relacjonuje doświadczenia podróżnych.

– *Znam wiele osób, które wolą się porozumieć i w kilkoro jeździć jednym samochodem zamiast pociągami. Tak jest taniej i pewniej. Dziś nawet 40-minutowy zapas czasu przy planowaniu podróży nie gwarantuje punktualnego dotarcia do szkoły czy pracy. A przecież w trakcie długiego remontu trasy między Warszawą a Łodzią obiecywano nam w finale przejazd w 70 minut. Potem okazało się, że tyle jeździł jeden jedyny pociąg dziennie i to zaledwie przez pół roku. Teraz część pociągów wyjeżdża opóźnionych już z Łodzi, bo na stacji Kaliska brakuje torów postojowych. Jednak największym problemem jest przebudowa dworca Warszawa Zachodnia* – opowiada Gidelski.

Nie ma w Polsce drugiej tak ruchliwej i newralgicznej stacji. Jej przebudowa ciągnie się od 2020 r. Miała zakończyć ▶

© TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

▶ się pod koniec bieżącego roku, ale już wiadomo, że z powodu opóźnień potrwa przynajmniej kilka miesięcy dłużej. To inwestycja bez precedensu, warta ponad 2 mld zł. Pasażerowie przyzwyczaili się już nawet do utrudnień przy dojściu na perony, do nieustannych zmian w rozkładach, do regularnych awarii systemu sterowania ruchem czy do kierowania niektórych składów na inne dworce w stolicy. Jednak to, co stało się w połowie marca, zszokowało nawet tych najbardziej cierpliwych i wyrozumiałych.

Po wiosennej zmianie rozkładu jazdy miało być lepiej. Niestety szybko okazało się, że opóźnienia są jeszcze większe niż wcześniej, a dyżurni ruchu sobie nie radzą. W ciągu kilku pierwszych dni obowiązywania nowego rozkładu aż trzy razy pociągi zostały skierowane na niewłaściwe tory; w następnym tygodniu doszło do czwartego incydentu.

## Szukanie kozła

Spółka PKP PLK zarządzająca torami i ruchem pociągów nie przeprosiła jednak pasażerów. Przeciwnie, postanowiła sama szukać winnych i to wyłącznie poza własną firmą. Mirosław Skubiszyński, wiceprezes molocha kontrolowanego przez rząd, znalazł ich w Kolejach Mazowieckich i warszawskiej Szybkiej Kolei Miejskiej. I to je obarczył pełną odpowiedzialnością za chaos. Według PKP PLK obaj przewoźnicy chcieli uruchamiać... za dużo pociągów i przez to doszło do paraliżu.

– *Nasze prośby o zmniejszenie liczby pociągów spotkały się z odmową ze strony przewoźników. Po incydencie z 12 marca, czyli po przyjęciu pociągu na inny tor niż przewidziany w rozkładzie jazdy, arbitralnie wdrożyliśmy zmiany w rozkładzie jazdy* – twierdzi Karol Jakubowski z biura prasowego PKP PLK. Te arbitralne zmiany to po prostu odwołanie części połączeń Kolei Mazowieckich i Szybkiej Kolei Miejskiej. Wybrano metodę cięć, która co prawda pozwoliła zmniejszyć opóźnienia, ale jednocześnie jeszcze bardziej zdezorientowała i tak wściekłych pasażerów.

PKP próbują zrzucić z siebie winę za chaos. Tymczasem przepisy są jasne. – *Zrzucanie winy na Koleje Mazowieckie i SKM uważam za skandaliczne. Ostatni kryzys jest wyjątkowy, bo na kolei pojawiły się niespotykane dotąd okoliczności. Pierwsza to stworzenie niemożliwego do realizacji rozkładu jazdy, a drugą jest obwinianie przewoźników. Tego dotąd nie było* – komentuje dr Michał Beim, ekspert transportowy Klubu Jagiellońskiego, były członek zarządu PKP SA.

Trudno o lepszy dowód na to, że nawet na torach rządzi dziś polityka. PKP PLK pod kontrolą PiS obwiniają Koleje Mazowieckie, bastion PSL, oraz warszawską Szybką Kolej Miejską, podległą władzom stolicy (czyli PO). Obie spółki się bronią i przekonują, że chcą po prostu sprawnie wozić swoich klientów. Tymczasem trzeci przewoźnik poszkodowany przez chaos, czyli PKP Intercity (państwowy, a zatem we władaniu PiS), milczy. Może dlatego, że jemu Polskie Linie Kolejowe połączeń z rozkładu jazdy nie wycięły?

Nie reaguje też minister infrastruktury Andrzej Adamczyk, a Urząd Transportu Kolejowego – teoretycznie niezależny, w praktyce również pod kontrolą rządową – zaleca… wyciszenie emocji. Tymczasem to właśnie UTK powinien dzisiaj stanowczo wyciągać konsekwencje i nakładać surowe kary na PKP PLK: za wadliwe skonstruowanie rozkładu jazdy, za nieustanne błędy w komunikatach na peronach dodatkowo dezorientujące pasażerów czy za kierowanie pociągów na niewłaściwe tory, co może skończyć się katastrofą. Taką jak ta z 2012 r. pod Szczekocinami, gdy na jednym torze znalazły się dwa pociągi dalekobieżne, co doprowadziło do czołowego zderzenia i śmierci 16 osób.

PiS po przejęciu władzy szybko wyczyścił kolej z kadr kojarzonych z poprzednią ekipą. Przy okazji usunął – czy odsunął na boczny tor – wielu specjalistów. Spółką PKP PLK od siedmiu lat kieruje Ireneusz Merchel, który przeżył już liczne skandale i kryzysy. Karol Trammer, redaktor naczelny dwumiesięcznika „Z Biegiem Szyn" przypomina: – *Mamy regularne usterki Lokalnego Centrum Sterowania w Poznaniu, paraliżujące ruch na tym bardzo ważnym węźle na wiele godzin. Rok temu doszło do ogromnej awarii sterowania ruchem w całej Polsce i wciąż nie wiemy, jakie odszkodowanie udało się uzyskać od firmy Alstom odpowiedzialnej za ten chaos. Nie dość, że wszystkie duże inwestycje prowadzone przez PKP PLK są opóźnione, to jeszcze ich efekty okazują się marne. Sama spółka w swoich raportach przyznaje, że z powodu likwidacji części stacji i torów po zakończeniu remontu przepustowość linii spada zamiast rosnąć.*

Ostatnio doszły nowe ślady nepotyzmu. Oto córka prezesa Merchela została prezeską firmy PPM-T, która jest spółką córką PKP PLK. Po kilku tygodniach postanowiła zrezygnować ze stanowiska, skarżąc się jednocześnie na medialną nagonkę.

## Kładka donikąd

Szokująco długie ostatnio opóźnienia, błędy nastawni na torach – na tym lista niedogodności i zagrożeń dla pasażerów, się nie kończy. Dopisać do niej trzeba jeszcze pseudomodernizacje. Tu prym wiedzie stacja Warszawa Gdańska, skąd odjeżdża wiele pociągów dalekobieżnych, których nie może na razie przyjąć przebudowywana Warszawa Zachodnia. Spółka PKP PLK postanowiła więc przystosować Warszawę Gdańską do wzmożonego ruchu i zaprojektowała dwie kładki, chcąc odciążyć jedyne podziemne przejście przy tym dworcu. Kładki zbudowano, ale są prawie nieużywane.

– *Tylko przejście podziemne prowadzi do metra i do linii tramwajowych, z których korzysta znaczna część wysiadających*

**Dworzec Warszawa Zachodnia, którego przebudowa powoduje opóźnienia i chaos na torach.**

Spółka PKP PLK nie przeprosiła pasażerów za chaos wywołany zmianą rozkładu jazdy. Przeciwnie, postanowiła sama szukać winnych, i to wyłącznie poza własną firmą. Znalazła ich w Kolejach Mazowieckich i warszawskiej SKM.

*na tym dworcu. Kładki są dla nich zupełnie nieprzydatne, bo nie mają połączenia z metrem. To przykład, jak PKP PLK planuje inwestycje. Kolejarze uważają, że wiedzą lepiej i nie będą pytać o zdanie pasażerów. Zamiast poszerzyć przejście podziemne albo zbudować drugie, wydano pieniądze na mało użyteczne mostki nad torami* – opisuje Tomasz Gidelski.

Podobnych przykładów jest więcej. W Chodzieży w ramach remontu linii wydłużono znacznie pasażerom dojście do peronu, a w Kobierzycach podróżni muszą od przejazdu przez tory pokonać długi odcinek chodnikiem, aby dostać się do pociągu. Żeby zdążyć z wydawaniem dużych unijnych dotacji, PKP PLK zaczęły budować bez refleksji i zastanowienia.

*– Polityka kolejowa w Polsce sprowadza się tylko do inwestycji. Chodzi wyłącznie o budowanie. Nie mamy Ministerstwa Transportu, tylko tak naprawdę Ministerstwo Inwestycji Infrastrukturalnych. Jeśli nie da się pogodzić inwestycji z rozkładem, po prostu wycina się pociągi, zamiast zmienić sposób prowadzenia remontu. Rozliczamy się z tempa wydawania pieniędzy i z ilości wylanego betonu, a nie z tego, czy pasażer dojedzie szybciej. Rozkład jazdy zmieniamy zdecydowanie najczęściej w Europie: aż pięć razy w roku, nie licząc drobniejszych, niemal codziennych korekt, aby łatwiej było budowlańcom* – podsumowuje Jakub Majewski, prezes Stowarzyszenia ProKolej.

## Zapłaci pasażer

Co zatem zrobić, aby chociaż trochę ulżyć pasażerom? – *Przede wszystkim PKP PLK powinna zostać rozdzielona. Trzeba oddzielić ją od PKP, by nikt nawet nie podejrzewał, że faworyzuje przewoźników takich jak PKP Intercity kosztem kolei samorządowych. Polskie Linie Kolejowe mogłyby działać jako agencja rządowa na wzór Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad. Przy okazji przejęłyby również zarządzanie dworcami od zupełnie już niepotrzebnej spółki PKP SA. Dzięki temu może udałoby się skończyć z absurdem, jakim jest często brak krótkiego i łatwego dojścia z budynku dworcowego na perony. Nierzadko oddziela je płot, a pasażerowie muszą chodzić naokoło* – zauważa Karol Trammer.

Takie zmiany też jednak nie pomogą, jeżeli polska kolej nadal będzie ofiarą polityki. Do niedawna wyglądało to tak: jeśli władze samorządowe nie były z PiS, to nawet nie zapraszano ich przedstawicieli na podpisywanie umów dotyczących inwestycji kolejowych w regionie.

Nieprzypadkowo zamęt dotknął teraz przede wszystkim mieszkańców Warszawy i dojeżdżających do pracy w stolicy. Mazowsze to bez wątpienia ostoja opozycji i lider kolejowy w Polsce, dzięki inwestycjom zarówno województwa, jak i samego miasta. Koleje Mazowieckie dostają właśnie ostatnie z 61 nowych pociągów Flirt firmy Stadler, a SKM otrzymała niedawno 21 składów Newagu.

Spółka PKP PLK już jednak zapowiada, że: „choć to przecież nie była jej wina”, to jednak wyciągnie wnioski z marcowego paraliżu. Mówiąc wprost: w kolejnym rozkładzie jazdy połączeń będzie jeszcze mniej niż teraz. Nowe pociągi niech sobie postoją na bocznicach i poczekają na lepsze czasy. Po wyborach?

CEZARY KOWANDA

REKLAMA

PRZEZ 22 LATA WSPARLIŚMY 362 NAUKOWCÓW KWOTĄ PONAD 6 MLN 875 TYS. ZŁ.

23 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

JESTEŚ MŁODYM AMBITNYM NAUKOWCEM?
PROWADZISZ NIEBANALNE, WAŻNE SPOŁECZNIE PROJEKTY BADAWCZE?

Wypełnij formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia

Czekamy do 14 czerwca!

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2023
zaks sprzyjamy wyobraźni
Dr Irena Eris
FUNDACJA ONKOLOGII DOŚWIADCZALNEJ I KLINICZNEJ
Patron medialny TOK FM

© LECH MAZURCZYK

# Pola śmierci

PAWEŁ RESZKA Z WIELKIEJ KOMYSZUWACHY

FOTOGRAFIE WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI

Wyzwoleni od Rosjan miejscowi rolnicy przekonują, że co ma wybuchnąć, to wybuchnie. I sami ruszyli wyzwalać swoje pola od rosyjskich min i niewypałów.

Przez Wielką Komyszuwachę przechodziła linia frontu.

Przez wieś raz i drugi przewalił się front. Żołnierze pozbierali zabitych i rannych. Popędzili na nowe pozycje. Cywile zostali. Domy rozbite, pola zaminowane. Sami siebie pytają: co dalej?

– Po-cze-kaj-cie! – Luba Czuprina biegnie skrótem przez usiane niewybuchami rakiet pole. Macha metalowym drążkiem. – Poczekajcie, bardzo proszę! – krzyczy zdyszana. Potargane włosy, ubrana w porwany skafanderek, z którego wysypuje się watolina. – Chciałam panów tylko zapytać, czy to bezpieczne. A może nie ruszać, bo wybuchnie? Drążek wygląda na część pocisku z granatnika. – A po co to pani? – Zawsze może się do czegoś przydać w obejściu. Albo oddałabym na złom.

Obejście wygląda rozpaczliwie. Fala uderzeniowa po wybuchu rakiety zerwała dach jeszcze wiosną. Wszystko cieknie, zaczynają walić się sufity. 68-letnia kobieta dostała od gminy na potrzeby remontowe jedną płytę OSB, z którą nie bardzo wie, co zrobić. Chodzi więc z brzozową miotłą i uprząta kolejne odpadające kawałki sufitu. – Zamiatam codziennie! – chwali się. A dom rozpada się dalej.

Chłopcy z sąsiedztwa przyjechali traktorem i zabrali kawałki rosyjskiej rakiety wbite w pole. Luba trochę żałuje, że pozwoliła. Rakiety dobrze chodzą na złomie. – Została mi jeszcze taka – pokazuje sterczący z ziemi ogon z lotkami. – Można ją wyciągnąć? – Nie wolno. Trzeba pokazać saperom. Luba rozczarowana, bo sąsiedzi zbierają.

Wołodymyr Suprun, 62-letni emeryt, który mieszka z żoną opodal, ma tego pełne podwórko. – Z tej będzie dobra podstawa do anteny telewizyjnej. Tę przerobi się na komin do piecyka. Ta do przenoszenia bomb kasetowych waży 12 kg, pójdzie na złom – opowiada. Kilogram chodzi po 20 hrywien, czyli nieco ponad dwa złote. Za zarobione na złomie pieniądze Suprun kupuje blachę do krycia dachu. Przykręca kawałek po kawałku. – Jakoś trzeba sobie radzić.

## Bomby

W tej wojnie Wielka Komyszuwacha – wieś w obwodzie charkowskim, na zachód od Iziuma – miała wielkiego pecha. Najpierw, 6 marca zeszłego roku, nadleciał samolot. Myśleli, że swój. Ale dokładnie o 8.16 (wieś zapamiętała to bardzo dobrze) zrobił nawrót i zrzucił dwie półtonowe bomby.

Jurij – rolnik, który mieszka tuż obok mostku – ogłuchł na kilka dni. Bomby spadły też na wielkie gospodarstwo rolne Hawryluk sp. z o.o. należące do Ołeksandra Hawryluka, które zasiewa 2,5 tys. ha ziemi swojej i dzierżawionej od okolicznych mieszkańców. Wybuchło. Cała wieś podskoczyła do góry. Fala uderzeniowa zerwała dachy z wielkich magazynów, w których leżały zeszłoroczne zbiory: góry pszenicy (3,5 tys. ton) i ziarna słonecznika (2 tys. ton). Odłamki wznieciły pożar w garażach, gdzie stały nowoczesne kombajny, traktory, siewniki. Spłonął niemal cały sprzęt.

Witalij Fesenko, agronom, zięć właściciela, był wówczas w budynku biurowym, który po roku wojny zmienił się już w ruinę. Chodzimy po gruzowisku. – Tu była sala konferencyjna. Tu księgowość. Tu gabinet dyrektora. A tu siedem pokoi gościnnych dla mechaników, którzy przyjeżdżali naprawiać sprzęt na gwarancji. Każdy z węzłem sanitarnym. Warunki mieliśmy przyzwoite.

Zanim Rosjanie zaczęli natarcie, większość ludzi uciekła albo została ewakuowana przez miejscowe władze. – *W sumie wywieźliśmy 43 osoby* – mówi sołtyska Wiktoria Muchina. Walka wywiązała się w rejonie mostku, na dzielącej wieś na dwie części rzeczce. Ukraińcy wycofali się. Przeciwnik podążył za nimi.

Rosjanie doszli aż do wsi Petriwskie, 14 km na północ, przy drodze na Balakliję. Sprzedawczyni z kiosku przy drodze widziała, jak zajeżdżali czołgami: – *Stali jakiś czas, ale nasi chłopcy wysadzili im mosty za plecami. Wtedy Raszyści zrozumieli, że muszą się wycofać* – opowiada. Przebijali się znów w kierunku Komyszowachy. Przez wieś kolejny raz przetoczyła się wojna. Rosjanie umocnili się po wschodniej stronie rzeczki. Zachodni brzeg był pod ich kontrolą ogniową, ale dalsze rejony wsi stały się ziemią niczyją.

Linia frontu przechodziła wzdłuż wąskiej dróżki za płotem Wołodymyra i Ludmiły Suprunów. Przez okrągłe pół roku na ich podwórko przychodzili i swoi, i obcy. Ale najczęściej nie przychodził nikt, tylko nad głowami latały rakiety, granaty moździerzowe, pociski artyleryjskie. Staruszkowie kryli się w drewnianym domu. Odłamki sypały się na dach. Odrywały kawałki blachy z poszycia.

Kiedy cichło, wychodzili do ogrodu. Sadzili, pielili, podlewali. Kiedy wojsko zaczęło używać bomb fosforowych, patrzyli, ▶

▶ jak pokrywają się szarym pyłem i marnieją drzewka brzoskwiniowe. Wołodymyr z zaciekawieniem oglądał każdy kolejny pocisk, który wylądował w grządkach. Próbował ocenić, co może zabić, a co jest bezpieczne. Te „bezpieczne" składał na podwórku.

Żyli na uboczu. Czasem dowiadywali się, co u innych. Sąsiadka straciła nogę – kula wpadła do sypialni i bach! Druga sąsiadka (Marija Antonowna) umarła, ale nie było ani księdza, ani pogrzebu na cmentarzu. Pochowali przy domu, w ogrodzie.

## Pola

Ta cicha, żyjąca z rolnictwa wieś, licząca według spisów sołtyski Muchiny prawie 500 mieszkańców, wbrew swojej woli stała się jednym z punktów strategicznych. Przeszkodą dla Rosjan, którzy naciskali ze wschodu i północy. Gdyby ich tu przepuścić, zdobyliby Barwinkowe. A wtedy byliby o krok od wyjścia na Słowiańsk, Kramatorsk i zamknięcia donbaskiego kotła. Ukraińscy dowódcy rozumieli zagrożenie. Dni na froncie były podobne do siebie. Rosjanie nie chcieli ryzykować frontalnego ataku: – Najpierw ciężki ostrzał artyleryjski. Bomby kasetowe, bomby fosforowe. Potem sprawdzanie dronami, czy ktokolwiek przeżył. Następnie próba zajęcia skrawka terenu przez piechotę wspomaganą czołgami – opowiada ukraiński oficer, który z kompanią czołgów bronił tego odcinka frontu.

Ukraińcy na ostrzał odpowiadali ostrzałem. Na atak kontrnatarciem. Wojna niszczyła dom po domu. Pola uprawne zmieniały się w minowe. Ogródki przecinały okopy. Ogony niewybuchłych rakiet sterczały zewsząd jak szpilki u krawcowej. Wszędzie zdziczałe stada krów. Tatiana ma łzy w oczach na to wspomnienie: – Swoje trzy też wypuściłam z obory na tułaczkę, kiedy uciekaliśmy ze wsi. Do tego świnie z rozbitej jeszcze wiosną chlewni. Uciekły jako warchlaczki, urosły do monstrualnych rozmiarów. Co jakiś czas wchodziły na pola minowe. Nikt nie zbierał truchła. Gniło, otaczając wyludnioną wieś trupim odorem.

We wrześniu ukraińskie wojska przeszły do ofensywy, eksperci zachwycali się finezją operacji. Wielkiej Komyszuwachy nawet nie wymieniano w fachowych analizach. Była po prostu jedną z „500 wyzwolonych miejscowości". Rosjanie byli zaskoczeni atakiem zza rzeczki, ale stawili opór. Próbowali nawet kontratakować. Potem zaczęli szybki, zmieniający się w panikę odwrót pod osłoną artylerii. W sąsiedniej wsi zostawili nawet szpital polowy, który mieścił się w cerkwi. Do dziś w środku wisi kroplówka zamocowana na świeczniku, jest stół operacyjny i zakrwawione instrumenty chirurgiczne. Między ikonami bandaże, opatrunki, mundury zdarte z rannych.

Wołodymyr Suprun: – *Zaczęła się potężna strzelanina, schowaliśmy się z żoną do domu. Jak po kilku dniach się skończyło, wyszliśmy. We wsi stało już ukraińskie wojsko.*

## Powrót

Ludzie wracają powoli. Z osady zostało niewiele. Nawet ponadstulenia szkoła („Mury grube na 1,5 m, nie dali jej rady nawet hitlerowcy w czasie wojny") zmieniła się w szkielet bez ścian, nad którym powiewa smutno flaga Ukrainy. Jurij (ten który mieszkał przy mostku) po powrocie zauważył, że jego dom nie ma dachu i jest mniejszy. Pocisk uderzył w łazienkę, z której została tylko jedna ściana. Dom Luby Czuprinki stracił dach. Mówi, że miała szczęście, bo z domostwa jej najbliższego sąsiada – Władimira Wasilijewicza Trojana, lat 72 – nie został kamień na kamieniu. – *Władimir Wasilijewicz przebywał za granicą. Dzwonił, pytał, jak dom. Ktoś mu niepotrzebnie przesłał zdjęcia zrobione komórką. Umarł, jak zobaczył to gruzowisko* – opowiada Luba.

Do Komyszuwachy prawie nie zagląda największy tutejszy farmer Ołeksandr Hawryluk. – *Teść powiedział, że nie chce oglądać tego, jak przepadło 25 lat jego pracy* – mówi Witalij Fesenko. Sąsiedzi mówią, że w Hawryluku musiało coś pęknąć. Był biznesmenem, który odnosił sukcesy. I dowcipnym człowiekiem. Kiedyś telewizja chciała zaprosić go do programu „Rolnik szuka żony": – Ale ja mam żonę – odpowiedział Hawryluk. – To nie szkodzi – odpowiedział wysłannik telewizji. – Ale moja żona siedzi obok! – tłumaczył Hawryluk. – Możemy panu zapłacić za udział w programie!

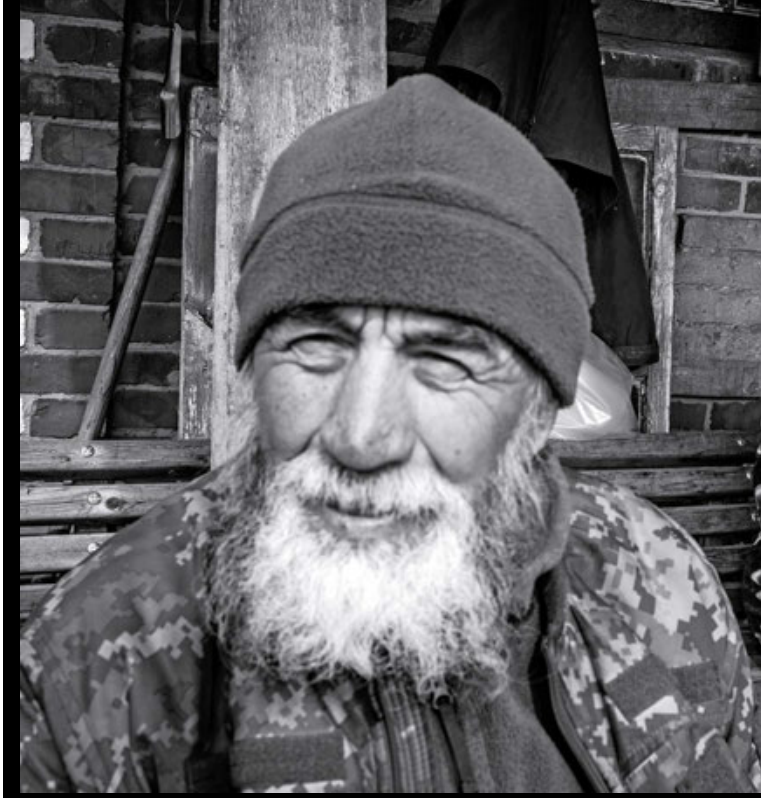

Wołodymyr i Ludmiła Suprunowie.

A teraz nikomu nie jest do śmiechu. Firma została z kredytem na głowie, spalonymi maszynami, zniszczonymi budynkami. A to nie koniec zmartwień. Półtonowe bomby, które w marcu zerwały dachy z magazynów na zbiory, spowodowały jeszcze jedną katastrofę. – *Popadał deszcz... Sam pan rozumie* – mówi Fesenko. – *3,5 tys. ton pszenicy leży na wielkiej pryzmie. Gnije od roku, wydzielając potworny fetor. Obok fermentuje 2 tys. ton słonecznika. Pracownicy muszą go rozgarniać, bo wilgotne ziarno osiąga taką temperaturę, że topi asfalt, na którym leży.*

Fesenko liczy z grubsza, ile może być warte. Na naszych oczach butwieje 1,5 mln dol. Firmie Hawryluka i jemu samemu trudno będzie się podnieść po takim ciosie. Tym bardziej że nie wiadomo, co dalej.

## Przyszłość

Fesenko jest tu codziennie. To przypilnuje, by oszklić okno w blaszanym barakowozie, do którego zredukował się majątek firmy. To zarządzi rozrzucanie słonecznika. Ale planów na przyszłość nie ma żadnych. – Remont budynków? – A jeśli znów front tu wróci? – Nowe dachy magazynów? – Z czego? – A zasiejecie w tym roku? – No jak? Na minach?

To oznacza, że trzeci rok z rzędu firma zostanie bez dochodu. Zbiory z 2021 r. zgniły. W 2022 r. na polach trwała wojna pozycyjno-podjazdowa, o siewach nie było mowy. W 2023 r. nie zasieją z powodu tego, co w ich ziemi pozostało po wojnie.

Problem Hawryluka dotyczy całej Ukrainy, w której rolnictwo przynosiło przed agresją ok. 12 proc. PKB. Dziś według ekspertów

Zniszczony budynek administracyjny i gospodarstwo Ołeksandra Hawryluka.

Kijowskiej Szkoły Ekonomii straty sektora przekraczają 40 mld dol. Największy udział mają tu zniszczone i uszkodzone maszyny (84 tys. sztuk). Druga pozycja to zbiory – zniszczone lub ukradzione przez okupanta: 2,8 mln ton ziaren zbóż i 1,2 mln ton ziaren roślin oleistych.

Dodatkowo Hawryluk zatrudniał na stałe ponad 30 ludzi, a do tego płacił rentę 300 mieszkańcom wsi, od których dzierżawił ziemię pod zasiewy. Nie będzie zasiewu, nie będzie zbiorów, nie będzie z czego płacić ludziom.W sumie można by załatwić jakieś kredyty na zakup maszyn. Można je też np. wypożyczyć. Tylko kto miałby na nich pracować? Z 15 traktorzystów zostało dwóch. Pozostali nie wracają, bo domy rozbite albo walczą na froncie. Tych dwóch też czeka na wezwania do wojska. Nawet gdyby znaleźć ludzi, to nie wolno ich puścić na pole, dopóki nie sprawdzą go saperzy. – Gdyby udało się rozminować choćby kawałek. Gdyby udało się zasiać choćby ciut-ciut! To byłby zawsze jakiś początek – mówi Fesenko.

Ma rację – żeby dać wsi szansę na nowe życie, pilnie potrzeba saperów. Tylko skąd ich brać? Ci, którzy nie są na froncie, nie dają rady odpowiedzieć na wszystkie wezwania. Codziennie unieszkodliwiają blisko 400 niebezpiecznych przedmiotów. W całej Ukrainie są w stanie sprawdzić 32,5 ha ziemi na dobę. A przypomnijmy, że tylko Hawrylukowie gospodarują na 2,5 tys. ha.

Przez rok wojny miny zabiły 185 cywili i poraniły kilkuset. Według ONZ Ukraina jest już jednym z najbardziej zaminowanych państw świata. To samo dotyczy niewybuchów. Generał Walerij Załużny, dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy, twierdzi, że przeciwnik potrafi wypuścić 40–60 tys. pocisków dziennie. Część zmienia się w śmiertelne pułapki. Ministerstwo ds. nadzwyczajnych publikuje mapę z miejscami, w których już potwierdzono obecność min i niewybuchów. W Komyszuwasze takich miejsc jest 16, ale wiadomo, że to tylko niewielki ułamek, bo żelastwo wala się wszędzie. – *Potrzebni nam saperzy!* – potwierdza sołtyska Muchina. To pozwoliłoby uprawiać pola i żyć jak dawniej, na własny rachunek, bez oglądania się na pomoc humanitarną.

Mniejsi rolnicy chcą rozminowywać na swoją rękę. Witalij (mieszka po sąsiedzku z farmą Hawryluka, obrabia 15 ha) ma już plan. Podpali pole, na którym zalegają suche łodygi słonecznika. – *Co ma wybuchnąć, to wybuchnie* – prorokuje. Inni już rozminowują ręcznie. – *Przejrzałam ogród, wyciągnęłam odłamki. Niewybuchy oznaczyłam kijkami. Gdy saperzy przyjechali naprawiać most, poprosiłam o pomoc* – opowiada Tatiana. Serhij Kirat miał mniej szczęścia. Podczas skopywania ziemi natknął się na minę pułapkę. Żyje, jest w iziumskim szpitalu.

Niektórzy ze zbieractwa uczynili źródło dochodu. Detaliści oddają na złom to, co znajdą w ogrodzie. Ale po okolicy buszują już całe brygady. Rozcinają, rozmontowują, rozkręcają i zarabiają. Czasem jednak przez okolicę przetacza się dźwięk eksplozji – oznacza, że któryś z saperów amatorów popełnił błąd.

Wojna sprawiła, że Wielka Komyszuwacha stała się mniejsza. Na skróty nie wolno! Nad rzekę? Też nie wolno. I na cmentarz także nie. Bo miny. Nie ma prądu. Ciągle nie połatano gazociągu. Wieś jest pusta. Ponura. Otoczona grobową ciszą. Jeśli ktoś jej nie pomoże, sama sobie nie poradzi.

## Piękne miejsce

Luba Czuprina – choć jej dom się wali i od miesięcy mieszka w zwykłej szopie – jest optymistką. We wsi pojawili się energetycy i gazownicy. Próbują naprawić zniszczoną infrastrukturę. Emerytura, choć skromna, mimo wojny przychodzi regularnie. A najważniejsze jest to, że już wiosna. Wszystko się zieleni. Mniej widać leje po bombach, wraki czołgów, dołek w ogrodzie, gdzie był tymczasowy grób Marii Antonownej, zmarłej w czasie okupacji.

Luba uważa, że Komyszuwacha to naprawdę piękne miejsce. Na razie nie ma pomysłu, jak wyremontować dom, ale na pewno będzie utrzymywała w nim porządek. Właśnie ścina brzozowe witki na miotłę. – *Znów odpadł kawałek sufitu. Trzeba to jakoś posprzątać* – tłumaczy.

PAWEŁ RESZKA
FOTOGRAFIE WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI

# Nowe życie eutanazji

Śmierć z wyboru – prawnie dostępna już w kolejnych państwach, wkrótce we Francji, i dla kolejnych grup – staje się powoli zachodnim sposobem na umieranie.

ŁUKASZ WÓJCIK

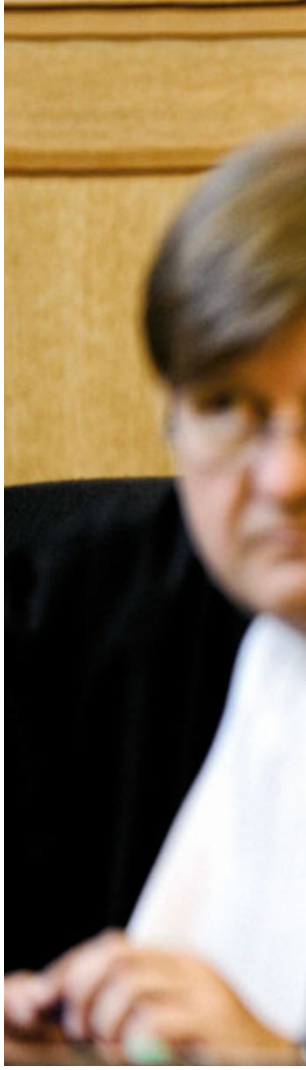

Geneviève Lhermitte, która w 2007 r. zabiła pięcioro własnych dzieci, po 15 latach więzienia, została – na własną prośbę – poddana eutanazji. Fotografia zrobiona w 2008 r.

Pierwszy raz od 105 lat w Belgii zabito więźnia, nie licząc okresu wojny. 28 lutego w zakładzie karnym zmarła Geneviève Lhermitte. 16 lat wcześniej, co do dnia, zabiła pięcioro swoich dzieci w wieku 3–14 lat. A teraz została poddana eutanazji, po tym jak powołała się na swoje „prawo do śmierci".

Jej zbrodnia była makabryczna. Najpierw zamknęła dzieci w domu. Jedną z córek, Myriam, zaprosiła do swojego gabinetu, po czym przewiązała jej oczy – to miała być niespodzianka. Uderzyła ją marmurową płytą w głowę i już nieprzytomnej podcięła gardło. Podobnie postąpiła z pozostałymi. Później próbowała popełnić samobójstwo, ale została odratowana.

Podczas procesu adwokaci przekonywali, że była wtedy niepoczytalna i nie powinna trafić do zwykłego więzienia. Sąd skazał Lhermitte na dożywocie. Po 11 latach odsiadki, w 2019 r., przeniesiono ją do zamkniętego szpitala psychiatrycznego.

Belgijskie prawo zezwala na eutanazję, jeśli ból fizyczny lub psychiczny zostanie uznany za „nie do zniesienia". Chętny musi być świadomy, a jego prośba uargumentowana i spójna. Morderczyni spełniała te wymagania.

1 Sprawa Lhermitte ilustruje wszystkie logiczne i etyczne problemy z eutanazją. A szczególnie z podstawowym argumentem jej zwolenników – że chodzi tu o autonomię jednostki i jej prawo do wyboru. Bo czy więzień lub też pacjent zamkniętego szpitala psychiatrycznego może podjąć w pełni dobrowolną decyzję o własnej śmierci?

Belgia nie jest jedynym krajem, który poddaje więźniów eutanazji. W Kanadzie z tego prawa skorzystało już trzech więźniów. W Hiszpanii 46-letni Marin Eugen Sabau oskarżony o ranienie kilkunastu osób. Gdy poprosił o eutanazję, jego proces jeszcze trwał. Sabau argumentował jednak, że nie widzi już sensu w życiu, bo przy aresztowaniu policja postrzeliła go i został częściowo sparaliżowany. Prawnicy ofiar próbowali zablokować eutanazję, przynajmniej do wyroku. Ale sąd orzekł, że w tym „zderzeniu praw fundamentalnych" przeważyć powinno Sabaua prawo do godności i jego osobista autonomia.

Podobną logiką kieruje się Belgia. Kilka lat temu MSZ tego kraju ogłosiło na forum ONZ, że „walka przeciwko karze śmierci jest priorytetem belgijskiej polityki praw człowieka". Ówczesny szef belgijskiej dyplomacji, a dziś europejski komisarz ds. sprawiedliwości Didier Reynders nazwał nawet karę śmierci „poważnym pogwałceniem ludzkiej godności".

Przy czym jednym z oficjalnych powodów, dla których Belgia tak walczy z karą śmierci na całym świecie, jest fakt – tu cytat ze strony belgijskiego rządu – że „nie można wykluczyć skazania przez sąd osoby niewinnej". Argument ten nie ma jednak zastosowania w przypadku ewentualnych błędów lekarzy oceniających stan chętnego na eutanazję, a tu przecież rzecz też jest nieodwracalna.

W tym kontekście sprawa Lhermitte nabiera nowych znaczeń. Szczególnie że to nie koniec: wysoce prawdopodobne, że po jej śmierci pojawią się prośby kolejnych więźniów. Tak było w 2014 r., gdy belgijskie władze zgodziły się na eutanazję seryjnego gwałciciela i mordercy, Franka Van Den Bleekena. Zaraz potem 14 więźniów wystąpiło z podobnym wnioskiem. W reakcji na to ówczesny minister sprawiedliwości cofnął zgodę dla Van Den Bleekena i odrzucił pozostałe wnioski, stwierdzając, że… więźniowie nie mają „prawa do śmierci".

Eutanazja dla belgijskich, kanadyjskich czy hiszpańskich więźniów jest więc logiczną konsekwencją ostatecznego zalegalizowania w tych państwach eutanazji jako akceptowalnej procedury medycznej zwalczającej ból. W rezultacie odmawianie jej pacjentowi zostało uznane tam za okrutne i nieludzkie. Takie właśnie rozumowanie stało za zezwoleniem na eutanazję Lhermitte.

2 Na przykładzie tych trzech państw wyraźnie widać tendencję do szybkiego rozszerzania dostępu do raz już zalegalizowanej eutanazji. Pierwsze ustawy były przeważnie bardzo restrykcyjne, dotyczyły znikomej grupy obywateli. Ale zaledwie po kilku latach ta grupa błyskawicznie rozciągała się na osoby, o których sami inicjatorzy pierwszej legalizacji nigdy by nie pomyśleli. Dziś już zarówno Belgia, jak i Holandia zezwalają na eutanazję śmiertelnie chorych i cierpiących dzieci (za zgodą rodziców) oraz osób z demencją.

– *Gdy już państwo zalegalizuje eutanazję, bardzo trudno utrzymać ją w takim zakresie, jaki był pierwotnie przewidywany* – twierdzi znany holenderski bioetyk Theo Boer. – *Wynika to z faktu, że jeśli raz uzasadni się eutanazję moralnie i medycznie, trudno uzasadnić ograniczenie tego prawa do wąskiej grupy.*

Z kolei dr Bert Keizer, zwolennik eutanazji i właściciel kliniki End of Life (Koniec życia), porównuje prawa eutanazyjne

© REUTERS/FORUM

do tych dotyczących aborcji: „Najpierw byli śmiertelnie chorzy, potem wystarczył nieuleczalny i silny ból, potem choroby psychiczne, osoby w bardzo podeszłym wieku i w końcu chore dzieci oraz osoby niewidzące sensu w dalszym życiu (…). Patrząc w przyszłość, nie ma powodów, aby sądzić, że ten proces gdzieś się zatrzyma”.

Właśnie Holandia, z której pochodzą Boer i Keizer, jest w tej kategorii liderem. Kraj ten zalegalizował restrykcyjną eutanazję w 2002 r. Ale dziś w tamtejszym prawie nie ma już nawet wymogu, aby pacjent był śmiertelnie chory. Wystarczy, że czuje ból „nie do zniesienia”, a jego prośba o zakończenie życia była „podjęta na podstawie wiedzy, dobrowolna i dogłębnie przemyślana”. Logiczną tego konsekwencją jest dopuszczenie do eutanazji np. osób z demencją, co ostatnio nawet w Holandii wywołało sporo emocji.

Pacjentka, identyfikowana w oficjalnych dokumentach jako „2016–85”, będąc jeszcze w pełni sił umysłowych, wyrażała ponoć chęć poddania się eutanazji w przypadku demencji. Ale te chęci nie zostały nigdzie spisane. Nie było też możliwości wyjaśnienia wątpliwości, bo pacjentka rzeczywiście popadła w głęboką demencję i trafiła do domu opieki. Wówczas jej mąż zwrócił się o eutanazję i mimo braku wyraźnej zgody pacjentki, wydano na nią zgodę.

Lekarz nie chciał ryzykować i najpierw dolał 2016–85 silnych środków uspokajających do kawy. A gdy i to nie pomogło, musiał poprosić rodzinę o przytrzymanie kobiety, która broniła się przed ukłuciem. Potem lekarz jeszcze przez 15 minut szukał odpowiedniej żyły u szarpiącej się pacjentki.

Nawet liberalna holenderska gazeta „NRC” pytała wówczas: czy w tym przypadku można mówić jeszcze o dobrowolnym wyborze? O bezbolesnej procedurze? A o zachowaniu godności pacjenta?

Żadne ustawodawstwo eutanazyjne nie wzbudza jednak na świecie takich kontrowersji jak to w Kanadzie. Tak jak zresztą wynikające z tego rekordowe liczby. W 2017 r., czyli pierwszym pełnym roku po legalizacji eutanazji i wspomaganego samobójstwa, które różni się tym, że przygotowany przez lekarza śmiercionośny specyfik zażywa sam pacjent, z tego prawa skorzystało 2838 osób. W 2021 r. było to już 10 064, czyli 3,3 proc. wszystkich zgonów w Kanadzie (W Quebecu i Brytyjskiej Columbii – ponad 5 proc.) – to wzrost o 32 proc. w stosunku do roku 2020.

Powołana przez tamtejszy rząd komisja specjalna w raporcie końcowym z 15 lutego zarekomendowała dalsze rozszerzenie w ciągu pięciu lat prawa do wspomaganego samobójstwa o tzw. dojrzałych nieletnich, *mature minors* – początkowo śmiertelnie chorych, ale później również na „pozostałych chętnych”. Kategoria dojrzałych nieletnich jest prawnie niejasna, ale w tym przypadku – według komisji – chodzi o te dzieci, które zdaniem lekarzy są w stanie podjąć świadome decyzje medyczne.

Miesiąc temu Kanada miała natomiast rozszerzyć prawo do eutanazji lub wspomaganego samobójstwa i objąć nim osoby chore psychicznie. Ale po protestach m.in. kanadyjskich psychiatrów (nie są przeciwko, domagali się doprecyzowania przepisów), a nawet interwencji specjalnej komisji ONZ, zmianę prawa przełożono na marzec przyszłego roku.

To opóźnienie było zapewne spowodowane również szerszymi nastrojami społecznymi. Niedawny sondaż dla ▶



Pobrano ze strony zajefajna.com

▶ think tanku Cardus wykazał, że 51 proc. pytanych Kanadyjczyków sprzeciwia się prawu do wspomaganego samobójstwa dla osób psychicznie chorych. Co więcej, 55 proc. respondentów uważa, że w ten sposób państwo próbuje się wyzbyć obowiązku opieki nad najbardziej potrzebującymi, w tym chorymi psychicznie.

– *Dziś już w Kanadzie łatwiej o eutanazję niż o zorganizowanie opieki paliatywnej* – uważa Braden Manns, ekspert od ekonomii opieki zdrowotnej z University of Calgary. Ta ostatnia, zdaniem Mannsa, jest coraz bardziej kosztowna i będzie jeszcze droższa. – *Z naszych badań wynika, że coraz częściej prawdziwą motywacją do eutanazji w Kanadzie są czynniki materialne. Oczywiście stając przed komisją lekarską, ci ludzie nie mogą tego przyznać.*

Międzynarodową krytykę wywołują też kanadyjskie pomysły dostępu do eutanazji dla osób niepełnosprawnych. Już dwa lata temu specjalna komisja ONZ ostrzegała, że taki ruch doprowadzi do dewaluacji ich życia. Theresia Degener, znana niemiecka profesorka prawa i studiów nad niepełnosprawnością, przekonywała wówczas: „W takich okolicznościach życie niepełnosprawnego automatycznie staje się mniej warte od pełnosprawnego, a czasem nawet niewarte jest kontynuowania".

4 W grudniu wiele dyskusji wywołał tekst konserwatywnego felietonisty „New York Timesa", Rossa Douthata, o kanadyjskim uwielbieniu dla „jej świętobliwości eutanazji". Douthat opisuje Kanadę jako państwo, które z jednej strony jako jedno z pierwszych zezwoliło na małżeństwa jednopłciowe, od wielu dekad nie ma w kodeksie kary śmierci i przyjęło więcej syryjskich uchodźców niż jakikolwiek inny kraj Zachodu. Jednocześnie to właśnie państwo – tłumacząc się współczuciem i poszanowaniem autonomii jednostki – zmierza, zdaniem Douthata, w kierunku „eutanazji na każde życzenie".

Douthat przywołuje historię opisaną niedawno przez „The Toronto Star". Ten Kanadyjczyk cierpiał na nieuleczalną, ale nie śmiertelną chorobę. W dzieciństwie był seksualnie molestowany, miał problemy psychiczne, ale przede wszystkim był biedny – renta od państwa nie wystarczała mu na życie po opłaceniu minimalnych kosztów leczenia. I według kanadyjskich przepisów kwalifikował się do wspieranego samobójstwa, do którego ostatecznie doszło zeszłego lata.

Inny przykład z tekstu Douthata: 41-letnia Rosina Kamis została poddana eutanazji we wrześniu 2021 r. Oficjalnym powodem był fizyczny ból spowodowany przewlekłą białaczką, fibromialgią i innymi schorzeniami. Ale w prywatnej korespondencji, ujawnionej już po jej śmierci przez media, przyznawała przed znajomymi, że jej cierpienia są raczej psychiczne, a nie fizyczne, i wynikają w dużej mierze z poczucia samotności. W jednym z maili Kamis napisała: „Wydaje mi się, że gdyby więcej ludzi o mnie dbało, dałabym sobie radę z fizycznym bólem".

Douthat pyta więc, czy w ogóle możliwy jest biurokratyczny system, który będzie w stanie odróżnić racjonalny wybór śmierci jako jedynej drogi od desperackiego wołania o pomoc? Bo przecież nietrudno sobie wyobrazić, że coraz bardziej liberalny system, udostępniający eutanazję kolejnym grupom, spowoduje, że wśród korzystających z tej opcji coraz więcej będzie ludzi potrzebujących pomocy, a nie śmiertelnego zastrzyku czy koktajlu.

5 A mowa już o światowym trendzie. Sama eutanazja jest legalna w Belgii, Hiszpanii, Holandii, Luksemburgu, Kanadzie, Kolumbii i Nowej Zelandii oraz w kilku australijskich prowincjach. W kilku amerykańskich stanach i w Szwajcarii legalne jest wspomagane samobójstwo. W Kanadzie obie te opcje są zgodne z prawem, przy czym w 99 proc. przypadków dochodzi jednak do klasycznej eutanazji. Z kolei w Austrii, Finlandii i Norwegii w określonych warunkach możliwa jest tzw. pasywna eutanazja – nieuleczalnie chorzy mogą zdecydować o odłączeniu systemów podtrzymujących ich życie.

W Polsce prawo traktuje eutanazję na równi z zabójstwem, ale wyroki są tu wyraźnie łagodniejsze – dyskusji nad zmianami prawa w zasadzie brakuje. Ale inne kraje tradycyjnie katolickie skłaniają się jednak do zmiany przepisów. Obok Portugalii, gdzie od kilku lat trwa spór o eutanazję między liberalnym parlamentem a konserwatywnym prezydentem, i Irlandii, gdzie projekt legalizacji ugrzązł w parlamencie, najciekawsza dyskusja rozgrywa się we Francji.

Tamtejsze prawo pozwala lekarzom znieczulać pacjentów przed śmiercią, ale wyraźnie zakazuje wspierania ich w samobójstwie, nie mówiąc już o eutanazji. Prezydent Emmanuel Macron chce to zmienić i już w zeszłym roku powołał w tej sprawie obywatelską radę konsultacyjną – 184 losowo wybranych Francuzów. Dwa tygodnie temu rada większością 76 proc. głosów opowiedziała się za legalizacją eutanazji w nieokreślonej jeszcze formie. Prezydent natychmiast polecił więc przygotowanie stosownej ustawy, która ma trafić do parlamentu do końca lata. Wciąż jednak nie wiadomo, jakie znajdą się w niej zapisy.

Przy czym linia francuskiego podziału w sprawie eutanazji nie jest oczywista. Większość francuskich lekarzy jest przeciwna, jak wynika z dość niejasnej ankiety przeprowadzonej w tym środowisku przez „Journal du Dimanche". Jednocześnie ten sam tytuł zlecił ogólnokrajowe badanie opinii publicznej, z którego wynika, że ponad 70 proc. Francuzów popiera jakąś formę „wspierania śmierci", *aide à mourir*.

6 Eutanazja w pewnym stopniu staje się więc zachodnim sposobem na umieranie. Kolejne rządy, zezwalając na nią coraz szerszemu gronu obywateli, demonstrują – swoim zdaniem – szacunek dla indywidualnej wolności. I wpisują eutanazję w coraz bardziej rozbudowaną funkcję państwa dobrobytu. Argumentują, że to w zasadzie jedyny ludzki sposób na uniknięcie bólu „nie do zniesienia", który czeka wielu z nas pod koniec życia.

Ta dyskusja nikogo nie ominie. Każde społeczeństwo musi zmierzyć się z dylematami związanymi z umieraniem – kiedy zrezygnować ze wspierania czynności życiowych, jak intensywnie zwalczać ból związany ze śmiertelną chorobą. Inną sprawą jest jednak budowanie biurokratycznego systemu, który oferuje ludziom śmierć jako niezawodne lekarstwo na wszelkie cierpienia. Kanadyjski przypadek najjaskrawiej pokazuje, do czego to może prowadzić.

Wszystko to już zresztą kiedyś zostało przepowiedziane. Amerykańska literatura science fiction lat 50. i 60. – choćby twórczość Harlana Ellisona, tego od kreskówek o rodzinie Jetsonów – okazała się pod wieloma względami prorocza. Jej autorzy „wymyślili" choćby loty w kosmos, telefony komórkowe, internet, transhumanizm czy w końcu inteligentne roboty. Otóż „wymyślili" również eutanazję, a nawet jej skutki.

Richard Matheson, autor słynnej powieści „Jestem legendą", sfilmowanej później przez Hollywood z udziałem Willa Smitha, popełnił również krótkie opowiadanie „Test". Matheson wymyślił świat, w którym starzy ludzie, aby uniknąć eutanazji (choć akurat ten termin nie pada), muszą regularnie zdawać test kompetencji. W tym samym czasie ich rodziny siedzą w domu i trzymają kciuki, że tym razem rezultat testu uwolni ich w końcu od ciężaru nie swojej starości.

To wszystko już było… Albo będzie.

ŁUKASZ WÓJCIK

© DIANA WALKER/GETTY IMAGES

# Siła prowincjusza

W rodzinnym domu w Georgii umiera najbardziej niedoceniany prezydent USA Jimmy Carter.

ANDRZEJ LUBOWSKI Z SAN FRANCISCO

Wśród amerykańskich prezydentów Jimmy Carter jako jedyny może się pochwalić ścisłym wykształceniem – jest inżynierem. Żaden inny prezydent USA nie dostał Nobla po zakończeniu urzędowania. Tylko Carter pozostał sprawny do później starości, z młotkiem na drabinie budował domy dla biednych.

Gospodarz Białego Domu w latach 1977–81, zwany też „prezydentem rock&rolla", jest w stanie krytycznym. Już w lutym fundacja jego imienia poinformowała, że 98-letni Carter, u którego osiem lat temu stwierdzono czerniaka wątroby i mózgu, jest pod opieką paliatywną we własnym domu w Georgii. I że tam – w otoczeniu rodziny – chciałby odejść. W zeszłym tygodniu sprawa była już na tyle poważna, że Joe Biden wahał się, czy lecieć z oficjalną wizytą do Irlandii. Zgodnie z tradycją urzędujący prezydent USA jest obecny na pogrzebach swoich poprzedników. A w tym przypadku dochodzi jeszcze osobista relacja – Carter poprosił Bidena o wygłoszenie mowy pożegnalnej.

Ich przyjaźń ma długą historię. Gdy w grudniu 1974 r. jako szerzej nieznany prowincjonalny polityk z szerokim ▶



Pobrano ze strony zajefajna.com

▶ uśmiechem i wysokim głosem stanął do batalii o prezydenturę, zaskoczenie mieszało się z niesmakiem – jakby na eleganckie przyjęcie wtargnął intruz w zabłoconych butach i rozchełstanej koszuli. „Jimmy who?" – pytał na okładce amerykański „Newsweek". Pierwszym liczącym się Demokratą, który publicznie poparł kandydaturę Cartera, był młody senator z Delaware Joseph Biden.

Carter czuł już wtedy, że Ameryka – zmęczona Wietnamem i aferą Watergate – jest gotowa na outsidera nieskorumpowanego systemem. Czuł społeczne zapotrzebowanie na uczciwość i wiarygodność. „Nigdy was nie okłamię" – powtarzał w czasie kampanii. Jego długoletni prawnik przestrzegał go wtedy: „W ten sposób stracisz głosy kłamczuchów".

Wychowany na farmie bez kanalizacji i prądu, zrealizował swoje marzenie i dostał się do prestiżowej Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, którą skończył w 1946 r. Sześć lat później, jako wybitny oficer, wszedł w skład elitarnego zespołu, który miał zbudować pierwszy atomowy okręt podwodny. Jego mentorem był niezwykle wymagający komandor Hyman Rickover, rodem z Makowa Mazowieckiego, później czterogwiazdkowy admirał, uważany za ojca amerykańskiej atomowej marynarki wojennej.

W tym samym roku awarii uległ reaktor atomowy w kanadyjskim Ontario i radioaktywny materiał przedostał się do środowiska naturalnego. Stany Zjednoczone wysłały ekipę ratunkową, którą dowodził 28-letni porucznik Carter. Był jedną z niewielu osób, które posiadały uprawnienia na wstęp do wnętrza reaktora – ta misja zakończyła się sukcesem. Ponad pół wieku później, w 2005 r., zwodowano atomowy okręt podwodny USS „Jimmy Carter".

## Sowietożerca

Nie przemawiał do niego argument, aby robić coś, co się politycznie opłaca. Rutynowo odrzucał rady ukochanej żony Rosalynn i bliskich doradców, aby odwlekać politycznie kosztowne inicjatywy. Choćby takie, jak układ w sprawie Kanału Panamskiego i scedowanie pełnej kontroli nad nim na Panamę w 2000 r.

Był pierwszym prezydentem USA, który publicznie kwestionował legitymację władzy Sowietów w ich własnym kraju. Polityka praw człowieka Cartera była ważnym wsparciem dla tych, którzy stawiali opór komunizmowi. Nie były to tylko słowa, ale też wsparcie finansowe radiostacji czy druku i przemytu literatury „wywrotowej". W odpowiedzi na procesy dysydentów Carter zastosował selektywne sankcje gospodarcze. Znacznie szersze przyszły po sowieckiej inwazji na Afganistan. Za rządów Cartera Stany Zjednoczone zmodernizowały swój arsenał, a amerykańskie rakiety Cruise i Pershing II zmieniły układ sił w Europie – to także dziedzictwo Cartera. Jego administracja przy pomocy tajnych operacji w Trzecim Świecie stawiła czoła działaniom Moskwy.

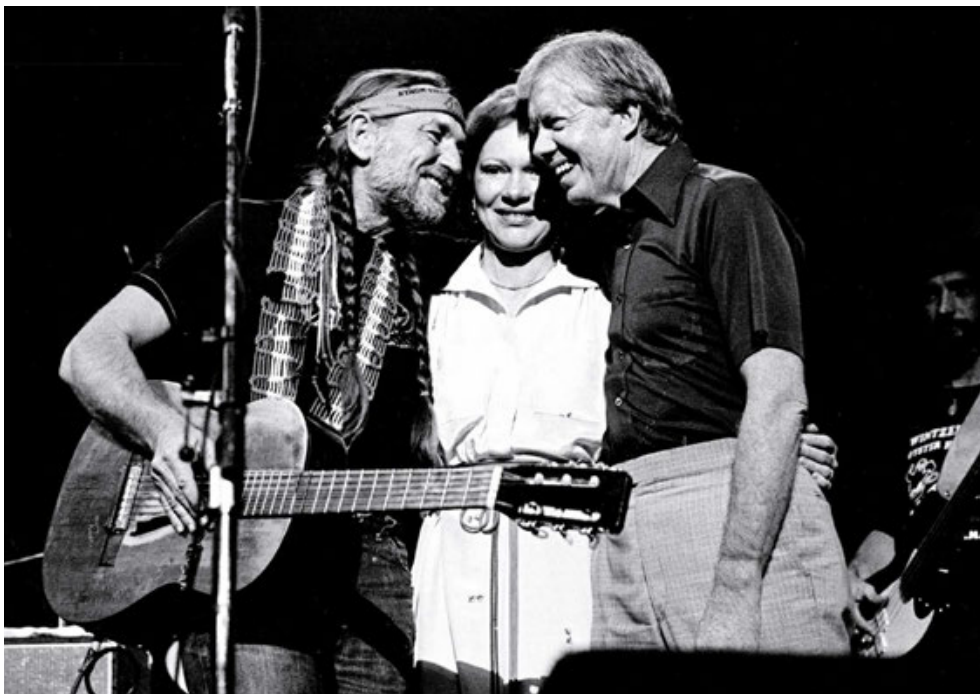

**Były prezydent Jimmy Carter z żoną Rosalynn i amerykańskim piosenkarzem country Williem Nelsonem, koncert w Atlancie, 1982 r.**

Tymczasem wielu Amerykanów uważa Cartera za miękkiego wobec Sowietów. Zdaniem Roberta M. Gatesa, byłego szefa CIA i sekretarza obrony, „stosunki ZSRR–USA były bardziej antagonistyczne w czasie administracji Cartera niż jakiegokolwiek innego prezydenta USA w okresie zimnej wojny – z wyjątkiem Harry'ego Trumana". Sowieci widzieli w Carterze nie tylko geopolitycznego oponenta, ale zaciekłego wroga ideologicznego. „Uważam, że historycy i obserwatorzy polityczni nie docenili wkładu Jimmy'ego Cartera w upadek Związku Radzieckiego i koniec zimnej wojny" – przekonywał Gates, który dziś wzywa do większego wsparcia Ukrainy.

Zastanawiając się nad tym, czy znów dopuścić Rosję i Białoruś na areny sportowe, warto pamiętać, że w styczniu 1980 r. Carter poparł apel Andrieja Sacharowa, aby zbojkotować igrzyska olimpijskie w Moskwie, jeśli ZSRR nie wycofa się z Afganistanu. Zaapelował do sojuszników, aby przyłączyli się do izolacji. Nie wszyscy to uczynili, ale 65 zaproszonych krajów do Moskwy nie przyjechało.

Konsekwencje niektórych decyzji Cartera trwają do dziś. To on usunął Egipt z listy rywali militarnych Izraela, ale też naciskał, aby Izrael zaprzestał budowy nowych osiedli na Zachodnim Brzegu i dał Palestyńczykom więcej autonomii. Odważnie mówił o tym, że Izrael skręca niebezpiecznie w kierunku apartheidu. Gdy kilka lat temu odwiedził Izrael z okazji 40. rocznicy układu z Camp David – miał wtedy 94 lata – wyznał, że nie wierzy w pokój tak długo, jak premierem będzie Beniamin Netanjahu.

Wiele z jego dokonań w polityce wewnętrznej zaczęło procentować, gdy był już na politycznej emeryturze, a wyrazy uznania zebrali inni. Powiodła mu się deregulacja lotnictwa cywilnego, transportu drogowego i kolei – wszystko to obniżyło koszty w gospodarce. A milionom średniozamożnych Amerykanów pozwoliło wsiąść po raz pierwszy do samolotu. Carter znacznie zwiększył też liczbę Afroamerykanów, Latynosów i kobiet zasiadających wśród sędziów sądów federalnych.

## Panele zamiast ropy

Najwyżej na liście swych priorytetów wewnętrznych Carter postawił dwie kwestie, które nie straciły aktualności do dziś: ochronę środowiska i niezależność energetyczną Ameryki. Wbrew lokalnym protestom dekretem prezydenckim wyłączył ponad 200 tys. km kw. ziemi federalnej na Alasce z gospodarczej eksploatacji. Zablokował budowę wielu zapór wodnych

© BY RICK DIAMOND/GETTY IMAGES, CHRIS GRAYTHEN/GETTY IMAGES

**Jako współpracownik Habitat for Humanity, w której działania zaangażował się w latach 80.**

na zachodzie Ameryki, bo był przekonany, że zaszkodzi to kondycji rzek.

Gdy ludzie prezydenta Donalda Trumpa zezwolili na budowę nowych dróg na Alasce, które zagrażały żyjącym tam zwierzętom, a sędziowie z nominacji Trumpa odsyłali z kwitkiem organizacje ochrony środowiska, wówczas Carter wystąpił w ich obronie. Jednocześnie wzywał do tego, aby zwiększyć do 20 proc. udział energii odnawialnej w bilansie energetycznym Ameryki. Sam kazał na Białym Domu zainstalować panele fotowoltaiczne, które później Ronald Reagan uznał za dziwactwo i zdemontował.

Stawiał sobie za cel redukcję zależności Ameryki od importu ropy – to była reakcja na szok, jakiego doświadczył jego kraj w wyniku embarga naftowego 1973 r. Ale nie zdołał przeprowadzić przez Kongres swego planu i kolejny kryzys energetyczny, który nadszedł latem 1979 r. – kiedy przed stacjami benzynowymi ustawiały się kolejki – uderzył w jego notowania i ostatecznie przyczynił się do porażki wyborczej.

Wybory 1980 r., w których Carter przegrał z Reaganem, były w zasadzie referendum nad jego dotychczasowymi dokonaniami. Amerykanie zapamiętali Carterowi głównie wysoką inflację i okupację ambasady USA w Teheranie.

Po wybuchu rewolucji w Iranie Carter przez wiele miesięcy odpierał naciski Henry'ego Kissingera i Zbigniewa Brzezińskiego, własnego doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego, aby udzielić azylu politycznego szachowi. Obawiał się, że to zagrozi bezpieczeństwu amerykańskiej ambasady w Teheranie. Kilka dni po tym, gdy niechętnie wyraził zgodę i szach trafił do szpitala w Nowym Jorku, doszło do ataku na ambasadę i rozpoczęła się jej okupacja trwająca 444 dni. To właśnie ta okupacja i nieudana próba odbicia zakładników ostatecznie przypieczętowały los jego prezydentury.

## Przaśny, nie imperialny

Dzięki osobistemu zaangażowaniu Cartera i jego żony Rosalynn wolontariacka organizacja Habitat for Humanity buduje skromne, ale porządne domy dla ludzi, których nie stać na mieszkanie. Habitat działa w każdym stanie USA i w 70 krajach świata – organizacja zapewniła już dach nad głową 46 mln ludzi.

Pokojową Nagrodę Nobla w 2002 r. Carter dostał za „dekady wysiłków na rzecz znalezienia pokojowych rozwiązań międzynarodowych konfliktów, w obronie demokracji i praw człowieka oraz promowania rozwoju gospodarczego i społecznego". Założona przez niego fundacja Carter Center stała się pierwowzorem dla różnych organizacji, które monitorują przebieg wyborów w ponad stu krajach.

Dla wielu jest nieudacznikiem. Osiągnął jednak więcej niż zdecydowana większość poprzedników i następców: izraelsko-egipski układ pokojowy w Camp David, umowa o kontroli zbrojeń SALT II podpisana w Wiedniu z Leonidem Breżniewem, normalizacja stosunków dyplomatycznych i handlowych z Chinami, reforma imigracji. Prawa człowieka jako rdzeń polityki zagranicznej USA stały się podglebiem zmian w obozie sowieckim, które nadeszły szybciej, niż tego oczekiwano.

Carter był prezydentem wolnym od nałogów, jeśli nie liczyć muzyki. Przyjaźnił się z takimi artystami, jak Willie Nelson, Allman Brothers, Bob Dylan, Aretha Franklin czy Rosanne Cash, których ujmowała jego autentyczność, prostolinijność i głęboka miłość do muzyki. „Carter to ucieleśnienie prawdy, sprawiedliwości ...i rock&rolla" – pod tą tezą podpisali się Bono, Paul Simon czy Dizzy Gillespie. Nawet John Wayne, zatwardziały Republikanin, nie krył swego szacunku dla Cartera.

Prezydentem był przaśnym i zupełnie nieimperialnym. Był postępowym reformatorem, głęboko przekonanym do nauki i technologii, ale jednocześnie nigdy nie zrezygnował ze swoich przekonań religijnych (jest baptystą). Nie miał szczęścia do mediów, ale też za mało o nie zabiegał. W rankingach amerykańskich prezydentów wypada dość mizernie. Chociaż wielu komentatorów politycznych i historyków uważa, że Carter jest jednym z najbardziej niedocenianych prezydentów minionego stulecia.

ANDRZEJ LUBOWSKI

REKLAMA

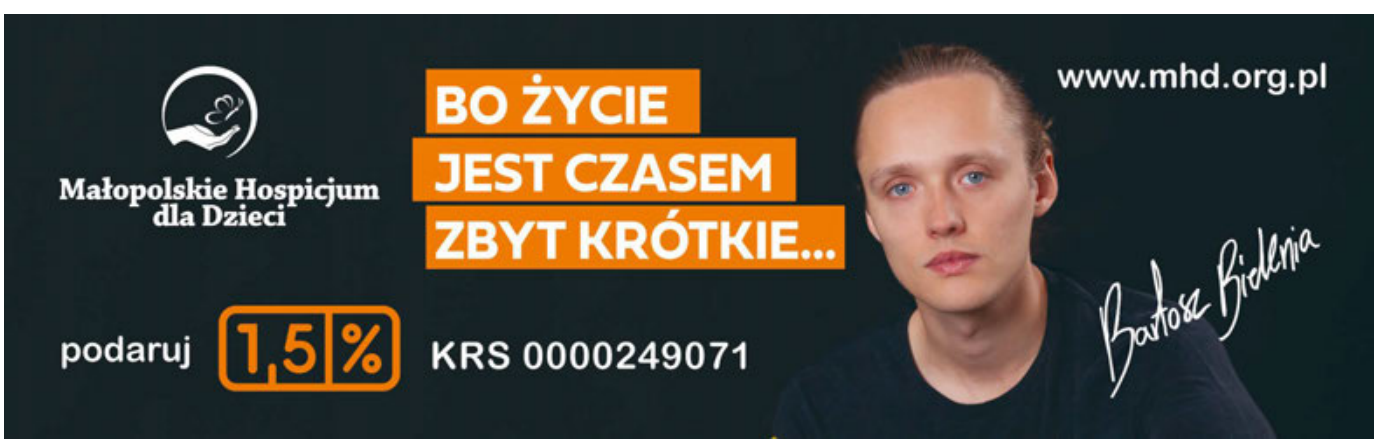




Pobrano ze strony zajefajna.com

# Bunkier Rosja

Rozmowa z emigracyjnym rosyjskim pisarzem Dmitrijem Głuchowskim, o różnicy między winą i odpowiedzialnością Rosjan. I o tym, dlaczego również im trzeba pomóc.

**Dmitrij Głuchowski** urodzony w 1979 r. rosyjski dziennikarz, felietonista i pisarz. Jest autorem m.in. bestsellerowego postapokaliptycznego cyklu „Metro". W Polsce niedawno ukazały się też jego opowiadania „Opowieści o Ojczyźnie". W ubiegłym roku władze wysłały za nim list gończy i uznały go za agenta zagranicznego.

© LENGMANN/WELT/ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

AGNIESZKA LICHNEROWICZ: **– Czy za zbrodnie w Ukrainie odpowiedzialni są wszyscy Rosjanie?**

DMITRIJ GŁUCHOWSKI: – Władimir Putin z najbliższym kręgiem narzucił im tę wojnę. Rosjanie bardziej niż Ukraińców i NATO boją się represyjnej władzy. Ale są też konformistami – łatwiej im pasywnie podążać za szaleństwem Kremla. Nie potrafią jednak przyznać się do tego sami przed sobą. Dlatego korzystają z usprawiedliwień podrzucanych im przez propagandę: dlaczego zabijamy tych, których jeszcze wczoraj uważaliście za braci? Bo to NATO wciągnęło Rosję w pułapkę, bo Ukraińcy pracowali nad bombą atomową, w zasadzie to jest święta wojna. Oczywiście, że żołnierz, który strzela, gwałci i torturuje, jest winny. Nie odmówił wykonania rozkazu, nie zdezerterował, nie wyjechał z kraju. Nie możemy jednak mówić o winie wszystkich Rosjan – oni zostali w to wciągnięci. Jednocześnie są odpowiedzialni za to, co się dzieje.

**Co to znaczy?**

Ta wojna jest prowadzona przez Putina w imieniu narodu, państwa i każdego Rosjanina. Zatem każdy, kto otwarcie nie odmawia poparcia, de facto wspiera tę wojnę. Większość Rosjan tymczasem chce ją ignorować. Zajmują się codziennym życiem i liczą, że przeczekają, aż wojna się skończy. To wypracowana przez setki lat strategia przetrwania – schować się – dopóki państwo cię nie znajdzie. Strach przed nim często przekazywany jest z pokolenia na pokolenie. Babcia przekazała matce, matka teraz mówi dzieciom, by nie chodziły na protest. Mój pradziadek spędził osiem lat w więzieniu za tzw. agitację antysowiecką. Niemal nie ma rodziny niedoświadczonej przez masowy terror Stalina i Lenina.

Uważam jednak, że każdy Rosjanin ma obowiązek przynajmniej przyznać przed samym sobą, że nie popiera tej wojny, oraz spróbować zrobić coś, by zrekompensować potworne krzywdy, które Rosja jako państwo wyrządza Ukrainie, a Rosjanie jako naród – Ukraińcom.

**Rosjanie wybierają życie w iluzji?**

Propaganda jest oczywiście zmasowana, ale tak naprawdę ludzie dokonują wyboru, czy będą w coś wierzyć. Nie dbają za bardzo o prawdę, wybierają to, co zaspokaja ich potrzeby emocjonalne i pozwala pozostać w strefie komfortu. Dzięki temu

zachowują poczucie bezpieczeństwa, poczucie, że racja jest po ich stronie i że są częścią czegoś większego. Pokazujesz im zdjęcia zbrodni rosyjskiej armii w Buczy – decydują, że nie będą wierzyć w fakty. Nie mogę uwierzyć, że żołnierze, którzy przecież są wnukami wyzwolicieli z czasów drugiej wojny światowej, zachowywali się jak komando SS – to nie pasuje do mojego obrazu świata. W takim przypadku nie ma sensu przekonywać.

**Jak to się Putinowi udało?**

Największą potrzebą tzw. zwykłych ludzi jest sprawiedliwość. Nowy imperializm został narzucony Rosjanom przez spin doktorów i politechnologów Putina właśnie w odpowiedzi na potrzebę sprawiedliwości społecznej. Ludzie na szczycie sieją więc strach oraz opowiadają mity o egzystencjalnych wojnach i szerzą ksenofobię. Neoimperializm to sposób na przekierowanie poczucia niesprawiedliwości – nie będziemy zajmować się tym, dlaczego wasze życie jest gówniane. Zamiast tego będziemy karmić wasze poczucie zdrady na poziomie narodowym. Tak samo robił Hitler. Putin nie boi się Zachodu, ale Rosjan – dlatego odwraca ich uwagę od faktu, że przez 20 lat rządów sam stał się jednym z najbogatszych ludzi na świecie, a poziom życia ludzi spada.

**Dlaczego akurat w Rosji ta metoda okazała tak skuteczna?**

Kluczowa jest praktyka polityczna. Dam przykład: głównym frontem tej wojny jest wschodnia Ukraina, gdzie jeszcze niedawno nie mówiono nawet po ukraińsku. Przed upadkiem ZSRR ci ludzie byli pod wpływem tej samej kultury co Rosjanie. Nie chodzi więc o to, jaką literaturę się czyta – kluczowe jest to, czy przez ostatnie trzy dekady doświadczyło się wolności. Czy przekonałeś się, że demokracja na placu jest skuteczna, czy też nieustannie byłeś bity przez służby i w końcu aresztowany? Gdy rzucając wyzwanie władzy, nigdy niczego się nie osiąga, traci się motywację do oporu. Zostaje pamięć o represjach. Nie należy też pomijać potężnej i skrupulatnej pracy, którą wykonały administracja prezydenta Putina i Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB), by całkowicie zniszczyć wszystkie oczka w łańcuchach samoorganizacji społecznej.

**To takie rosyjskie „głębokie państwo"?**

W Rosji głębokie państwo nazywa się KGB-FSB. To także najprawdziwszy w świecie tajemny zakon, który ma pieniądze, władzę i monopol na przemoc. Weterani i aktywni oficerowie FSB pracują w każdej ważniejszej rosyjskiej firmie oraz mediach. I pilnują lojalności. Wszyscy wokół czują, że są obserwowani. A nawet jeśli nie są, to się boją.

**Co może w takiej sytuacji zrobić pisarz?**

Zacząłem pisać książki, bo byłem przekonany, że Rosja pewnego dnia stoczy się w dyktaturę. Uważałem, że literatura oparta na metaforach ma większe szanse na przetrwanie niż np. tekst dziennikarski. Że powieść może mieć uniwersalny walor, jak np. „1984" Orwella. Gazety czy telewizje można zamknąć – książki będą krążyły i wychowywały kolejne pokolenia. Dlatego w powieściach mierzyłem się z postimperialnymi i imperialnymi traumami i bólami fantomowymi, które były instrumentalizowane przez propagandę.

**„Metro 2033" opublikował pan na początku wieku – Putin dopiero przejmował władzę. Już pan wiedział, że Rosji pisana jest despotia?**

To nie było żadne objawienie, jestem dziennikarzem politycznym. Trend był już jasny, coraz bardziej represyjne prawa ograniczały wolności oraz wzmacniały władzę Putina i jego kliki. Dojście do prawdziwej dyktatury zajęło nam 20 lat, dłużej, niż się spodziewałem. Ludzie w Rosji przekonują nawet dziś, że życie jest tam normalne. Ale przecież w dyktaturach, nawet w nazistowskich Niemczech, działały restauracje i teatry.

**Dystopia z „Metra 2033" stała się rzeczywistością?**

W „Metrze" przedstawiłem postapokaliptyczny świat, w którym ludzie powtarzają wciąż te same błędy. Po wojnie atomowej moskwianie żyją zamknięci w metrze i myślą, że wojna z Zachodem wciąż trwa. Dziś widzimy, że Rosja zamienia się w jeden wielki bunkier, a propaganda wmawia ludziom, że muszą się w nim schronić, bo trwa odwieczna wojna z Zachodem.

**Co może dziś rosyjski pisarz?**

Nie przeceniałbym swojej roli. Jeśli mam jakieś zadanie, to przede wszystkim rozmawiać z ludźmi, którzy się boją i milczą. Chcę im pomóc, by nie stali się ofiarami propagandy. Próbuję odwoływać się do tych mechanizmów psychologicznych, które czynią z nich posłusznych poddanych reżimu. I próbuję choć trochę pomóc im utrzymać opór wewnętrzny – w oczekiwaniu na właściwy moment. Bo stojąca przed nimi pokusa jest szatańska.

**Co to za pokusa?**

Przeczytałem „Noc w Lizbonie" Ericha Marii Remarque'a. Opisuje tam nazistowskie Niemcy w latach 30., kiedy ulicami paradowali szturmowcy. To wielka manifestacja brutalnej siły. Ludzie chcą stać się jej częścią, żeby nie być po przeciwnej stronie. Bo się boją. Szatan oferuje wybór, a człowiek wybiera: dać się zgnieść tej sile lub się do niej przyłączyć – przestać być sobą i porzucić normalne ludzkie przekonania, że nie wolno gwałcić, zabijać i rabować. Propaganda przekonuje, że w niektórych sytuacjach to drugie wyjście jest nie tylko możliwe, ale wręcz pożądane. Gdy wokół rozgrywa się masowa histeria, ludzie boją się sprzeciwić. Albo nie chcą się wyróżniać. I niektórzy dołączają do paradujących szturmowców. Chodzi więc o to, by ich wesprzeć, pomóc im pozostać ludźmi.

**I uratować im życie?**

To jest również manifestacja siły państwa, które może zmobilizować każdego, wrzucić do „maszynki na mięso" i nie wyrazić ubolewania. Każdy w Rosji rozumie, że może być następny. Tak jak we wrześniu, gdy zwijano przypadkowych ludzi z ulicy i rzucano bez żadnego przygotowania na śmierć. Rosjanie są zbyt wystraszeni i zatomizowani, by spróbować się zjednoczyć i postawić.

**Nie zmienia to faktu, że się ich boję.**

Nie usprawiedliwiam działań rosyjskich sił zbrojnych. Potępiam wojnę i wszystkie zbrodnie, które popełniają rosyjscy żołnierze. Staram się jedynie zrozumieć mechanizmy stojące za demonstrowanym przez Rosjan wsparciem dla tej wojny. Staram się pojąć, jak to możliwe, że w XXI w. ludzie, którzy wyrastali pod hasłami „nigdy więcej", zamieniają się nagle w morderców.

**Czy jednak Rosjan można zrozumieć i wesprzeć z daleka, z emigracji?**

Każde słowo na emigracji ma mniejszą moc niż to pochodzące z wewnątrz. Bo ma niższą cenę. Widzę, że moi przyjaciele i znajomi w Rosji naprawdę się boją. Protest, na który mogą sobie pozwolić, to założenie pacyfki na premierę filmu. Ludzie nie będą rozmawiać o wojnie przez telefon czy w restauracji, bo się boją, że podsłucha ich kelner i doniesie na policję. Natomiast popierający wojnę oportunistycznie wykorzystują okazję, by przejmować stanowiska i biznesy po tych, którzy wyemigrowali albo zostali ukarani za stanowisko antywojenne.

**To już kontrola myśli?**

Jeśli boisz się mówić głośno, to z czasem zaczynasz wykonywać to dziwaczne ćwiczenie, w którym zabraniasz sobie nawet o tym myśleć. Nie chcesz uważać się za tchórza, więc zaczynasz się przekonywać, że wcale tak nie myślisz i dlatego milczysz. Przekonujesz się, że „nie wszystko jest takie jasne i oczywiste" – jak to się mówi u nas w Rosji. Ja jestem za granicą, poza tym i tak już zostałem ukarany, więc mogę sobie na tę jasność pozwolić. ■



Pobrano ze strony zajefajna.com

# Przebudzenie potwora

Im cieplejsza Ziemia, tym popularniejsza idea geoinżynierii – wizji szybkiego schładzania planety, którą niedawno naukowcy uważali za szaleństwo.

ANDRZEJ HOŁDYS

Jest rok 2050. Średnia temperatura na globie wciąż rośnie. Dawno już przekroczyła pierwszy próg bezpieczeństwa – 1,5 st. C powyżej średniej temperatury z połowy XIX w. I szybko zmierza ku drugiemu progowi: 2 st. C. Ziemię rozgrzewają gazy cieplarniane, których emisji ludzkość nie zdołała ograniczyć. Nawet specjalnie nie próbowała, uznając wzrost PKB za ważniejszy od wzrostu temperatury. Jedne lądy są nękane przez gigantyczne susze, inne – przez katastrofalne ulewy. Na zamieszkanej przez 9,5 mld ludzi planecie wybuchają jedna po drugiej wojny o podstawowe zasoby. Widmo głodu i chaosu zmusza do migracji setki milionów ludzi. Co robić?

Koalicja organizacji pozarządowych oraz państw strefy tropikalnej rzuca hasło niezwłocznego rozpoczęcia ratowania globu przed katastrofą humanitarną i ekologiczną. Pojawia się pomysł wypuszczenia do atmosfery balonów, które dotarłyby na wysokość ponad 20 km. Tam różnica ciśnień rozerwałaby je na strzępy, uwalniając wtłoczony do nich dwutlenek siarki. Ten pod wpływem reakcji chemicznych przeobraziłby się błyskawicznie w kwas siarkowy, którego drobiny zaczęłyby odbijać w kosmos część promieniowania słonecznego. Idea pada na podatny grunt. Balonów są najpierw dziesiątki, a potem setki milionów. Dzięki zbiórkom internetowym i skoordynowanym kampaniom informacyjnym operacja jest powtarzana regularnie przez wiele lat. Temperatura na globie zaczyna spadać, ale nikt nie ma pojęcia, co będzie dalej.

Ten scenariusz radykalnej interwencji klimatycznej – zdecentralizowanej, spontanicznej i przeprowadzonej wedle zasady „zrób to sam” – powstał w wyobraźni naukowców z renomowanej uczelni prawniczej Harvard Kennedy School. Dwa lata temu opublikowali oni raport, w którym podali wiele przykładów takich potencjalnych inicjatyw dotyczących „ratowania klimatu” podejmowanych z rozmaitych pobudek przez poszczególne państwa, wielkie firmy i grupy obywateli. Dziś te scenariusze brzmią mało realnie, ale zdaniem autorów publikacji, jeśli w ciągu paru dekad nie zapanujemy nad wzrostem temperatur na planecie, prawdopodobieństwo takich woluntarystycznych interwencji geoinżynieryjnych znacznie wzrośnie. To byłby koszmar – ostrzegli badacze. Istnieje bowiem poważne ryzyko, że ludzkość – działając szybko i nie do końca przemyślanie – stworzy klimatyczne monstrum.

Ponieważ autorzy byli prawnikami, zwracali uwagę, że już dziś każdy, kto chce i ma ku temu środki, mógłby na własną rękę zacząć manipulować ziemskim systemem klimatycznym. Niektórzy już nawet próbowali zabawić się w samozwańczych zbawców planety. Na przykład założyciele małej firmy innowacyjnej Make

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

Sunsets, którzy w akcie „geoinżynieryjnego aktywizmu" w ubiegłym roku wypuścili z terytorium Meksyku balony z drobinami siarki. Na razie są to działania na znikomą skalę. O wiele groźniej zrobiłoby się, gdyby duży, zamożny kraj – lub ekscentryczny miliarder – doszedł do wniosku, że ingerencja w naturę podjęta ze znacznie większym rozmachem przyniosłaby mu korzyść.

## Śmiali eksperymentatorzy

Geoinżynieria, czyli idea schładzania klimatu Ziemi poprzez manipulowanie jej atmosferą lub oceanami, początkowo była traktowana przez klimatologów z przymrużeniem oka, ale też z irytacją. Uważali, że samo rozważanie takich awaryjnych scenariuszy może dostarczyć alibi tym, którzy nie zamierzają redukować emisji gazów cieplarnianych. Obawiali się też, że badania mogą doprowadzić do powstania rozmaitych technologii sterowania klimatem, nad którymi trudno będzie zapanować. Istnieje wręcz ryzyko, że dojdzie do klimatycznego wyścigu zbrojeń.

Obok tych argumentów pojawiły się inne. Formułowali je ci badacze, którzy też nie byli zwolennikami klimatycznych interwencji, ale jednocześnie twierdzili, że trzeba na wszelki wypadek takie narzędzia przygotować. Mogą bowiem okazać się konieczne, aby powstrzymać galopadę temperatur zagrażającą sporej części ludzkości. Tak może się zdarzyć, jeśli puszczą rozmaite hamulce wciąż trzymające w ryzach system klimatyczny. Na przykład do atmosfery zacznie wędrować w wielkich ilościach węgiel pochodzący z tajającej wiecznej zmarzliny.

Rzecz w tym, by nie zbijać gorączki po omacku, ale mieć pod ręką przebadany wcześniej geoinżynieryjny lek. Hasło jego poszukiwania rzucił w 2006 r. Paul Crutzen, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii za badania nad warstwą ozonową. Uczony opublikował w „Climatic Change" artykuł, w którym apelował, aby naukowcy zaczęli traktować poważnie geoinżynierię jako „drogę ewakuacji w przypadku szybko rosnących temperatur".

Niektórzy już wcześniej zaczęli szukać takiego leku. W 1990 r. brytyjski fizyk John Latham (wówczas na University of Manchester) opublikował w „Nature" artykuł „Control of global warming?", w którym zaproponował wysłanie na morza flotylli statków z wieżami wydmuchującymi kryształki soli morskich wytworzonych z wody oceanicznej. Wokół kryształków kondensowałaby para wodna, tworząc chmury odbijające promieniowanie słoneczne. W 1989 r. amerykański chemik Michael Noah Mautner z Virginia Commonwealth University w Richmond podczas konferencji naukowej w Los Angeles przedstawił koncepcję umieszczenia na orbicie lustra odbijającego część światła słonecznego. Rozważał ją potem w kilku pracach napisanych w pierwszej połowie lat 90. XX w. Oceanograf John Martin z Moss Landing Marine Laboratories po serii niewielkich testów przeprowadzonych w latach 80. XX w. w Pacyfiku u wybrzeży Kalifornii wystąpił ze śmiałą ideą użyźniania mórz drobinkami żelaza. Tłumaczył, że ich pojawienie się w wodzie doprowadziłoby do olbrzymich zakwitów fitoplanktonu, który za życia pochłaniałby dwutlenek węgla z atmosfery, a po śmierci opadał na dno i zabierał ze sobą ów węgiel. „Dajcie mi tankowiec żelaza, a wywołam epokę lodową" – stwierdził przekornie w 1988 r. podczas jednej z konferencji naukowych, zyskując przydomek „Iron Man".

Na początku XXI w. na oceanach kilkanaście razy próbowano zweryfikować hipotezę Martina. Do wody wsypywano zwykle od kilkudziesięciu do kilkuset kilogramów związków żelaza, a sprawozdanie z obserwacji publikowano w najpoważniejszych czasopismach naukowych, z „Nature" i „Science" na czele. Wyniki były jednak niejednoznaczne, a sam fakt prowadzenia takich testów nie wszystkim się podobał. W 2009 r. po protestach organizacji ekologicznych przerwano eksperyment LOHAFEX, podczas którego południowy Atlantyk użyźniono 10 tonami związków żelaza. Jeszcze więcej, bo ponad 100 ton, wrzucił latem 2012 r. do Pacyfiku w pobliżu Kanady amerykański przedsiębiorca Russ George. Jego czyn powszechnie potępiono, ale wtedy też okazało się, że żaden przepis prawa międzynarodowego nie zakazuje geoinżynieryjnej samowolki. Protesty jednak poskutkowały: również naukowcom odechciało się takich eksperymentów.

Od paru lat o geoinżynierii, choć nie polegającej na użyźnianiu oceanów, znowu jest jednak głośno. Liczba publikacji na ten temat rośnie lawinowo. Zgłaszane są propozycje wielkich programów badawczych, których celem byłoby zweryfikowanie, czy faktycznie można liczyć na szybkie, efektywne i względnie bezpieczne technologie schłodzenia Ziemi. Opowiadają się za tym coraz szersze i coraz bardziej wpływowe kręgi naukowe.

## Ostrożni badacze

Przełomowym momentem było opublikowanie w 2021 r. przez „Nature" komentarza redakcyjnego pt. „Dajmy szansę geoinżynierii solarnej". Z jednej strony redakcja deklarowała, że „nie ma żadnej alternatywy wobec drastycznej redukcji emisji gazów cieplarnianych", by po chwili dodać, że „trzeba też oceniać ryzyko i korzyści związane z technologiami mogącymi łagodzić globalne ocieplenie". Rok później amerykańska National Academy of Sciences (NAS) zarekomendowała Białemu Domowi uruchomienie ▶



Pobrano ze strony zajefajna.com

▶ pięcioletniego programu badań geoinżynieryjnych i wydanie na ten cel od 100 do 200 mln dol. A pod koniec lutego tego roku Program Środowiskowy Narodów Zjednoczonych (UNEP) przedstawił własny dokument podpisany przez dziewięciu ekspertów. Po rozważeniu potencjalnych plusów i minusów manipulowania bilansem cieplnym planety doszli oni do wniosku, że istnieje „pilna potrzeba stworzenia międzynarodowego panelu naukowego, który przeanalizowałby wszystkie scenariusze, konsekwencje i luki w wiedzy dotyczące technologii schładzania klimatu".

Dlaczego pomysły, które jeszcze niedawno uchodziły za przedwczesne i panikarskie, dziś są uznawane jako warte rzetelnego zbadania i ocenienia? To skutek narastającego wśród naukowców poczucia porażki. Ludzkość okazała się dość odporna na ich przestrogi, a ryzyko przekroczenia limitu wytrzymałości systemu klimatycznego Ziemi szybko rośnie. Najpierw ów limit wyznaczono na poziomie 2°C, licząc od początku epoki przemysłowej. Później obniżono go do 1,5°C. Ponieważ do tej pory temperatury podniosły się o 1,1°C, pozostało nam tylko 0,4°C do osiągnięcia progu bezpieczeństwa. W marcu Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (IPCC) ostrzegł, że może to nastąpić już w przyszłej dekadzie, jeśli emisje gazów cieplarnianych nie zostaną obcięte o połowę do 2030 r. i całkowicie wyeliminowane do 2040 r. Na razie na to się nie zanosi, a skoro tak, trudno się dziwić, że geoinżynieria zaczyna być postrzegana przez część badaczy jak potencjalne koło ratunkowe dla planety.

Problem w tym, że w tej chwili nikt nie wie, czy takie koło może faktycznie pomóc klimatowi, czy też jeszcze bardziej mu zaszkodzi. Stąd propozycje zgłoszone przez UNEP, a wcześniej rekomendacje NAS. Biały Dom już zresztą na nie zareagował. W zeszłym roku z inicjatywy prezydenckich doradców naukowych i urzędników zaczął działać zespół z udziałem przedstawicieli NASA, Narodowej Agencji Oceanów i Atmosfery oraz Departamentu Energii, którzy przygotowują szczegóły programu badawczego. Być może ruszy on w przyszłym roku, a pierwsze pieniądze popłynęły do rządowych agencji już w tym.

## Powstrzymani wizjonerzy

Wśród wpływowych zwolenników prowadzenia badań nad geoinżynierią, choć niekoniecznie jej zastosowania, jest prof. David Keith z Harvard University. Opowiada się on za rozsiewaniem w stratosferze – drugiej od dołu warstwie atmosfery – związków siarki, które odbijałyby część promieniowania słonecznego. Przekonuje, że jest to najszybsza i najbardziej precyzyjna metoda, ponieważ dawki siarkowych drobin można łatwo modyfikować, gdyby okazało się, że jest ich za dużo lub za mało.

W jednej z publikacji Keith ze współpracownikami zajął się – umiarkowanym, jak go określono – scenariuszem przyszłości zakładającym, że ludzkość w końcu zaczyna ograniczać emisje gazów cieplarnianych. Te już wyemitowane jednak nadal podgrzewają Ziemię i konieczna jest akcja ratunkowa polegająca na obniżeniu temperatury na globie poniżej progu 1,5 st. C. Podpierając się modelami komputerowymi, badacze obliczyli, że na początek należałoby rozpraszać w atmosferze kilka milionów ton siarkowych drobin rocznie, a następnie zwiększyć tę liczbę kilkukrotnie. Najlepiej byłoby je wprowadzać na wysokości 15–20 km w pobliżu zwrotników, skąd łatwo rozeszłyby się wokół globu. Przy okazji, niestety, rozjaśniłyby niebo nad naszymi głowami. Jednak – jak pociesza Keith, cały czas zastrzegając, że najlepiej byłoby w ogóle nie zajmować się takimi scenariuszami – cała operacja potrwałaby najwyżej kilka dekad, a ryzyko zaburzenia klimatu byłoby niewielkie.

Dwa lata temu naukowiec chciał przetestować na północy Szwecji działanie sprzętu pomiarowego w wyższych warstwach atmosfery, który mógłby posłużyć do monitorowania stanu atmosfery po siarkowych iniekcjach. Po protestach musiał jednak przerwać przygotowania do eksperymentu, choć – jak podkreślał – nie zamierzał rozprowadzić w atmosferze nawet grama związków siarki. Nie powinno więc dziwić, że jego nazwisko widnieje pod dwoma listami otwartymi opublikowanymi w lutym tego roku w obronie badań nad geoinżynierią. Pierwszy powstał w Europie, drugi w USA. Podpisy pod nimi złożyło ponad stu naukowców. Jest wśród nich taka sława, jak klimatolog James Hansen, jeden z pierwszych badaczy, którzy już trzy dekady temu zaczęli ostrzegać przed globalnym ociepleniem. Jest Alan Robock, światowy autorytet w dziedzinie modelowania składu atmosfery. Jest też Sarah Doherty, która od ponad dekady bada, czy sposobem na schłodzenie Ziemi mogłoby być rozjaśnienie chmur (odbijałyby więcej promieniowania słonecznego).

Oba listy były reakcją na opublikowany w ubiegłym roku apel przeciwników prowadzenia jakichkolwiek badań nad geoinżynierią. I pod nim znajdziemy nazwiska wielu wybitnych badaczy klimatu, takich jak Michael Oppenheimer, który w 1988 r. ramię w ramię z Hansenem ostrzegał przed globalnym ociepleniem podczas przesłuchań w amerykańskim Senacie, a później uczestniczył w powstaniu IPCC. Domagają się natychmiastowego wprowadzenia międzynarodowego zakazu prowadzenia jakichkolwiek badań nad technologiami geoinżynieryjnymi.

Dlaczego? Autorzy apelu twierdzą, że żadne badania nie dadzą pewności, czy interwencja w skali globalnej nie okaże się szkodliwa. Zauważają natomiast, że sam fakt prowadzenia takich badań daje złudną nadzieję, że nawet jeśli teraz podgrzejemy świat, to w przyszłości go sobie schłodzimy i będzie po problemie. Poza tym – ostrzegają – taka technologia mogłaby łatwo doprowadzić do politycznych konfliktów. Kto bowiem miałby zdecydować, kiedy zacząć schładzać glob, w jaki sposób to zrobić i kiedy przestać? Naukowcy, politycy? I kto by za to płacił? A co, jeśli w wyniku protestu grupy państw albo kryzysu ekonomicznego, interwencja zostałaby przerwana? Wówczas temperatury na Ziemi podskoczyłyby, a klimat planety zostałby kompletnie rozregulowany.

## Skłóceni sygnaliści

Geoinżynieria podzieliła świat badaczy klimatu. Wykopała rów pomiędzy ludźmi, którzy przez dekady współpracowali ze sobą, razem publikowali, pracowali nad raportami IPCC i ostrzegali przed katastrofą klimatyczną. Marcowy raport UNEP, jak i wcześniejsza rekomendacja NAS wskazują, że na razie górę biorą zwolennicy finansowania badań nad technologiami schładzania klimatu. Co ciekawe, niektórzy z nich są już dziś święcie przekonani, że interwencje klimatyczne nie mają najmniejszego sensu.

Alan Robock od dekady analizuje skutki takich ingerencji za pomocą modeli komputerowych. Pozytywnych efektów znalazł pięć, negatywnych – 27. Według niego ryzyko, że manipulując klimatem, wywołamy falę katastrofalnych susz albo osłabimy monsuny przynoszące deszcze trzem miliardom ludzi, jest znaczne. Jego symulacje ostrzegają: geoinżynieria to niebezpieczna zabawa kluczowymi systemami podtrzymującymi życie na Ziemi. Dlaczego popiera badania nad nią? Ma pewność, że potwierdzą one jego negatywną ocenę, i temat zostanie raz na zawsze odłożony na półkę. W tej kwestii zgadza się z innym fragmentem wstępniaka w „Nature" sprzed dwóch lat: „Jeśli geoinżynieria jest szkodliwa, trzeba mieć na to dowody, aby liderzy polityczni mieli pewność, że trzeba ją wykreślić z listy dostępnych opcji".

Zdaniem wielu naukowców poszukiwania takich dowodów potrwają wiele dekad i nie zakończą się jednoznacznymi zaleceniami. Dlatego najlepiej byłoby już dziś zostawić z powyższego cytatu tylko kilka ostatnich słów: „wykreślić z listy dostępnych opcji".

ANDRZEJ HOŁDYS

# Rzeka w pułapce

Wisła pomiędzy Wilanowem a Wawrem.

© MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

**Bieda zaborów uczyniła ze środkowej Wisły oazę dzikości. Dziś zagrażają jej ministrowie, turyści, lisy i gatunki inwazyjne. Bez pomocy utraci swój unikatowy na skalę europejską charakter – twierdzą Monika i Dariusz Bukacińscy, którzy od blisko 40 lat badają i chronią tamtejsze ptaki.**

WOJCIECH MIKOŁUSZKO: **– Druciane siatki, ogrodzenia elektryczne, słupki z numerkami, pułapki na zwierzęta, inkubatory jaj. Wszystko to zobaczyłem na zdjęciach ze strony internetowej realizowanego przez państwa projektu ochrony doliny środkowej Wisły. Dlaczego aż tak mocno ingerujecie w dziką przyrodę?**

DARIUSZ BUKACIŃSKI: – Bo bez takiej ingerencji nie byłoby już tu co chronić. Na tych odcinkach doliny środkowej Wisły, gdzie nie ma siatek i pułapek, przeżywalność mewy siwej jest równa zeru. Zaryzykuję stwierdzenie, że 85 proc. piskląt tego gatunku, które w Polsce dożywają dorosłości, pochodzi z terenów chronionych przez nas i pasjonatów zrzeszonych w Fundacji Ptasie Horyzonty. Pomagamy też oczywiście licznym innym lęgnącym się tam gatunkom ptaków.

**Dlaczego wkładają państwo tyle wysiłku w ochronę tego konkretnego miejsca? Nie jest tak unikatowe jak Puszcza Białowieska.**

DB: Oczywiście, że jest. Tyle że dolina środkowej Wisły została mniej rozreklamowana.

**To proszę ją mi zareklamować.**

DB: Wisła to jedyna duża rzeka nizinna w Europie, która na długim, ponad 300-kilometrowym odcinku zachowała dziki, naturalny charakter. Na obszarze między Puławami a Płockiem jej koryto jest szerokie, a nurt dzieli się na kilka.

MONIKA BUKACIŃSKA: – Zachowała się tam niezwykła różnorodność siedlisk. W nurcie rzeki tworzą się wyspy i ławice piaskowe. Co roku rzeka je przesuwa, zmienia ich kształt, tworzy nowe lub zabiera stare. To świetne miejsce dla mew i rybitw. Naturalne brzegi o ostrych skarpach pozwalają gnieździć się ptakom preferującym nory, jak zimorodek czy jaskółka brzegówka. W dolinie środkowej Wisły przetrwały nawet fragmenty bardzo bogatych lasów łęgowych.

**Dlaczego akurat tutaj nie zmienił się naturalny charakter?**

DB: Kiedyś przyjechali do nas przyrodnicy z Norwegii. Zobaczyli środkową Wisłę, wpadli w zachwyt i zapytali nas: „Jak dużo kosztowało zachowanie takiej pięknej przyrody?”. Odpowiedzieliśmy: „Nic”. Wisła zachowała swą dzikość właśnie dzięki temu, że Polacy nie mieli pieniędzy. To chyba jedyny pozytyw tego, ▶



Pobrano ze strony zajefajna.com

Rybitwa białoczelna

▶ że byliśmy biednym krajem pod zaborem rosyjskim. Uwarunkowania polityczno-historyczne sprawiły, że najpierw nie było woli, a potem środków, żeby uregulować Wisłę jak Ren, Dunaj czy Loarę.

MB: Niestety, obecnie historia zatacza koło i pojawiły się plany, żeby Wisłę skanalizować. I to właśnie ten odcinek, który jest najbardziej atrakcyjny dla zwierząt. To jakieś szaleństwo!

**Jakie konkretnie zwierzęta go zamieszkują?**

DB: Różnorodność siedlisk sprawia, że jest to atrakcyjne miejsce dla rozrodu bardzo wielu gatunków zwierząt. Wśród ssaków charakterystycznymi gatunkami są wydra, bóbr, ale również wizon amerykański i jenot. Wśród ptaków przede wszystkim zespół wodno-błotnych – i to takich, których podstawą istnienia jest dynamiczny charakter tego miejsca. Na przykład rybitwa białoczelna gnieździ się wyłącznie na niskich ławicach piasku. Jej okres lęgowy musi być bardzo krótki, żeby zdążyła wyprowadzić pisklęta między jednym zalewem a drugim. Dolinę środkowej Wisły zamieszkuje aż 85 proc. polskiej populacji tej rybitwy! Taki sam odsetek dotyczy mewy siwej. Rybitwy rzecznej i sieweczki obrożnej mamy tu po ok. 35–40 proc., ostrygojada – 60 proc. Nawet mewa śmieszka, która generalnie woli wody stojące i wolno płynące, czyli stawy i jeziora, ma tutaj lęgowiska liczące ok. 10 proc. jej stanu krajowego. Bez doliny środkowej Wisły wszystkie te gatunki nie żyłyby w Polsce!

MB: Spotykają się tu też trzy blisko spokrewnione gatunki dużych mew: srebrzysta, białogłowa i romańska. One niedawno się rozdzieliły od wspólnego pnia i zazwyczaj zamieszkują odmienne obszary w Europie. Gdy tutaj przylatują, często nie mogą znaleźć partnera do rozrodu z własnego gatunku. Tworzą więc pary mieszane. Powstaje całkiem spora liczba hybryd międzygatunkowych. To bardzo ciekawe z ewolucyjnego punktu widzenia.

DB: U mewy siwej z doliny środkowej Wisły często obserwujemy z kolei zjawisko adopcji. W innych miejscach zdarza się to bardzo rzadko. Zauważyliśmy, że adopcję zazwyczaj prowokują same pisklęta – i to te najsłabsze albo najpóźniej wyklute z jajka. U swoich rodziców mają ciężko, przegrywają rywalizację o pokarm ze starszym i silniejszym rodzeństwem. Przechodzą więc w miejsce, gdzie ich status będzie wyższy. Sąsiednie pary mew je przygarniają i opiekują się nimi.

**To nielogiczne z ewolucyjnego punktu widzenia.**

DB: Znaleźliśmy logiczne wytłumaczenie. Otóż mewa siwa to gatunek bardzo konserwatywny. W dolinie środkowej Wisły ptaki co roku zakładają gniazda w tych samych parach i w tych samych miejscach. Ich pisklęta w dużym stopniu wracają w okolice miejsca urodzenia. Nasze badania genetyczne ujawniły, że kolonie mew siwych stają się bardzo rodzinne. Im bliżej siebie ptaki gniazdują, tym bliżej są ze sobą spokrewnione. Adoptując pisklęta sąsiadów, dana para wspiera więc bliskich kuzynów.

Gdy idzie wielka woda, to kilka par mew siwych potrafi nawet łączyć pisklęta w jedną grupę. Powstaje coś w rodzaju ptasiego żłobka. Wszyscy dorośli karmią wtedy wszystkie młode.

**Z tego, co państwo opowiadają, wynika, że niestabilność jest wpisana w środowisko środkowej Wisły. Gatunki do tego przystosowane powinny chyba sobie radzić z rozmaitymi nowymi zagrożeniami.**

DB: Rzeczywiście, adaptacja do niestabilnego środowiska jest wpisana w historię życiową każdego z żyjących tu gatunków. Pod warunkiem jednak, że człowiek w to nie ingeruje. Gdy pojawiają się czynniki, z którymi te zwierzęta nigdy wcześniej nie miały do czynienia, stają się bezbronne. Proszę przyjechać i samemu zobaczyć, ile zniszczeń w kolonii ptaków potrafi zrobić jedna wizyta wizona amerykańskiego.

**A jaki to ma związek z ingerencją człowieka?**

DB: Wizon amerykański, dawniej zwany norką amerykańską, został sprowadzony do Europy jako zwierzę futerkowe. Oficjalna wersja jest taka, że zwierzęta uciekły z hodowli. Nieoficjalnie mówi się, że gdy boom na futra się skończył, to hodowcy po prostu wypuszczali norki z klatek. To było tańsze niż uśmiercenie. Potomkowie tych uciekinierów zasiedlili niemal całą Polskę.

Wizona amerykańskiego często nazywa się drapieżnikiem totalnym. Znakomicie chodzi po drzewach, świetnie pływa, bezgłośnie się porusza. Gdy wchodzi na wiślaną wyspę, to zwykle jego celem jest upolowanie jednego konkretnego ptaka. Po drodze do niego łapie jednak wszystko, co się rusza. Zostawia po sobie ścieżkę usłaną trupami mew czy rybitw. Czasem to kilkanaście, czasem nawet kilkadziesiąt martwych ptaków.

MB: A ok. 20 lat temu doszedł do tego jeszcze lis.

**Lis to przecież gatunek polski!**

MB: Akcja wyrzucania szczepionek przeciw wściekliźnie doprowadziła do tego, że praktycznie zanikła selekcja naturalna u tego gatunku. Śmiertelność lisa ostro spadła.

DB: Lis jest gatunkiem leśno-polnym. Potrafi pływać, ale nie lubi. Nie zapuszczał się więc na wyspy wiślane. Gdy jednak jego liczebność bardzo wzrosła, poszczególne osobniki zaczęły migrować w koryto środkowej Wisły. Trafiły tu na cudowne miejsce do życia – wielkie kolonie ptaków, gdzie można było się świetnie pożywiać.

Dr **Dariusz Bukaciński** i dr **Monika Bukacińska** są ekologami i ornitologami. Od 1985 r. zajmują się badaniami i ochroną ptaków doliny środkowej Wisły, szczególnie mewy siwej (*Larus canus*). Obecnie pracują w Instytucie Nauk Biologicznych i w Centrum Ekologii i Ekozofii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, gdzie są wykładowcami na kierunku ochrona środowiska. Ich projekt „Czynna ochrona zagrożonych gatunków ptaków siewkowych na wyspach wiślanych" uzyskał dofinansowanie z tzw. funduszy norweskich na lata 2021–24.

Więcej o projekcie: https://ochronaptakowwisly.edu.pl/

Ostrygojad

Mewa śmieszka

MB: Lis najchętniej wybiera jaja z gniazd. Część zjada, resztę zakopuje na później. Potrafi w ten sposób wyczyścić lęgi ptaków dosłownie do zera. Wizon amerykański zabija przede wszystkim dorosłe ptaki, a lis – jaja i pisklęta. Czego nie zje pierwszy drapieżnik, zabije drugi; co zostawi drugi – zje pierwszy.

**Wymieniają państwo jeszcze jedno zagrożenie: meszki.**

MB: Meszki wchodzą pod pióra. Zdarzało nam się złapać dorosłą mewę, pod piórami której tysiące meszek spijały jej krew.

DB: Dorosłe ptaki radzą sobie z meszkami na dwa sposoby. Najczęstszą reakcją jest opuszczanie gniazd i krążenie w górze nad kolonią. Fruwając, ptaki przestają jednak dbać o lęgi, które wyjadane są przez wrony i sroki. Starsze osobniki czasami próbują wysiadywać jaja lub pisklęta za wszelką cenę. Znajdowaliśmy je potem na gniazdach martwe, zabite przez meszki.

MB: Albo meszki wypiły za dużo ich krwi, albo pojawiła się u nich reakcja alergiczna na toksyny. Pisklęta są zaś całkowicie bezbronne.

DB: Meszki atakują najczęściej na przełomie maja i czerwca. To okres wykluwania się piskląt mew. Wystarczy mały otwór w jaju, a meszki dostają się tamtędy do środka i atakują młode. Pisklę wówczas ginie, zanim się do końca wykluje.

**Meszki, tak jak lisy, chyba żyły w Polsce od zarania dziejów. Dlaczego ptaki nie wykształciły odporności na nie?**

DB: Tak, meszki występowały w Polsce „od zawsze". Natomiast dopiero w drugiej połowie lat 90. XX wieku zaczęliśmy obserwować zjawisko masowych ich pojawów.

MB: Podejrzewamy, że to skutek zmian klimatycznych. Zimą jest na tyle ciepło, że więcej jaj meszek może przetrwać.

**Czy zmiany klimatyczne jeszcze jakoś zmieniają dolinę środkowej Wisły?**

DB: Głównie na dwa sposoby. Przybory rzeki, które były naturalnym elementem tego środowiska, są teraz częstsze i bardziej gwałtowne. A z drugiej strony zdarzają się ekstremalnie wysokie temperatury. Duże nasłonecznienie prowadzi do zwiększonej śmiertelności piskląt.

MB: Obniża się też poziom wody do niespotykanego wcześniej stanu. Na wyspy, do których dostęp był utrudniony przez nurt rzeczny, można nieraz dotrzeć suchą stopą.

DB: Do ptasich kolonii zaglądają więc ludzie w nieznanych nam wcześniej masach. Wjeżdżają quadami i rozjeżdżają gniazda. Całe rodziny obozują na wyspach. Ludzie wygrzewają się na kocach lub ręcznikach, a psy biegają po wyspie i płoszą pisklęta mew oraz rybitw, które umierają z przegrzania, ewentualnie je zabijają. Po rzece pływają hałaśliwe motorówki. Niestety, wielu z tych turystów nie przestrzega zasad – ani prawnych, ani etycznych.

**Ogrodzenia elektryczne mają więc chronić przed tymi zagrożeniami?**

DB: Akurat przed człowiekiem to się nie udaje. Bywa wręcz na odwrót. Panele słoneczne, które zasilają ogrodzenie, są regularnie kradzione. Natomiast rzeczywiście chroni ono przed wizonem amerykańskim i lisem. Jednocześnie prowadzimy redukcję tych zwierząt.

**Jak?**

DB: Wizony łapiemy do pułapek z przynętą w postaci ryby. Potem uśmiercamy je za pomocą zastrzyku. Mamy na to zgodę komisji bioetycznych.

**Nie ma innego sposobu?**

DB: Nie możemy przenosić wizonów na inny teren, bo to nie rozwiązuje problemu. Kilkanaście lat temu rozważaliśmy dodawanie do przynęty środków poronnych. To by stopniowo zmniejszało liczebność wizonów, bo w ciążę zachodzą tylko raz do roku. Niestety, nie dostaliśmy zgody, bo – jak usłyszeliśmy w Ministerstwie Środowiska – w naszym kraju chroni się życie od poczęcia. Nie żartuję!

**Lisy też uśmiercacie?**

MB: Płacimy myśliwym za odstrzał. Nie mamy innej możliwości.

**A po co są inkubatory jaj?**

DB: W momencie, kiedy jaja zostają złożone, zabieramy je. Głównie mewie siwej, bo z powodu spadku liczebności sięgającego 80 proc. została ona uznana za najbardziej zagrożony gatunek ptaka w naszym kraju.

MB: Na miejsce prawdziwych jaj podkładamy odpowiednio pomalowane atrapy z drewna. Dorosłe je akceptują i wysiadują jak swoje własne.

DB: A ich prawdziwe jaja są u nas w inkubatorze. Cały czas je monitorujemy, prześwietlamy, obserwujemy rozwój zarodków. Kiedy widzimy, że lada moment pisklę się wykluje, odwozimy je z powrotem na wyspę. Zabieramy drewniane atrapy i w gniazdach podkładamy prawdziwe jaja. Pisklęta klują się już w swoich gniazdach.

MB: Te słupki, które pan widział na zdjęciach, są właśnie oznakowaniem każdego gniazda. Te same numerki mamy i na słupkach, i na jajach. Wiemy, skąd pochodzi każde z nich.

**Są państwo w środku realizacji projektu ochrony doliny środkowej Wisły. Co dalej?**

DB: Sceptyk, taki jak pan, powie zapewne, że to nie ma sensu. Że ogrodzenia elektryczne nie mają nic wspólnego z dziką przyrodą. Że na miejsce wizonów i lisów, które usuniemy, przyjdą nowe i problem wróci.

**Rzeczywiście, mam trochę tego typu obaw.**

DB: A ja wciąż jestem naiwnym człowiekiem, który wierzy, że jeśli będziemy wystarczająco długo chronić to miejsce, to w końcu presja zagrożeń się zmniejszy. Nasze wysiłki pozwolą ptakom odbić od dna i kiedyś, w przyszłości, będziemy mogli pozostawić je samym sobie.

MB: Już widzimy zmniejszającą się presję ze strony wizona amerykańskiego. Nastąpiło wysycenie środowiska i liczebność tego drapieżnika zaczęła spadać. Bardzo nas to cieszy. Nam przecież chodzi wyłącznie o to, żeby te ptaki radziły sobie same. Na razie musimy im jednak wciąż pomagać. Nie ma innej drogi.

ROZMAWIAŁ WOJCIECH MIKOŁUSZKO

© EAST NEWS (2), SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE



Pobrano ze strony zajefajna.com

# Kosmiczne przyspieszenie

PRZEMEK BERG

**Klasyczne silniki rakietowe osiągnęły kres możliwości. Elektryczne też. Statkom kosmicznym swobodniejsze poruszanie się w Układzie Słonecznym umożliwić ma jądrowy napęd termiczny.**

Statki kosmiczne NERVA, wizja artystyczna.

© ADRIAN MANN/FUTURE PUBLISHING/GETTY IMAGES

Jak dzisiaj przebiega większość misji kosmicznych? Sonda jest dołączana do potężnej rakiety nośnej na paliwo chemiczne. Rakieta rozpędza się, by osiągnąć prędkość pozwalającą jej oderwać się od Ziemi, a po paru minutach wyrzuca niczym proca kamień to, co ma być wyniesione w kosmos. Oczywiście pojazdy, które mają lecieć w głąb Układu Słonecznego, mogą to robić jeszcze szybciej, wykorzystując tzw. asystę grawitacyjną mijanych po drodze planet. Zbliżając się do nich, zaczynają być silnie przyspieszane, okrążają je, po czym – używając niewielkich silników korekcyjnych – odchylają trajektorię lotu i lecą dalej już istotnie szybciej. Nawet w ten sposób daleko się jednak nie zajedzie. Stąd liczne próby inżynierów wynalezienia radykalnie innego napędu.

W literaturze anglojęzycznej nowa klasa silników, dzięki którym w zasadzie już dokonuje się przełom, jest nazywana napędem elektrycznym. Jego szczególnym typem są silniki jonowe. Możliwość ich budowy zaproponowali niezależnie już na początku XX w. pionierzy astronautyki Robert Goddard i Konstanty Ciołkowski. W latach 30. idei tej przyklasnął słynny niemiecki teoretyk napędów rakietowych Hermann Oberth. NASA miała prototyp takiego napędu w 1961 r., ale wyścig wygrali Rosjanie. Oni pierwsi, w 1964 r., wysłali w kosmos sondę Zond 2 z jonowymi silnikami do kontroli orientacji w przestrzeni. Dzisiaj urządzenia tego typu są wykorzystywane głównie w satelitach.

Taki silnik działa w ten sposób, że znajdujące się w komorze atomy lub cząsteczki gazu (ksenonu, kryptonu lub argonu) poddawane są jonizacji, czyli pozbawia się je elektronów lub o nie wzbogaca. Jony dodatnie, czyli kationy, są następnie przyspieszane do ogromnej prędkości ok. 30 tys. m/s w polu elektrostatycznym wytworzonym pomiędzy dwiema lub trzema naładowanymi elektrycznie siatkami o różnych potencjałach. Wysoka prędkość wylotowa jonów zapewnia bardzo efektywne wykorzystanie paliwa (w ciągu sekundy zużyciu ulega zwykle kilka mikrogramów gazu), ale niestety daje też bardzo małą siłę ciągu (rzędu miliniutonów). Jednak w próżni – gdy nie ma lub prawie nie ma oporów – to wystarcza, by korygować pozycję satelitów, a także powoli przyspieszać sondy i pojazdy kosmiczne do dużych prędkości (japońska Hayabusa 2 w drodze do asteroidy Ryugu osiągnęła prędkość 32 km/s). Silniki jonowe są nie tylko niezwykle wydajne, ale też długowieczne.

Pierwszą sondą, która je wykorzystywała jako główne źródło napędu, była wyniesiona w 1998 r. w kosmos amerykańska Deep Space 1. Dotarła do asteroidy Braille, a następnie w pobliże komety Borrelly'ego. Od 1998 r. do 1 września 2001 r. silnik przepracował łącznie 12 tys. godzin. To było znaczące osiągnięcie.

Nieco później powstały tzw. silniki Halla, w których kationy przyspieszane są przez pole magnetyczne. Jonizacja przebiega tu szybciej, a strumień wypływających jonów jest mniej rozproszony, pozwalając na uzyskanie większego ciągu (kilku niutonów). Silniki

Halla poleciały w kosmos na początku lat 70. XX w. na radzieckich satelitach meteorologicznych. Pierwszą sondą napędzaną w ten sposób była amerykańska Smart 1, wyniesiona w kosmos w 2002 r. Początkowo była satelitą Ziemi, ale włączany w odpowiednich momentach silnik rozpędził ją do drugiej prędkości kosmicznej. Weszła na trajektorię w stronę Księżyca i doleciała do niego.

Szczególnym typem napędu elektrycznego jest silnik plazmowy. Flagowym przykładem jest amerykański VASIMR (Variable Specific Impulse Magnetoplasma Rocket), czyli silnik magnetoplazmowy o zmiennym impulsie właściwym. Został zbudowany w końcu lat 80. XX w. przez Franklina Changa-Díaza. Ten astronauta i fizyk wykorzystał wyniki badań plazmy termojądrowej prowadzonych w eksperymentalnych reaktorach fuzyjnych zwanych tokamakami.

W takim silniku plazmę uzyskuje się przez podgrzanie czynnika roboczego – ksenonu, argonu lub wodoru – do temperatury rzędu 2 mln st. C przy użyciu mikrofal i fal radiowych. Następnie oplatające silnik magnesy nadprzewodzące kierują ją do dyszy. Impuls właściwy, czyli prędkość, z jaką czynnik roboczy opuszcza silnik, to nawet 50 tys. m/s. Nigdy nie był testowany w kosmosie, ale wciąż dobrze rokuje. Prace nad jego udoskonaleniem we wspieranej przez NASA firmie Franklina Díaza – Ad Astra Rocket Company – trwają.

2 Kosmiczne silniki chemiczne i elektryczne mają ograniczenia. Uważa się, że częściowo pokona je jądrowy napęd termiczny (*nuclear thermal propulsion*, NTP). Stosunek wytwarzanego przez niego ciągu do masy może być nawet 10 tys. razy wyższy niż w elektrycznych systemach napędowych, a impuls właściwy – od dwóch do pięciu razy większy niż w konwencjonalnych chemicznych. Dlatego w styczniu szef NASA Bill Nelson zapowiedział, że agencja będzie ściśle współpracować z DARPA (Agencja Zaawansowanych Programów Badawczych Departamentu Obrony), by prototypową rakietę z takim napędem skonstruować do 2027 r. Dalszym celem będzie stworzenie silnika, który dowiezie ludzi na Marsa nie w 8 miesięcy, a w trzy, góra w cztery.

Amerykanie nie muszą tak naprawdę wiele wymyślać, ponieważ już kiedyś, w końcu lat 60. XX w., stworzyli dobrze działający jądrowy napęd rakietowy, który był z powodzeniem testowany na pustyni Nevada. Nowy będzie więc tylko udoskonaloną i zapewne mocno zmodernizowaną wersją tamtego.

Amerykanie realizowali dwa programy jądrowe: Kiwi i NERVA (Nuclear Engine for Rocket Vehicle Applications). W tym pierwszym badano „nielotne" rakietowe silniki nuklearne. NERVA natomiast dotyczył budowy silników do misji na Księżyc i Marsa. Wielkim zwolennikiem pomysłu był ówczesny szef amerykańskiego programu kosmicznego Wernher von Braun.

Reaktor podgrzewał ciekły wodór do wysokiej temperatury, a ten, rozszerzając się, gwałtownie uchodzi przez dyszę – generując ciąg. Generalna zasada działania jest identyczna jak w silniku chemicznym, ale prędkości wylotowe gazu są ponaddwukrotnie wyższe, rzędu 10 tys. m/s. Cała energia silnika pochodzi z reaktora rozszczepialnego, a wodór jest tzw. czynnikiem roboczym – który służy też do chłodzenia reaktora, korpusu silnika i dyszy.

– *To proste. Tak to wyglądało w silniku NERVA i tak będzie wyglądać teraz. Tyle że dzisiaj mamy nowe technologie i materiały, którymi nie dysponowaliśmy 50 lat temu. Z takim napędem misja na Marsa potrwa o rzeczywiście połowę krócej. Staje się więc jak najbardziej realna* – komentuje prof. Piotr Wolański, wieloletni kierownik Zakładu Silników Lotniczych Politechniki Warszawskiej i przewodniczący Komitetu Badań Kosmicznych i Satelitarnych PAN.

Rakiety z napędem NTP (nuclear thermal propulsion) nie wystartują z Ziemi. Będą miały wciąż zbyt słaby ciąg, by wynieść na orbitę setki lub tysiące ton. Polecą tam rakietami na paliwo chemiczne. Ale dzięki temu nie muszą być bardzo duże, co również działa na ich korzyść – mniejsze obiekty łatwiej napędzać. Wodór będzie dowożony z Ziemi lub pozyskiwany z wody księżycowej – czemu służy program Artemis: lądowania ludzi w okolicach południowego bieguna Księżyca. W tamtejszych wiecznie zacienionych kraterach jest jej dużo. W przypadku misji na Marsa wodór czerpany będzie z wody marsjańskiej.

Pozostaje pytanie, dlaczego w 1973 r. Amerykanie zarzucili program NERVA tuż po skonstruowaniu pierwszego jądrowego napędu termicznego rakiet kosmicznych? Odpowiada prof. Wolański: – *Amerykanie wygrali wyścig na Księżyc i to im w zasadzie wystarczyło. Pokazali, że są potęgą gospodarczą i kosmiczną. Poza tym w grę wchodziły – i wciąż zresztą wchodzą – koszty. Wyprawa na Marsa to wydatek pewnie bilionów dolarów, 50 lat temu zupełnie nie do udźwignięcia. Ameryka postawiła na bliskie użyteczne loty – na orbitę, by budować flotyllę satelitów, oraz do stacji ISS. I na mniejsze naukowe misje niedużych próbników i sond.*

3 Opisane wyżej napędy kosmiczne to tylko część przygody. Niedawno NASA poinformowała, że pracuje nad obrotowym rakietowym silnikiem detonacyjnym (RDRE). Składa się on z koncentrycznych cylindrów, pomiędzy które wpływa paliwo i tam zostaje zapalone. To wywołuje uwolnienie się ciepła w postaci fali uderzeniowej. Proces spalania to tak naprawdę seria eksplozji, których ciśnienie i temperatura generują ciąg. Kilkanaście testów tego silnika udało się już przeprowadzić w Centrum Lotów Kosmicznych Marshalla w Alabamie.

Największe agencje kosmiczne świata – NASA, ESA i JAXA – pracują wciąż nad udoskonaleniem napędu żagla słonecznego, czyli wykorzystania energii fotonów słonecznych do wprawiania w ruch pojazdu wyposażonego w rozpostartą powłokę. LightSail 2 należący do amerykańskiego Planetary Society, japońska sonda IKAROS czy NanoSail-D2 z NASA już potwierdziły, że tego typu napęd może działać. A jest najtańszym sposobem przemieszczania się w Układzie Słonecznym, przy czym nadaje się w zasadzie tylko do długich i dalekich misji. Jednak to, co jest napędzane żaglem, z powodu braku oporu stale przyspiesza, więc z czasem może osiągnąć prędkości nieporównywalne z żadnym innym napędem – sięgające setek lub tysięcy km/s. Daleko od Słońca żagiel już nie działa, więc trzeba go odrzucić. Ale prędkość pozostaje.

Jeden z najbardziej zuchwałych scenariuszy zakłada wysłanie pojazdu o masie jednej tony w trwającą 40 lat podróż do układu Alfa Centauri, znajdującego się 4,4 lat świetlnych od Ziemi najbliższego nam systemu trzech gwiazd z planetą typu ziemskiego wokół najmniejszej z nich (Proximy Centauri). Żagiel statku musiałby mieć aż 3,6 km średnicy i być wykonany z czystego aluminium o grubości 0,016 mikrometra (czego obecnie wykonać nikt nie jest w stanie).

Taki pojazd mógłby z czasem osiągnąć maksymalną prędkość jednej dziesiątej prędkości światła. Pokonywałby 36 tys. km w jedną sekundę! Byłaby to oczywiście podróż tylko w jedną stronę. Tylko czy jest jakiś powód, żeby wysyłać do Alfa Centauri tonową sondę? Na razie nie ma. ■



Pobrano ze strony zajefajna.com

NAGRODA ARCHITEKTONICZNA POLITYKI

# Wnętrza z historią

Przy okazji 12. edycji Nagród Architektonicznych POLITYKI po raz pierwszy przyznana zostanie Nagroda Specjalna magazynu SALON. Powstała ona z myślą o projektach wnętrz w budynkach użyteczności publicznej.

MAŁGORZATA TOMCZYK

Kiedy w 2019 r. debiutował SALON, wydanie specjalne POLITYKI o architekturze, wzornictwie i sztuce, w całości traktował on o przeszłości i pamięci zapisanych w murach.

W opublikowanych do tej pory 14 numerach SALONU pokazywaliśmy przykłady łączenia starego z nowym. Zachęcaliśmy do transformacji architektonicznych zamiast balsamowania tego, co przetrwało. Dlatego cieszy nas, że w gronie finalistów Nagrody Specjalnej znalazły się aż trzy zrewitalizowane wnętrza w budynkach, z których dwa to ikony powojennej architektury: Biblioteka Narodowa w Warszawie i Planetarium Śląskie w Chorzowie.

Powojenna architektura jest dziś przedmiotem sporów. Architekt Tomasz Konior, odpowiadający za przebudowę Biblioteki Narodowej w Warszawie, mówi wprost o swoim ambiwalentnym stosunku do okresu, w którym powstawała. A Spartaco Paris, architekt i profesor na Wydziale Architektury Uniwersytetu Rzymskiego La Sapienza, z którym rozmawialiśmy o odnawianiu historycznych przestrzeni, twierdzi wręcz, że w powszechnym odczuciu koncepcje urbanistyczne i budynki z okresu po drugiej wojnie światowej były wielkim błędem. Na to dziedzictwo trzeba spojrzeć od nowa, słabości projektowe potraktować jak chorobę wymagającą niekonwencjonalnej terapii. Dla współczesnych architektów to wyzwanie. Zmierzyła się z nim większość autorów finałowych obiektów i trzeba przyznać, że te rewitalizacje zostały przeprowadzone z pomysłem. Architekci zadali sobie trud zrozumienia genius loci – jak w przypadku Hotelu Warszauer w Krakowie. To dobry znak, bo zbyt często traktuje się dzisiaj wnętrza jak pustą kartkę do zapisania.

Nie zabrakło w finale również projektu zrealizowanego zaczepnie, z poczuciem humoru – bistro Syrena Irena w dawnym Domu Turysty w Warszawie – co jest dowodem na to, że tradycja stanowi źródło inspiracji także do zabawy. W końcu nie samym funkcjonalizmem żyje design.

W światowej refleksji o architekturze na pierwszy plan wysuwają się dzisiaj oczywiście projekty odpowiadające na aktualne wyzwania społeczne. I takich nie zabrakło w finale konkursu.

A oto cała piątka tegorocznych finalistów Nagrody SALONU wyłoniona w głosowaniu kilkudziesięciu uznanych pracowni architektonicznych z całego kraju (patrz: polityka.pl/salon). Rozstrzygnięcie konkursu ogłosimy podczas gali Nagród Architektonicznych POLITYKI.

**Biblioteka Narodowa w Warszawie,**
Konior Studio

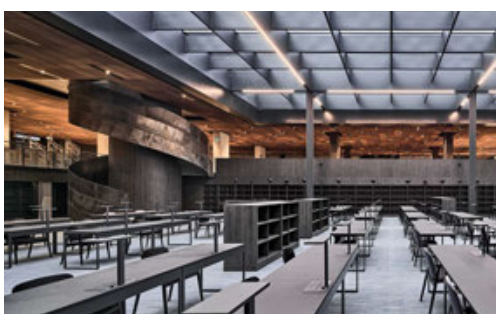

Jej główny gmach, projekt architekta Stanisława Fijałkowskiego z 1963 r., realizowany przez blisko trzy dekady, doczekał się przebudowy i nowych czytelni. Dokonali tego architekci ze śląskiego Konior Studio, z szacunkiem podchodząc do modernistycznej architektury i „ducha" bibliotecznych przestrzeni nakreślonych przez jego twórcę. Miało być bardziej ergonomicznie i jest – dzisiaj czytelnie są trzykrotnie większe i mieszczą czterokrotnie więcej książek. Największe atrium przykryto szklanym dachem, tworząc rodzaj wewnętrznej agory w centrum budynku, rozświetlonej naturalnym światłem. Czytelnie BN stały się bardziej otwarte, z tysiącami woluminów w wolnym dostępie, z nowoczesnymi mniejszymi czytelniami specjalistycznymi, a nawet pokojami dla zespołów badawczych. W modernizacji widać dbałość o detal, od akustyki pomieszczeń po oświetlenie. Zachowanie oryginalnych okładzin kamiennych podkreśla urodę architektury i buduje historyczny klimat. Skontrastowano je z industrialnymi stalą i miedzią, a także ciepłym w odbiorze drewnem.

Najbardziej efektowna wydaje się tutaj miedź, z której niegdyś robiono rury, dachy i przewody, a teraz np. designerskie lampy czy miedziane osłony instalacji na sufitach BN oświetlane pod różnym kątem. Nikt nie przejdzie też obojętnie obok spiralnych schodów rozpiętych pomiędzy trzema poziomami otwartej przestrzeni czytelni. Atutem tego miejsca jest też przenikanie się przestrzeni poświęconych książkom z zielenią w parku i na dziedzińcach, które wreszcie po latach zostaną udostępnione czytelnikom.

Sponsor Główny Nagrody Architektonicznej POLITYKI
ATLAS
Sponsor Nagrody Specjalnej Magazynu SALON
FOX DEKORATOR

**Planetarium Śląskie w Chorzowie,** Consultor Architekci

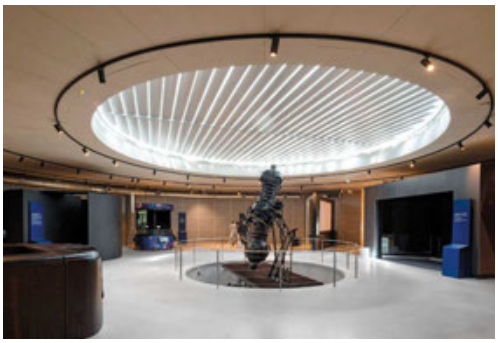

Projekt architekta Zbigniewa Solawy z 1955 r. po modernizacji wzbogacił się o nowoczesne centrum nauki. Architekci z poznańskiej pracowni Consultor schowali je pod ziemią, by na pierwszym planie pozostała bryła Planetarium, chociaż kubatura nowej części jest znacząco większa od istniejącej tu od początku. Świetnie zaprojektowane multimedialne ekspozycje poświęcone astronomii, sejsmologii i meteorologii może zwiedzać jednocześnie kilkanaście grup i nikt sobie nawzajem nie przeszkadza. Ten rodzaj „pałacu dla ludu" odzyskał dawny blask. Wnętrza odświeżono z szacunkiem dla kunsztu rzemiosła z lat 60. XX w. – one często były budowane jeszcze przez świetnych fachowców z międzywojnia. Od progu stąpamy po wypolerowanym kamieniu, ułożonym w misterne wzory. Elegancję zabytkowego budynku współtworzą odrestaurowane stiuki, mozaiki, a nawet lastryko. Dla kontrastu w nowych pomieszczeniach zastosowano surowe, minimalistyczne środki. Aluminium, beton, obecne na zewnątrz budowli, przeniesione zostały do wnętrza. Przestrzeń okrągłej sali ekspozycyjnej o pow. 500 m kw., zlokalizowana pod dziedzińcem z zegarem słonecznym, jest funkcjonalna, łatwo dostępna i znakomicie doświetlona. A planetarium nie straciło nic ze swojej aury tajemniczości, niezwykłości.

**Bistro Syrena Irena w Warszawie,** Projekt Praga i Mamastudio

Pierogarnia powstała w dawnym Domu Turysty z 1955 r. Odmienione wnętrza to kreacja dwóch zespołów: Mamastudio przygotowało identyfikację wizualną, a pracownia Projekt Praga podążyła za „beztroską energią tego konceptu". Zamierzenie było jedno – zademonstrować we wnętrzu lokalną tożsamość. Wizerunek syreny o dwóch obliczach: dziennym barowym i nocnym rozrywkowym, został zainspirowany tradycjami polskiej szkoły plakatu. Nawiązuje do niego aplikacja naścienna z obrazem Herberta Jamesa Drapera „Odyseusz i syreny". A wszystko to pod łukami z lat 60., w otoczeniu sztukaterii, mozaik. Są balustrady zdobione wzorem rybiej łuski, połyskują neony. Za tymi designerskimi żartami stoi spójny pomysł estetyczny i komercyjny.

**Szkoła ukraińska w Warszawie,** xystudio

Powstała dla 300 dzieci z Ukrainy w biurowcu myhive (z inicjatywy Magdy Garncarek, w ramach akcji „Otwieramy szkoły"). Aranżacji wnętrz liczących sobie 1200 m kw. podjęli się pro bono architekci z xystudio, którzy swoimi projektami wyznaczają nowe standardy w architekturze skoncentrowanej na społecznej użyteczności. Tutaj chodziło o to, by w przyjaznej przestrzeni pomóc dzieciom odbudować ich poczucie bezpieczeństwa. Oprócz sal do nauki, gabinetów psychologicznych znalazło się miejsce na świetlicę ze sprzętem do ćwiczeń i na zaciszne kąciki relaksacyjne. Każda z klas ma inną kolorystykę oraz układ podyktowany potrzebami grupy wiekowej. Ściany zdobią: kojący wielobarwny mural autorstwa Marcina Czai i Ani Wardęgi-Czai oraz grafiki podarowane przez polskich ilustratorów. Projekt został zrealizowany dzięki darczyńcom, w ramach zrywu społecznego, tym większy budzi podziw jego rozmach i konsekwencja.

**Hotel Warszauer w Krakowie,** INDO Architekci, Marta Gajewska-Sąsiadek

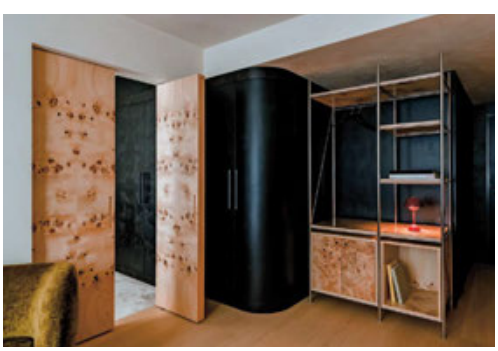

Kameralny, dziesięciopokojowy hotel zaprojektowano w plombie między dwoma historycznymi budynkami na krakowskim Kazimierzu. Autorką aranżacji wnętrz jest właścicielka obiektu. Jej zamierzeniem było wykreowanie ciekawej, ponadczasowej przestrzeni, w której można się poczuć jak w domu. Na to wrażenie składają się najwyższej jakości materiały wykończeniowe (czeczot, marmur), wyselekcjonowane wzornictwo z Włoch, Skandynawii i Polski, rzemiosło, sztuka i ręcznie robiona ceramika. Dbałość o detal widać w niestandardowym doborze pościeli i sztućców. Mało jest jeszcze w Polsce hoteli butikowych o tak wysublimowanym wystroju wnętrz, wyjątkowych kompozycjach form, struktur i wzorów.

© JAKUB CERTOWICZ, MATERIAŁY PRASOWE PLANETARIUM, PION STUDIO, MARTYNA RUDNICKA, ONI STUDIO



Pobrano ze strony zajefajna.com

# Obywatel Polak

Obecne władze grożą – ustami ministrów Moskwy i Czarnka – odbieraniem paszportów „tym, którzy szkalują Polskę”. Czy także obywatelstwa? Czym w ogóle było i jest obywatelstwo polskie?

JERZY KOCHANOWSKI

© MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

**Apoteoza Konstytucji 3 maja pokazująca zrównanie stanów, rysunek Ludwika Samosiewicza z 1911 r.**

W I Rzeczpospolitej pojęcie „obywatel” oznaczało domownika, krajana, „swojego”. Jako określenie osoby korzystającej z pełni praw i swobód politycznych zostało oficjalnie użyte po raz pierwszy podczas Sejmu Czteroletniego (1788–92), w tym w uchwalonej przezeń konstytucji. Długo też było zarezerwowane wyłącznie dla szlachty, która zmonopolizowała politykę, gospodarkę i kulturę w dużo większym stopniu niż na zachodzie Europy, skutecznie sprowadzając chłopów do roli przedmiotów, a mieszczan zmuszając do ograniczenia się najwyżej do „obywatelskości” miejskiej.

Szlachecki monopol stał się jednym z powodów głębokiego kryzysu państwa polskiego i wręcz jego upadku pod koniec XVIII w. Próby reform nie zdały się na wiele. Konstytucja 3 maja, przyznając szlachcie rolę decydującą, zauważała jednak wykluczonych, w tym chłopów określanych jako „najliczniejsza w narodzie ludność”. Dla dużej części szlacheckiej elity „uobywatelnienie” klas niższych naruszało fundament państwa i akceptowalny obraz świata. Już w 1792 r. konstytucja została obalona, a trzy lata później przestała istnieć Rzeczpospolita, podzielona między Rosję Romanowów, Prusy Hohenzollernów i Austrię Habsburgów.

Ostatecznie po inkorporacji do Austrii w 1846 r. tzw. Wolnego Miasta Krakowa wszyscy mieszkańcy ziem dawnej Rzeczpospolitej stali się poddanymi jednej z trzech zaborczych dynastii. Formalne poddaństwo, służba w zaborczych armiach, używanie marek, rubli czy koron nie oznaczały jeszcze, że wszyscy w podobnym stopniu czuli się obywatelami danego państwa, chociaż każde z nich dysponowało odpowiednimi instrumentami: sądownictwem, szkolnictwem, wojskiem etc. Odgórny stopniowy demontaż systemu stanowego, jak np. uwłaszczenie chłopów, uderzał przede wszystkim w szlachtę, co zwiększało udział w polityce czy gospodarce grup dotychczas wykluczonych i wpływało na ich pozytywny stosunek do zaborczego państwa i jego monarchy. Ale także wśród klas wyższych, szlachty i wywodzącej się głównie z tej grupy inteligencji, których domeną była działalność polityczna, w tym niepodległościowa, rzeczywiście aktywnych było, zależnie od zaboru i czasu, 10–25 proc.

Reszta pozostawała bierna, akceptująca, nastawiona na przetrwanie czy wręcz karierę. Pozytywistyczny pogląd, że również zaborcze państwo może być przestrzenią dla rozwoju narodu, przyjął się najbardziej w imperium habsburskim, gdzie „polska” Galicja otrzymała szeroką autonomię, a Polak premier

czy minister nikogo nie dziwił. Natomiast zarówno w Rosji, jak i Prusach (i od 1871 r. w cesarstwie niemieckim) niepoddający się asymilacji Polacy postrzegani jako wrogowie państwa stawali się obywatelami drugiej kategorii.

**Pierwsza wojna światowa przyniosła Polakom, Ukraińcom, Litwinom czy Białorusinom kurs świadomości narodowej** i obywatelskiej, z drugiej strony doprowadzając do nasilenia antysemityzmu. Oba zjawiska nie rokowały dobrze rodzącej się polskiej państwowości, w którą była niejako wpisana wieloetniczność. Kwestia praw obywatelskich i obywatelstwa państwowego stały się tym samym niezwykle istotnymi czynnikami stabilizującymi i integrującymi. Już w końcu 1918 r. uchwalono pakiet uprawnień społecznych (m.in. urlopy, ośmiogodzinny dzień pracy) oraz demokratyczną ordynację wyborczą, z jedynie cenzusem wieku, a nie pochodzenia, dochodów czy płci.

Spory toczono jednak nie tyle o wyborcze prawa kobiet, co o prawa mniejszości narodowych. Lewica nie uznawała żadnych ograniczeń, prawica rezerwowała prawa obywatelskie wyłącznie dla „etnicznych" Polaków. To drugie nie wchodziło jednak w grę – wykluczenie mniejszości byłoby jeszcze bardziej destabilizujące, zaś tzw. traktat mniejszościowy podpisany przez Polskę 28 czerwca 1919 r. wraz z traktatem wersalskim zobowiązywał ją do wprowadzenia zasady równości wobec prawa wszystkich obywateli niezależnie od narodowości.

Ustawa o obywatelstwie państwa polskiego z 20 stycznia 1920 r. wyznaczała pod tym względem politykę do końca istnienia II RP. Obywatelem polskim była osoba spełniająca kryteria ustawowe bez względu na płeć, wiek, wyznanie i narodowość. Ustawa regulowała nabywanie i utratę obywatelstwa, zaś uchwalona 21 marca 1921 r. konstytucja zawierała typowy katalog demokratycznych swobód, praw i obowiązków obywatela. O ile też państwo rygorystycznie pilnowało obowiązków – służby w wojsku, podatków czy „szanowania władzy prawowitej", o tyle gorzej wyglądało respektowanie praw i swobód. Z jednej strony olbrzymia część przedstawicieli mniejszości – Żydów, Ukraińców, Białorusinów, Niemców – czuła się obywatelami drugiej kategorii, którym ograniczano możliwość korzystania z praw kulturalnych, ekonomicznych czy politycznych. Zwłaszcza na Kresach Wschodnich w latach 30. nie należały do rzadkości przypadki zmuszania do konwersji religijnej, niszczenia prawosławnych cerkwi, w całym kraju – przyzwolenia na przemoc fizyczną i ekonomiczną wobec Żydów, na uczelniach zaś na *numerus clausus* i tzw. getto ławkowe. Nie wpływało to pozytywnie na integrację mniejszości z państwem polskim.

Ale poczucie opuszczenia i wykluczenia, prowadzące do rozczarowania państwem, nie było obce również Polakom, zwłaszcza klasom niższym. Kryzys ekonomiczny lat 30., w Polsce wyjątkowo długi i uciążliwy, pokazał bezradność państwa w gwarantowaniu pracy i opieki społecznej. Początkową euforię z odzyskanej niepodległości nierzadko zastępowała wrogość do wszystkiego, co państwowe. „Lud obojętnieje dla państwa – komentował Wincenty Witos – nie znajdując opieki, a czując pogwałcenie swych praw, usuwa się na bok". Obawiał się wzmożenia w takiej sytuacji wpływu sił skrajnych: komunizmu i faszyzmu.

**Nie wyobrażał sobie jednak, jak tragiczne mogą być rzeczywiście skutki obu ideologii**, także dla praw obywatelskich i samego obywatelstwa, które stało się narzędziem dyskryminacji, terroru i zagłady. Pakt Hitler-Stalin z 23 sierpnia 1939 r., określający strefy wpływów Niemiec i ZSRR w Europie Wschodniej, miał dla jej mieszkańców, w tym obywateli II RP, długofalowe konsekwencje, wykraczające poza kończący wojnę rok 1945. Jeszcze trwały ostatnie walki kampanii wrześniowej, kiedy 28 września 1939 r. obaj agresorzy – Niemcy i ZSRR – uznali, że w wyniku „debellacji" zanikła ciągłość prawna państwa polskiego, a tym samym i jego obywatelstwo. Obaj też to wykorzystali.

Na obszarach przyłączonych do Rzeszy tylko mieszkańcy „krwi niemieckiej lub pokrewnej" mogli otrzymać niemiecką przynależność państwową (*Staatsangehörigkeit*), choć już niekoniecznie zostać „obywatelami Rzeszy" (*Reichsbürger*). Reszta dawnych obywateli polskich miała na ziemiach włączonych do Rzeszy status jej „podopiecznych", pozbawionych praktycznie wszelkich praw, natomiast z szeroką gamą brutalnie egzekwowanych obowiązków.

Również w tzw. Generalnym Gubernatorstwie, które nie było ani częścią Niemiec, ani osobnym państwem (mimo własnego „rządu" czy waluty), formalnie nie istniało jego obywatelstwo. Podobnie jak na ziemiach włączonych do Rzeszy grupą uprzywilejowaną byli Niemcy, zaś nieniemieccy mieszkańcy zostali podzieleni według kryteriów rasowych oraz praktycznej przydatności, co zaznaczano kolorem dokumentów – przeznaczeni do eliminacji Żydzi i Romowie otrzymali kenkarty żółte, tolerowani (na razie) Polacy – szarozielone, a współpracujący Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Gruzini czy podhalańscy górale – niebieskie.

Radzieccy okupanci zadbali, aby powszechna zmiana obywatelstwa była wynikiem „demokratycznie" podjętej decyzji mieszkańców. Najpierw przeprowadzono „wybory" do lokalnych Zgromadzeń Ludowych, które skierowały do Moskwy petycję o wcielenie „Zachodniej Białorusi" i „Zachodniej Ukrainy" do ZSRR. Po akceptacji automatycznie nabywano obywatelstwo radzieckie. Pozwalało to Moskwie na zewnątrz legitymizować agresję, wewnątrz zaś ułatwiało zapanowanie nad ludnością, bez radzieckich dokumentów nie było bowiem możliwe codzienne funkcjonowanie.

Mieszkańcy Kresów do końca wojny zmieniali jeszcze dwukrotnie swój prawny status, najpierw pod okupacją niemiecką i ostatecznie po powrocie władzy radzieckiej w 1944 r. Wyboru nie pozostawiono Ukraińcom i Białorusinom, którzy pozostali obywatelami radzieckimi, Polacy i nieliczni ocaleni z Zagłady Żydzi mogli przesiedlić się do przesuniętej na zachód Polski. Większość wykorzystała tę okazję, jednak kilkaset tysięcy osób nie chciało lub nie mogło opuścić ZSRR, pozostając jego obywatelami.

**Polska, po koszmarze wojny i okupacji, w nowych granicach i z nowym ustrojem** musiała po raz kolejny zmierzyć się z problemem obywatelstwa. Zajęło to cztery razy więcej czasu niż po pierwszej wojnie, ustawę o obywatelstwie uchwalono bowiem dopiero w 1951 r., kiedy uznano, że odpowiednio „uporządkowano" wojenny spadek. Pierwszym etapem było zarówno wysiedlenie na zachód 3,5 mln Niemców, a na wschód ponad 500 tys. Ukraińców i Białorusinów, jak i ściągnięcie jak najwięcej krajan z Kresów Wschodnich i z głębi ZSRR (ponad 1,5 mln).

Nie wszyscy dawni obywatele Rzeszy musieli jednak opuścić nową Polskę, na jej obywatelstwo mogli bowiem liczyć posiadający polskie korzenie tzw. autochtoni, mieszkańcy przede wszystkim Warmii i Mazur, Pomorza, Śląska. Miało to dla polskich władz fundamentalne znaczenie legitymizacyjne i ekonomiczne. Ilustruje to wypowiedź Aleksandra Zawadzkiego, w latach 1945–48 wojewody śląskiego: „Nie chcemy ani jednego Niemca, nie oddamy ani jednej duszy polskiej. (…) Żadne paragrafy i żadne zarządzenia nie wyjaśnią ściśle, kogo należy uznać za Polaka, a kogo za Niemca – w takich przypadkach musi decydować sumienie polskie". Łącznie około miliona dawnych obywateli Rzeszy przyjęło nowe obywatelstwo. Szybko zaczęli żałować. ▶



Pobrano ze strony zajefajna.com

▶Jednym obywatelstwo przyznawano, innym odbierano. W pierwszym rzędzie dawnym folksdojczom, którzy musieli poddać się procedurze rehabilitacyjnej, na podstawie tworzonego *ad hoc* prawa. Co najmniej 250 tys. zweryfikowano negatywnie i wysiedlono do Niemiec. Drugą grupę stanowili rzeczywiści i wyimaginowani wrogowie nowej Polski, zwłaszcza przebywający na emigracji żołnierze i politycy. Ustawy o obywatelstwie z lat 1951 i 1962 utrzymały bowiem część rozwiązań przedwojennych, np. zakaz podwójnego obywatelstwa, znacznie poszerzono natomiast katalog powodów jego utraty (np. naruszenie obowiązku wierności państwu, działanie na jego szkodę, nielegalne opuszczenie kraju po 9 maja 1945 r., odmowa powrotu).

Ogólnikowe stwierdzenia stanowiły narzędzie manipulowania i zastraszania społeczeństwa. Można je było również odpowiednio dopasowywać do okoliczności. Np. wyjazdy Niemców w ramach łączenia rodzin (ok. 600 tys. 1956–84) czy Żydów wskutek antysemickiej kampanii 1967–68 (ok. 13 tys. do 1972 r.) były poprzedzone wnioskiem o pozbawienie obywatelstwa, a wyjazdy odbywały się na podstawie tzw. dokumentu podróży, ważnego w jedną stronę i zaopatrzonego w informację, że użytkownik NIE JEST obywatelem polskim. Wydawanie takich dokumentów zarzucono w 1984 r.

**Po 1989 r. całkowicie już suwerennej Polsce przyszło po raz trzeci w XX w. poradzić sobie ze spadkiem** po poprzedniej epoce, zarówno pod względem obywatelskości, jak i obywatelstwa. Odreagowując minione półwiecze, szukano wzorców przede wszystkim w sferze ideologii narodowej, odwołując się nie do przyszłości, lecz przeszłości, zwłaszcza tej do niedawna zakazanej, szlachecko-bohaterskiej. Konkurencyjny wobec tradycyjnego obrazu Polaka katolika model nowoczesnej, otwartej obywatelskości zaczęto propagować wraz z rozpoczęciem starań akcesyjnych do Unii Europejskiej. Trafiał do młodszych, zamożniejszych, lepiej wykształconych, z dużych miast, zaś przy modelu tradycyjnym pozostali obywatele starsi, gorzej wykształceni, przede wszystkim ze wsi i małych miast. Podział widać do dziś przy urnach wyborczych.

Ponad dwie dekady trwało porządkowanie kwestii obywatelstwa. Konstytucja z 1997 r. potwierdza demokratyczne prawa, wolności i obowiązki obywatelskie, ale w kwestii obywatelstwa jest ogólnikowa (nabycie przez urodzenie z obywateli polskich; inne przypadki „określa ustawa"). Istotną zmianą była utrata obywatelstwa tylko na drodze dobrowolnego zrzeczenia się. Ustawa o obywatelstwie z 1962 r. obowiązywała do 2012 r., a wprowadzane po drodze kosmetyczne zmiany nie nadążały za globalizacją, otwarciem granic, mobilnością. Np. fikcją stał się zakaz posiadania podwójnego obywatelstwa (w 2002 r. było w Polsce 445 tys. osób z drugim paszportem, najwięcej z niemieckim – 280 tys.). O swoje prawa musieli też walczyć ci, którzy stracili obywatelstwo, otrzymując w PRL „dokument podróży". Aż do 2008 r. nie mogli bowiem uzyskać przywrócenia obywatelstwa, lecz najwyżej wnioskować o jego nadanie, jak „normalni" cudzoziemcy.

Tych ostatnich zaczęło lawinowo przybywać po przystąpieniu Polski do UE w 2004 r., kiedy z dnia na dzień polski paszport nabrał wartości (obecnie można z nim wjechać bez wizy do 184 krajów). O ile w 2001 r. złożono 2100 wniosków o obywatelstwo polskie, to w 2006 r. – już 6700. Dekadę później brexit spowodował zainteresowanie polskimi paszportami nawet przez obywateli Wielkiej Brytanii. Miejmy nadzieję, że obywatele Rzeczpospolitej unikną takiego doświadczenia.

JERZY KOCHANOWSKI

Zmieniona wersja tekstu ukazała się w katalogu wystawy o obywatelstwie we Francji, Polsce i Niemczech, prezentowanej od lipca 2022 r. do marca 2023 r. w Berlinie.

# Różowy sen blondynki

**Świat zapamiętał ją jako platynową seksbombę. 19 kwietnia mija 90. rocznica urodzin Jayne Mansfield, której american dream zakończył się niespodziewanie w wieku 34 lat.**

PAULA APANOWICZ

Lata 50. w Stanach Zjednoczonych upłynęły pod znakiem rozwoju konsumpcjonizmu, popkultury i środków masowego przekazu (w tym telewizji przeżywającej złotą dekadę), które umacniały przekaz tradycyjnych wartości. Było to konsekwencją realnych zagrożeń. Nad Amerykanami zawisło widmo starć zbrojnych – zimna wojna oraz toczący się w latach 1950–53 konflikt w Korei były nie tylko powodem społecznych napięć oraz strachu przed wybuchem wojny nuklearnej, ale po raz kolejny zabrały matkom ukochanych synów stacjonujących na Półwyspie Koreańskim.

**W obliczu tych wydarzeń w społeczeństwie amerykańskim wciąż propagowano wzorzec patriarchalny**, a także etos „amerykańskiego snu" w znaczeniu dorobienia się. Idealna rodzina miała gwarantować stabilność. Młode Amerykanki wychowywano na dobre żony i matki, które poza sumiennym prowadzeniem domu były zachęcane do zmiany wizerunku na wzór uśmiechających się z plakatów pin-up girls.

Kanon kobiecego piękna uległ zmianie. Ponętne blondynki stały się symbolem piątej dekady ubiegłego stulecia, wypierając pożądane we wcześniejszych latach flapperki (chłopczyce) i posągowe damy jak aktorki Joan Crawford czy Olivia de Havilland. Ich popularność nie była przypadkowa. Idący na wojnę chłopcy z chęcią zabierali do kieszeni pocztówki z radosnymi i obdarzonymi naturalnym wdziękiem modelkami w typie „dziewczyny z sąsiedztwa".

Ikoną zmian była najsłynniejsza jasnowłosa gwiazda Ameryki Marilyn Monroe. Wiele kobiet chciało być jak ona, a to sprawiło, że na castingi do wytwórni filmowych przybywały niezliczone ilości ładnych dziewcząt. Miały wielkie marzenia i nikłe szanse na sukces. Pewnego dnia wśród nich znalazła się wyrwana z domu żona i matka, dawna wzorowa uczennica zaczytująca się w dziełach filozofów – naturalna brunetka, która farbując swoje włosy na platynowy blond i zmieniając skromny styl ubioru na wydekoltowane suknie, zawojowała fabrykę snów.

Jayne Mansfield marzyła o sławie i zostaniu wybitną gwiazdą Hollywood. Była błyskotliwa i chętna, aby wcielić się w poważne kreacje dramatyczne, w dodatku władała czterema językami, potrafiła śpiewać i grać na kilku instrumentach, m.in. skrzypcach. Jej IQ wynosiło 163 pkt, a więc znacznie powyżej przeciętnej. Mimo to w Hollywood widziano dla niej tylko jedną rolę – głupiutkiej blondynki. Kokieteryjne i nierozgarnięte bohaterki komedii romantycznych były w tamtym czasie prawdziwym towarem, który

Sophia Loren zapatrzona w biust Jayne Mansfield na przyjęciu w restauracji Romanoff's w Hollywood, 1957 r.

© ALBUM EXCLUSIVE/EAST NEWS

umożliwiał filmowcom zbicie fortuny. Jayne nie była w tym gronie odosobniona. Od Marilyn Monroe i Kim Novak do Mamie van Doren czy Betty Grable rola stereotypowej blondynki krzywdziła ambicje aktorek, jednocześnie przynosząc im sławę.

Na przełomie lat 50. i 60. XX w. Jayne Mansfield była jedną z największych gwiazd Hollywood. Popularność zdobyła nie tyle dzięki dorobkowi filmowemu, ile skłonności do ekstrawagancji i skandalom w życiu prywatnym. U szczytu sławy zamieszkała w różowym pałacu, uwikłała się w romans z założycielem Kościoła Szatana Antonem Szandorem LaVeyem i zaliczyła scysję praktycznie z każdą koleżanką po fachu. Była głodna sławy, a żeby ją osiągnąć, nie cofnęła się przed niczym. W desperacji urządzała maskarady z „przypadkowym" pękaniem kostiumów kąpielowych, a ze swoich pełnych kształtów uczyniła przepustkę do wielkiego świata.

Oczywiście nie była to jedyna możliwa droga do zapisania się na kartach X muzy, jednak okazała się tą najszybszą. Mansfield w dzieciństwie była zapatrzona w dziecięcą gwiazdę filmową Shirley Temple i podziwiała talenty aktorek dramatycznych m.in. Gene Tierney znanej z klasyka noir „Laura". Chciała kreować ambitne bohaterki i grać w filmach o dużej wartości społecznej. Mimo usilnych prób sukces nie nadchodził.

Została żoną i matką już w wieku 17 lat, była też naturalną skromną brunetką. To spowodowało, że producenci początkowo nie dostrzegali w niej potencjału ekranowej seksbomby. Aby zarobić na chleb i mleko dla dziecka, Jayne imała się najróżniejszych zajęć. Sprzedawała popcorn w teatrze, dawała lekcje tańca, pozowała do aktów. Próbowała swych sił nie tylko na castingach filmowych, ale również w teatrze, gdzie podobnie nie potrafiła się przebić. Dodatkowo jej wysiłki utrudniał zazdrosny mąż, który jak wielu ówczesnych Amerykanów sądził, że miejsce kobiety jest w domu.

**Jayne nie należała jednak do potulnych. Sprzeciwiała się ukochanemu** i nie pozwalała na pogrzebanie własnych marzeń dla roli kury domowej. Ratunkiem dla jej kariery okazała się zmiana wizerunku. Jednego dnia Mansfield z przysłowiowej szarej myszki stała się platynową seksbombą. Nie tylko ufarbowała włosy i zmieniła styl ubioru, ale też modelowała swój w rzeczywistości mocny głos, aby brzmiał piskliwie, dziewczęco i słodko. Wypracowała ponadto charakterystyczny chód – stąpała na samych palcach, kręciła dużymi biodrami i stawiała małe kroczki. Nowy image umożliwił jej zdobycie serc męskiej części publiczności, choć złośliwi zarzucali jej powtarzalność oraz kicz. Mawiano o niej jako „marnej imitacji Marilyn Monroe" czy też „MM klasy robotniczej".

Na wielkim ekranie zadebiutowała w 1954 r. w niskobudżetowym filmie „Kobieca dżungla". Szybko ją zaszufladkowano ▶



Pobrano ze strony zajefajna.com

▶ – naiwna i głupiutka, lecz słodka i kusząca blondynka. Taki obraz jasnowłosej bohaterki towarzyszył większości lekkich komedii tamtych lat. W podobnej klatce zamknięto inne gwiazdy, w tym Marilyn Monroe, tak jak Jayne odznaczającej się w życiu prywatnym dużą inteligencją i nieszablonowymi zainteresowaniami.

Mansfield zdawało się to jednak nie przeszkadzać. Jej poza aferzystki i role niemądrych blondynek były świadomym kreowaniem się na gwiazdę, pozwalały ziścić marzenia o karierze. A skoro hollywoodzcy producenci nie potrafili poznać się na jej talencie i zaoferować wymagającej roli w poważnym filmie, postanowiła zostać królową platynowych seksbomb. Z taką maską występowała przy okazji obrazów „Nielegalnie", „Blondynka i ja" czy „Włamywacz". W połowie lat 50. odniosła wyczekiwany sukces na Broadwayu w sztuce „Will Success Spoil Rock Hunter?".

**Wciąż raczyła opinię publiczną skandalami. W 1957 r. skradła show Sophii Loren** na przyjęciu w restauracji Romanoff's z okazji jej przyjazdu do Hollywood. Ubrana w białą, obcisłą suknię z głębokim dekoltem Mansfield wyginała się przed fotoreporterami, odwracając uwagę od włoskiej aktorki. W pewnym momencie podeszła również do stolika Loren, która na ułamek sekundy odwróciła wzrok w kierunku zwisającego nad talerzem biustu koleżanki po fachu. Tak powstało najsłynniejsze zdjęcie złotej ery Hollywood – zapatrzonej w dekolt Jayne Sophii zarzucono zazdrość wobec hojniej obdarzonej przez naturę konkurentki.

© GETTY

Plakat z pin-up girl.

W tym samym roku Jayne odniosła swój największy sukces artystyczny. Występując w filmie niezależnym „The Wayward Bus", dowiodła swego aktorskiego potencjału. Tym razem nie grała roztrzepanej kokietki. Stworzyła pogłębioną psychologicznie, choć drugoplanową, postać tancerki burleski pragnącej odmienić swój los. Za znakomity występ została nagrodzona Złotym Globem dla najbardziej obiecującej nowej aktorki.

W 1958 r. Mansfield ponownie znalazła się na językach, po tym jak wzięła rozwód, a niedługo później poślubiła kulturystę oraz Mr. Universe Mickeya Hargitaya. Drugi mąż podzielał jej zamiłowanie do medialnego rozgłosu. W różowej willi Jayne z łazienkami wyłożonymi różowym futerkiem i wannami w kształcie serca urządzali przyjęcia, na które z chęcią zapraszali dziennikarzy. Podczas nich Mickey prężył muskuły, podnosząc ukochaną niczym sztangę, a Jayne dalej udawała, że stroje kąpielowe mają zbyt słabe ramiączka, by podtrzymać jej obfity biust – dzięki temu ponownie gościła na okładkach magazynów.

Z drugiego małżeństwa na świat przyszła trójka dzieci: synowie Miklos i Zoltan oraz córka Mariska. Na łamach prasy Jayne i Mickey starali się tworzyć pozory szczęśliwej rodziny. Do czasu – w obliczu kryzysu w karierze gwiazdy na początku lat 60. para postanowiła zwrócić na siebie uwagę doniesieniami o zbliżającym się rozwodzie. Potrafili jednego dnia dać prawdziwy teatrzyk: Jayne wystawiała rzeczy męża na ulicę, aby już nazajutrz zwołać konferencję prasową, na której informowali o swoim cudownym porozumieniu.

Liczne ciąże oraz uzależnienie od alkoholu wpływały na coraz gorszą kondycję aktorki. Jayne wyglądała na znacznie starszą, niż była w rzeczywistości, jej twarz pokryły przedwczesne zmarszczki, a nadprogramowych kilogramów nie były w stanie zamaskować nawet najciaśniejsze pasy wyszczuplające. Od niedawna na naszych oczach trwa słuszna walka z ageizmem w przemyśle filmowym, jednak w tamtym czasie Hollywood było bezlitosne dla starzejących się artystek. Ikony lat 50. i 60. nie miały swoich odpowiedniczek Jamie Lee Curtis, Jennifer Coolidge czy Michelle Yeoh, dziś mówiących głośno o wykluczeniu, z jakim spotyka się wiele dojrzałych gwiazd.

Zmieniający się wygląd Mansfield spowodował, że artystka otrzymywała coraz mniej angaży. W desperacji zdecydowała się nawet wystąpić jako pierwsza mainstreamowa aktorka zupełnie nago w filmie „Obietnice! Obietnice!", jednak nawet ta produkcja nie była w stanie powstrzymać nieuchronnego kryzysu. Mansfield musiała ratować się występami w nocnych klubach, a także tzw. filmach klasy Z, czyli o bardzo niskich standardach.

W tym samym czasie jej drugie małżeństwo przechodziło kryzys. Z Hargitayem rozwiedli się w 1964 r., jednak nie był to koniec miłosnych przygód aktorki. Romansowała z włoskimi producentami, m.in. Enrico Bombą, a jej trzecim mężem został wkrótce reżyser Matt Cimber (właściwie Thomas Vitale Ottaviano), z którym doczekała się piątego potomka. Małżeństwo z Cimberem nie przetrwało próby czasu. Para rozwiodła się już w 1966 r., a następnym kochankiem Mansfield został jej żonaty agent Sam Brody.

Mężczyzna zamienił jej życie w piekło. Był agresywny nawet względem dzieci gwiazdy, a ją samą bił na tyle mocno, że niejednokrotnie odwoływała występy sceniczne, ponieważ żaden makijaż nie był w stanie ukryć sińców. W wyniku pijackich awantur z partnerem Jayne odebrano prawo do opieki nad pierwszą córką. Osobiste dramaty potęgował postępujący kryzys w karierze. Aktorka na ekranie pojawiała się sporadycznie, jak przy okazji źle przyjętego niskobudżetowego filmu „The Las Vegas Hillbillys".

Być może z powodu braku interesujących ofert i uodpornienia opinii publicznej na kolejne wybryki seksbomby Jayne jeszcze raz postanowiła zaszokować amerykańskie społeczeństwo. Gwiazda uwikłała się w romans z najwyższym kapłanem Kościoła Szatana Antonem Szandorem LaVeyem. Świat z przerażeniem spoglądał na dawną platynową seksbombę, a prywatnie matkę, fotografującą się z przebranym w pelerynę i diabelskie rogi LaVeyem w jego kościele. Kwestia satanizmu w życiu gwiazdy do dziś budzi wątpliwości – czy zainteresowana nietuzinkowymi systemami filozoficznymi Jayne faktycznie na pewnym etapie życia stała się członkinią organizacji LaVeya, czy może wykorzystywała zamieszanie wokół założonej w 1966 r. grupy wyznaniowej, aby raz jeszcze przypomnieć o sobie Amerykanom?

**Niezależnie od pobudek bliskie kontakty z LaVeyem oburzały nie tylko jej dawnych fanów**, ale też agresywnego kochanka. Sam Brody groził partnerce, aby wymusić na niej zerwanie relacji z Czarnym Papieżem, jednak ta pozostawała nieugięta. O sprzeciwie Brody'ego dowiedział się wkrótce sam LaVey, który publicznie zapowiedział, że mężczyzna zginie w ciągu roku, ponieważ rzucił na niego… klątwę. Zbiegiem okoliczności w nocy z 28 na 29 czerwca 1967 r. doszło do tragicznego wypadku. Samochód, którym podróżowali Sam Brody, Jayne Mansfield, jej kierowca i trójka dzieci, uderzył z dużą prędkością w tył ciągnika. Dzieci ocalały z wypadku, jednak troje dorosłych zginęło na miejscu. Jayne miała zaledwie 34 lata.

PAULA APANOWICZ

# Powrót króla

**Stanisław August Poniatowski i Europa wieku świateł**,
Jean Fabre, tłum. Jan Maria Kłoczowski, Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie 2022, tom I, s. 438, tom II, s. 656

Za ostatni akord I Rzeczpospolitej można uznać warszawski pogrzeb Stanisława Augusta Poniatowskiego w lutym 1995 r. Gdyby król zginął w obronie Konstytucji 3 maja, kochający tragiczne śmierci rodacy stawialiby mu pomniki. Zamiast tego toczyli nad jego trumną spory, które przycichły wraz z odzyskaniem przez Polskę suwerenności. Muzeum Łazienek Królewskich publikuje dokumenty związane ze Stanisławem Augustem i jego epoką: korespondencję, pamiętniki, pisma polityczne. Dwutomowa biografia króla napisana przez Jeana Fabre czekała ponad 70 lat na polski przekład. Być może zaważyło na tym jej chłodne przyjęcie w stalinowskiej Polsce (w środowiskach emigracyjnych spotkała się z entuzjastycznymi recenzjami). Fabre, francuski historyk literatury i postać wybitnie zasłużona dla francusko-polskich relacji, przyglądał się królowi z innej perspektywy niż nadwiślańskie spory. Z jego pracy dowiedzieć się można nie tylko, ile trwała podróż z Calais do Dover, ale też poznać swoistą „wieżę Babel", współpracowników otaczających króla. Portret Poniatowskiego, także psychologiczny i ukazujący jego wady, rysowany na tle oświeceniowej epoki ma walory nie tylko historyczne, ale i literackie. Uzupełnieniem biografii jest wydanie „Korespondencji Stanisława Augusta z Katarzyną II i jej najbliższymi współpracownikami (1764–1796)".

MAREK SOBCZAK

# O Krakowie

**Nie tylko Kroke. Historia Żydów krakowskich**,
Edyta Gawron, Michał Galas, Wydawnictwo Literackie, 2023, s. 540

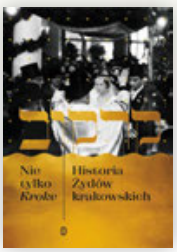

Historia Żydów krakowskich wzbogaciła się o współczesne syntetyczne spojrzenie. Ślady obecności Żydów w Krakowie znane są już z X w. Ośrodek ten w ciągu całego tysiąclecia był siedzibą słynnych rabinów, myślicieli, twórców różnych prądów ideowych promieniujących na Polskę i Europę. Ten ośrodek żydowski czerpał z polskości i oddziaływał na polskość. Miał wielkie znaczenie w dziejach Rzeczpospolitej i Europy, a potem... przeraźliwe vacuum po Zagładzie. W szczególności urzekła mnie próba przedstawienia trudnego procesu odradzania się siedliska żydowskiego po drugiej wojnie. Wprawdzie nie jest to nowe zjawisko europejskie – znamy takie przykłady z odległej przeszłości, chociażby z Austrii czy Francji. Ale to się dzieje na naszych oczach. A przykład Krakowa jest, można powiedzieć, modelowy: ta maleńka, odradzająca się społeczność już teraz jest wielonurtowa – od tradycyjnej, ortodoksyjnej po bardzo świecką, bardzo zintegrowaną z całym społeczeństwem, bardzo europejską. Ciekawe to zjawisko, zarówno z punktu widzenia socjologicznego, jak i poszukiwania tożsamości.
Nowe dzieło jest pracą zbiorową, autorstwa historyków związanych z judaistyką na Uniwersytecie Jagiellońskim. W pięknej oprawie graficznej – ważne treści.

MARIAN TURSKI

# Fokus na Damy

**Zmierzch świata rycerzy. O kobietach, którym zawdzięczamy nowożytność**,
Anna Brzezińska, Wydawnictwo Literackie, 2023, s. 722

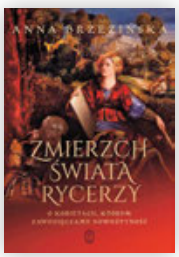

Anna Brzezińska opowiada o polityce Walezjuszy, Yorków, Borgiów, Sforzów i d'Estów na trzech dworach: burgundzkim, rzymskim i w Ferrarze. Liczba bohaterów pierwszego i drugiego planu może przyprawić o zawrót głowy, ale historia jest świetnie podana. Pokazuje wpływ dworów rycerskich na ówczesną wielką politykę oraz na rozwój późnośredniowiecznej i renesansowej gospodarki i sztuki. Zgodnie z zapowiedzią autorka skupia się na udziale kobiet w tym teatrze dziejów. Pokazuje, że nie zawsze odgrywały one rolę jedynie biernych „dam serca", a „dworna miłość" opiewana przez bardów była tylko pewnym wzorcem, a nie rzeczywistością. Narracja skupia się na Małgorzacie z Yorku, która grała pierwsze skrzypce w polityce końca XV w. w zachodniej Europie, a według zwolenników Tudorów „stała za wszystkimi pretendentami, którzy po bitwie pod Bosworth objawiali się światu jako cudownie odnalezieni synowie Edwarda IV i twierdzili, że usiłowała osadzić na angielskim tronie własne bękarty". Drugą kobietą jest Vannozza Cattanei, kochanka Rodriga Borgii, czyli papieża Aleksandra IV, która urodziła mu czworo dzieci, w tym Lukrecję Borgię, trzecią bohaterkę książki. Tej ostatniej poświęcono już tomy, ale u Brzezińskiej można śledzić, jak ta niezwykła kobieta radziła sobie z odgórnymi decyzjami ojca w kwestii jej kolejnych małżeństw i rozwodów (z Giovannim Sforzą, Alfonsem d'Aragon, a w końcu Alfonsem d'Este z Ferrary), jak realizowała własne potrzeby i ambicje. Wplecione w tekst fikcyjne, ale zaczerpnięte ze źródeł wypowiedzi poszczególnych bohaterów dodają życia, a erudycyjna narracja sprawia, że tę książkę czyta się jednym tchem.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

PROMOCJA

ZAPOWIEDZI Z WYDAWNICTW

Piotr Janczarek
**SMAKI LWOWA. KULINARNA BIOGRAFIA MIASTA**

Wydawnictwo LIRA
Warszawa 2023, s. 352

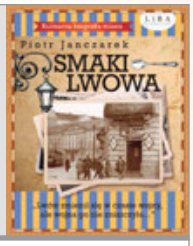

Co w dawnym Lwowie znaczyło: „iść do pana Edzia"? Dlaczego pijąc wiśniówkę, trzeba uważać na tramwaj? Jak upito czerwonego hrabiego? Co to jest żydowska penicylina? Książka opowiada o dawnym i współczesnym Lwowie, widzianym zza restauracyjnych i kawiarnianych stolików, a jednocześnie stanowi doskonały „spacerownik kulinarny". Piotr Janczarek kreśli pasjonującą biografię Lwowa – biografię pełną różnorodnych smaków i smaczków. Dodatkową zaletą książki jest staranna szata graficzna, oryginalne zdjęcia i barwne ilustracje.

**www.wydawnictwolira.pl**



Pobrano ze strony zajefajna.com

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

na ekranie

# Po drugiej stronie drzwi 4/6

**Suzume** (Suzume no Tojimari), reż. Makoto Shinkai, prod. Japonia, 122 min

W anime, zwłaszcza tych awanturniczych, skupionych wokół obdarzonych niezwykłą wrażliwością nastolatków, codzienność okazuje się na ogół zasłoną ukrywającą grę tajemniczych sił nadprzyrodzonych. W „Suzume", współczesnej baśni o ratowaniu świata przed klęskami żywiołowymi, też tak jest, a w miarę rozwoju akcji niesamowitości systematycznie przybywa. Z zacisznego zakątka w południowo-zachodniej części wyspy Kiusiu wydarzenia płynnie przeskakują do Tokushimy, Kobe, Miyagi i do położonego na drugim krańcu Japonii Tōhoku, miejsca narodzin 17-letniej bohaterki o tytułowym imieniu Suzume. Jadąc na rowerze do szkoły, wiedziona ciekawością i sympatią do przystojnego młodzieńca z długimi włosami, nastoletnia dziewczyna przypadkowo odkrywa wśród ruin magiczne wrota, których otwarcie uaktywnia niszczycielskie istoty w kształcie olbrzymich węży. Te mogą wywołać katastrofę w skali globalnej. Nieznajomy to strażnik pilnujący, by drzwi do zaświatów pozostały nienaruszone, lecz Suzume łamie niepisany zakaz, a przy okazji podnosi kamienną figurkę, nie wiedząc, jak straszne to wywoła konsekwencje. Wspomniany region stanowiący barwne tło tej epickiej fantazji został w 2011 r. dotknięty najpotężniejszym zarejestrowanym w Japonii trzęsieniem ziemi, w którym zginęła matka dziewczynki. Symbolem tragedii stała się awaria elektrowni jądrowej w Fukushimie i ponad 20 tys. ofiar. Trauma wywołana żałobą po bliskich miesza się w głowie Suzume z nieznanym dotąd uczuciem zakochania, a film utrzymany w konwencji przygodowego kina drogi pokazuje, jak sobie z silnymi emocjami, szczególnie z tak wielką stratą – w skali osobistej i całego narodu – poradzić. Połączenie widowiskowego spektaklu egzorcyzmującego lęki mieszkańców Dalekiego Wschodu (Japonię nawiedza najwięcej na świecie, 1500, trzęsień ziemi rocznie) z czymś w rodzaju psychoanalitycznego poradnika plus magia kojarząca się Europejczykom z „Alicją w Krainie Czarów" wydają się tu najciekawsze. Porównania z produkcjami Studia Ghibli nie są na wyrost. „Suzume" obejrzało ponad 10 mln Japończyków. Gdyby nie piękna kreska i wyrazista ścieżka dźwiękowa, ten sukces byłby pewnie mniejszy.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

# Przed siebie 5/6

**Roving Woman**, reż. Michał Chmielewski, prod. USA, Polska, 96 min

Nic dziwnego, że ten film powstał w Stanach Zjednoczonych, a produkcję wsparł Wim Wenders. „Roving Woman" to arcyamerykańskie, a zarazem przefiltrowane przez europejską wrażliwość kino drogi, które mogło się udać tylko tam: w krainie wielkich ambicji, emocjonalnych zakrętów i zdruzgotanych marzeń, samotników i wyrzutków tęskniących za miłością i bliskością. Główna bohaterka, Sara, po awanturze z narzeczonym ląduje na ulicy: bez pieniędzy, domu, nadziei. Kradnie spod sklepu przypadkowy samochód i rusza w drogę, byle dalej od poprzedniego życia. Każdy dzień to przypadkowe spotkania, przelotne rozmowy, prowincjonalne motele i obskurne bary. Dopiero z czasem zda sobie sprawę z tego, jaki jest prawdziwy cel jej podróży. W tle jest jeszcze – zasygnalizowana urywkami dialogu i utworami ze ścieżki

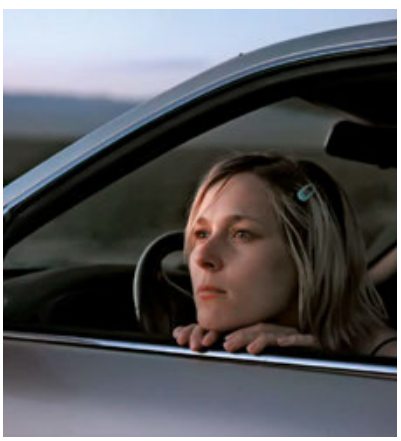

dźwiękowej – historia Connie Converse, folkowej artystki, która pewnego dnia wyszła z domu i przepadła bez wieści – to jedna z jej najlepiej znanych piosenek użyczyła tytułu filmowi. Grająca główną rolę **Lena Góra** – która jest wraz z reżyserem Michałem Chmielewskim współautorką scenariusza – dźwiga cały ciężar tej opowieści. Kamera trzyma się blisko niej, śledzi każdy etap przemiany jej ekranowej bohaterki. Sara jest wrażliwa i krucha, a zarazem silna i zdeterminowana, gdy uświadamia sobie, przed czym tak naprawdę ucieka i że wolność od codziennej rutyny może okazać się drogą do zatracenia.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© UIP (2), GALAPAGOS FILMS, ANDREW COOPER/NETFLIX, MP

na ekranie

## Wyszli z honorem 4/6

**Dungeons&Dragons: Złodziejski honor** (Dungeons&Dragons: Honor Among Thieves), reż. John Francis Daley, Jonathan Goldstein, prod. USA, Kanada, Wielka Brytania, Australia, Islandia, 134 min

Popularność fabularnej gry fantasy „Dungeons&Dragons" nie słabnie od pół wieku, ale szczęścia do ekranizacji nie miała (poza może niezłą animowaną serią z lat 80.). Choć otwarty świat, jaki proponuje, to gotowe pole do popisu dla filmowców, a nie ma lepszej szkółki dla przyszłych scenarzystów niż stanowisko snującego opowieść i rzucającego kośćmi Mistrza Gry w „D&D". „Złodziejski honor" przełamuje tę złą passę scenariuszem prostym, ale nie pozbawionym szaleństwa – o napadzie na skarbiec podczas wielkiego turnieju w baśniowym Neverwinter, a zarazem próbie odbicia stamtąd córki barda Edgina (Chris Pine). Temu ostatniemu pomagają młody czarodziej (Justice Smith), druidka (Sophia Lillis) i – tu pewne wyzwanie dla feminatywów, ale jak najbardziej słownikowe – barbarzynka (Michelle Rodriguez). Ich przeciwnika, a dawnego kumpla – łotrzyka, który zmienił się w pełną gębą łotra – gra niezawodny Hugh Grant. Choć najzabawniejszą postacią okazuje się śmiertelnie poważny paladyn Xenk (Regé-Jean Page). Te wszystkie odniesienia do klas postaci z systemu „Dungeons&Dragons" to nie przypadek. Film co chwila mruży oko do graczy, zarazem broniąc się pewną lekkością i dystansem. Owszem, próżno tu szukać jakiejkolwiek głębszej myśli, ale twórcy zrozumieli ukryty fenomen role-playing games, do których świata wchodzicie po emocje, a dostajecie – często mało wybredny, ale jednak – humor.

BARTEK CHACIŃSKI

w telewizji

## W pogoni 5/6

**Awantura** (Beef), twórca serii: Lee Sung Jin, Netflix, 10 odc.

„Awantura" to kolejny po „Nocnym agencie" niespodziewany hit Netflixa. Jednak serial Shawna Ryana, który właśnie trafił do pierwszej dziesiątki najchętniej oglądanych produkcji platformy w historii, jest dobrze skrojonym i uszytym przeciętniakiem, zaś dzieło Lee Sung Jina to rzecz z wyższej półki. Urodzony w Seulu Jin ma na koncie „Undone", „Tukę i Bertie" czy „Dave'a", serie oryginalne, łączące absurdalne poczucie humoru z głębokimi portretami psychologicznymi i tłem społecznym. Świetnie zrealizowana, osadzona w Los Angeles „Awantura" jest podobna. Zaczyna się zwyczajnie: na parkingu przed centrum handlowym jeden samochód zajeżdża drogę drugiemu, w użyciu jest klakson i środkowy palec. A zaraz potem widzimy pościg i każdy z półgodzinnych odcinków podnosi stawkę tej gry we wzajemną zemstę, aż do finału, który mógłby być kolejną sceną oscarowego „Wszystko wszędzie naraz". Główne role w „Awanturze", ledwo wiążącego koniec z końcem budowlańca Danny'ego i Amy, właścicielki sklepu z roślinami tuż przed finalizacją sprzedaży biznesu, grają gwiazdy, nominowany do Oscara za „Minari" Steven Yeun i komiczka **Ali Wong**. Ich bohaterów dzieli status materialny, ale łączy presja oczekiwań ze strony rodziny oraz z coraz większym trudem hamowana frustracja i złość. A twórcy sprawnie balansują na granicy realizmu i surrealizmu (może poza wątkiem kuzyna gangstera), dbając, by komediowy ton nie zdominował momentów dramatyzmu.

ANETA KYZIOŁ

na płycie

## Redukcja strat 3/6

Metallica, **72 Seasons**, Blackened

Nowy album Metalliki jak zwykle wystawia tę grupę na oceny różnych pokoleń fanów. To nieuchronne jak zmienność pór roku, wokół których osnute jest „72 Seasons", opowieść o formacyjnych 18 latach życia – stąd tytułowe 72 pory. Zespół jest dobry z matematyki. Nie tylko kupił sobie tłocznię winyli, żeby nie zaburzać stałych dostaw reedycji klasyków, ale też wykalkulowuje nowe albumy. Ten, podobnie jak poprzedni produkowany z pomocą Grega Fidelmana, oznacza kontrolowany powrót do źródeł. Najdalszy moment, do jakiego zespół potrafi sięgnąć, to jednak „... And Justice for All" i „Czarny album", pozostajemy więc pomiędzy prostotą riffów i gładką produkcją tego drugiego („Sleepwalk My Life Again" to prawie autocytat) oraz dłuższymi formami tego pierwszego – z jedenastominutową „Inamoratą", będącą hołdem dla klasyków metalu, z Black Sabbath (główny riff) i Iron Maiden (solowa partia gitary) na czele. „Lux æterna" odnosi się do wcześniejszych i najdzikszych lat Metalliki, ale w nowy, kontrolowany sposób, wyliczony raczej na ograniczanie strat starych fanów niż pozyskanie nowych. Świetnie brzmią na płycie partie wokalne Jamesa Hetfielda, teksty pachną grafomanią, ale na szczęście są minimalistyczne. Najgorsze ten zespół ma już chyba za sobą.

BCH



Pobrano ze strony zajefajna.com

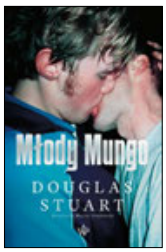

# Piękno w rozpadzie 5/6

Douglas Stuart, **Młody Mungo**, przeł. Maciej Studencki, Wydawnictwo Poznańskie 2023, s. 446

Bohater tej powieści mógłby być bratem Shuggiego Baina z nagrodzonego Bookerem debiutu Douglasa Stuarta. Mungo Hamilton, nieśmiały, wrażliwy piętnastolatek z dysfunkcyjnej rodziny – matka wiecznie nieobecna, dręczący go starszy brat jest bandziorem z lokalnego gangu, jedynie siostra stara się zapanować nad wszystkim – dorasta we wczesnych latach 90. w robotniczej dzielnicy Glasgow, które wciąż nie podniosło się po dekadzie thatcherowskich rządów. Szansę na odmianę losu Mungo widzi w Jamesie, chłopaku z katolickiej rodziny. Uczucie, które ich połączyło, nie ma jednak szans w homofobicznej rzeczywistości, gdzie wątpliwe standardy moralne wyznaczają przemocowi mężczyźni, zaś dni upływają w rytmie pijackich awantur i brutalnych starć między religijnymi bojówkarzami. Stuart znów zabiera czytelników do mrocznego, odpychającego miasta swojej młodości, opisanego w najdrobniejszych detalach, pełnym energii językiem. A jednak w brudzie i rozpadzie odnajduje nieoczekiwane piękno i czułość, dając swojemu bohaterowi przynajmniej cień nadziei na prawdziwą miłość, jakiej sam w jego wieku nie zaznał. Szkocki pisarz nie ukrywa bowiem, że „Młody Mungo" to powieść jeszcze bardziej osobista niż „Shuggie Bain", zbudowana z odprysków wspomnień, doświadczeń i niespełnionych marzeń. Dzika, smutna, fascynująca.

JAKUB DEMIAŃCZUK

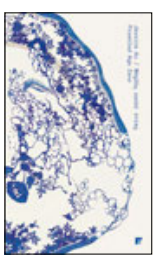

# Wielkie oczekiwania 4/6

Jessica Au, **Mógłby spaść śnieg**, przeł. Aga Zano, Artrage, Warszawa 2023, s. 100

Bohaterka tej książki, a raczej dłuższego opowiadania, jedzie z matką do Japonii. Ma wielkie oczekiwania, chciałaby odbyć istotne rozmowy, tymczasem nie wiadomo, czy matka jest zadowolona z tej podróży: jedzą, zwiedzają, kupują pamiątki. Spektakularnych wydarzeń tutaj brak. Jest za to coś innego. Podróż otwiera przeszłość, również tę nieznaną – matka urodziła się w małej wiosce w Chinach, córka niewiele o tym wiedziała, opowieści rodzinne były dla niej, wychowanej w Australii, jak baśnie. Nagle w Japonii zaczęła myśleć o utraconych międzypokoleniowych więziach, o tym, że jej pradziadek był poetą. „Nie miałam pojęcia, jakim cudem czuję się jak u siebie w miejscu, z którym nie mam nic wspólnego". Bohaterka, choć dorosła, przypomina uczennicę, która chce dobrze wypaść, spełnić oczekiwania, odczytać właściwie znaczenia i jest w tych usiłowaniach dość męcząca. Ale o to właśnie chodzi – o kody kulturowe, które są jej obce. Nie ma umiejętności czytania sztuki ani łatwości wypowiadania sądów. Dlatego tak się stara. Siła tej kameralnej opowieści tkwi właśnie w tym, że może uświadomić nam rzeczy, nad którymi się nie zastanawiamy, bo znamy kody kulturowe. Tu mamy perspektywę kogoś wykorzenionego. Opisywana podróż pokazuje bohaterce brakujące ogniwa przeszłości, ale też pozwala jej spojrzeć na siebie i matkę poza wielkimi oczekiwaniami. Pomoc w założeniu buta okazuje się ważniejsza niż rozmowa.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

# My, dzieci z dworca 4/6

Anouk Herman, **Nigdy nie będziesz szło samo**, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2023, s. 320

Debiutancka powieść Anouk Herman jest podróżą w poszukiwaniu własnej tożsamości. Nastoletnie bohaterki i bohaterowie nie potrafią się odnaleźć nie tylko w świecie, ale i we własnych ciałach. Anarchiści pomieszkują w skłotach, młoda matka repetuje w szkole, Bogna odkrywa, że jest niebinarna, a Katuchna podaje jej pomocną dłoń, choć autyzm komplikuje jej relacje z ludźmi i samą sobą. To całe spektrum, by tak rzec, postaci, które w polskich powieściach zwykle nie dochodzą do głosu. Herman jednym zamachnięciem tę zaległość nadrabia, nie romantyzując queerowości, ale i nie traktując jej jak sensacji. Dla jej bohaterów i rówieśników to naturalne dylematy: jakie sobie wybrać imię, skoro nadane nie pasuje, kim się właściwie jest, gdy własne ciało wadzi jak niezerwana metka. Równie naturalne są neutratywy, czyli słowa neutralne, niewskazujące na płeć, które Herman, jako osoba autorska, stosuje też w odniesieniu do siebie. Jej bohaterowie to nie są „grzeczne dzieciaki", eksperymentują, popalają, imprezują, umykają policji i zasadom. Ustalają własne reguły. Ale przede wszystkim czują się wyrzutkami i to ich do siebie przyciąga. Nie muszą być sami. Dorośli są za to u Herman nieporadni albo nieobecni. Powieść nie ma wagi kultowej książki „My, dzieci z dworca Zoo", którą z przymrużeniem oka w jednej ze scen Herman wspomina. Mniej w powieści Herman mroku mimo całej ponurości katowickich blokowisk i okolic. Ma jednak tę zaletę, że o sprawach, które polska opinia publiczna dopiero z oporami oswaja, opowiada językiem jasnym dla młodych i pełnym zrozumienia dla ich spraw. I może dlatego warto ją podsunąć też dorosłym.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© SIMONE PADOVANI/GETTY IMAGES, MP (6)

## Akademia grozy 5/6

**Resident Evil 4**, Capcom, Cenega, PlayStation 5, PS 4, Windows, Xbox Series X

Seria „Resident Evil" jest najwyższą akademią interaktywnej grozy, a jej czwarta część – właśnie odtworzona po 18 latach, z milszą dla oka prezencją – skrzy się od mistrzowskich rozwiązań. Znany z drugiej odsłony cyklu policjant Raccoon City Leon S. Kennedy, tu już agent specjalny, wyrusza do Hiszpanii tropem zaginionej córki prezydenta USA. Trafia na głęboką prowincję, w ostępy tak osobliwe, że Hasowska interpretacja „Rękopisu znalezionego w Saragossie" wydaje się przy tej malignie ortodoksyjnym reportażem. Już na progu owej podróży trzeba sprostać wyzwaniu, które przeszło do legendy. Leon, zbrojny jeno w nóż i pistolet z garścią naboi, wkracza do wioski pełnej oszalałych kultystów z siekierami i widłami w dłoniach. Jak przeżyć, skoro nie ma dokąd uciec? Autorzy „RE 4" przeczołgują tutaj swe ofiary przez najgłębsze lochy rozpaczy. Ten epizod jest niczym rytuał przejścia testujący dojrzałość. Musimy udowodnić, że jesteśmy gotowi stawić czoło wyzwaniu, jakim jest ta błyskotliwie wymyślona gra.

## Atrakcje na peryferiach 4/6

**Everspace 2**, Rockfish Games, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X

Chyba nie ma dziś studia bardziej skłonnego do hazardu niż Rockfish Games. „Everspace" (2017 r.) oferowała karierę pilota kosmicznego myśliwca w ryzykownym gatunku roguelite – z założenia krótką, bo po tragicznej śmierci nieszczęśnika miejsce w kokpicie zajmował jego klon, a misję trzeba było zaczynać od nowa. Gdy mimo wymagającej konwencji rozgrywki produkcja osiągnęła sukces, projektanci uznali, że w kontynuacji zaryzykują raz jeszcze, tym razem zmieniając konie w trakcie skoku w nadprzestrzeń. „Everspace 2" to już tradycyjna gra fabularna, przypominająca konstrukcją takie klasyki jak „Freelancer" czy „Freespace 2". Znany z pierwszej części pilot ma przed sobą łotrzykowską awanturę napisaną z iście kosmicznym rozmachem, a na peryferiach tej przygody czekają nań liczne atrakcje: a to wołanie o pomoc gdzieś daleko od gwiezdnych szlaków (a jeśli to pułapka?), a to cmentarzysko wraków, a to asteroidy bogate w górnicze surowce. Udana, wymagająca gra, choć z ograniczonym budżetem, co czasami rzuca się w oczy.

## Letni ten bunt 3/6

**Road 96: Mile 0**, DigixArt Studio, Ravenscourt, Windows, PlayStation 5, PS4, Xbox Series X, Xone

W grze „Road 96" (2021 r.) poznaliśmy nastolatkę Zoe w trakcie ucieczki z totalitarnego kraju. „Road 96: Mile 0" wyjaśnia, dlaczego porzuciła wygodne życie córki prominentnego polityka. DigixArt Studio przygotowało także interaktywny e-book „Road 96: About a Girl" domykający trylogię, co pokazuje, jak bardzo gry narracyjne zbliżają się do literatury. W „Road 96: Mile 0" Zoe i jej kumpel Kaito dojrzewają do ważnych decyzji. Gra jest wycelowana w młodzież, motyw niezgody na życie w opresyjnym kraju to jawna metafora buntu przeciw światu dorosłych. Wątek fabularny przeplatają zręcznościowe przerywniki z jazdą na wrotkach i deskorolce w pełnych symboli światach umysłów protagonistów. Tak jakby jakiś uczeń Bettelheima chciał pokazać horror dojrzewania w możliwie jak najbardziej pluszowy sposób, malując panoramę pastelami. Autorzy przekonują, jacy to Zoe i Kaito są „cool": mają kryjówkę na placu budowy, malują sprayem po ścianach. Bunt jest tu jednak letni, bez znaczących refleksji. Naiwne to bardzo (z perspektywy tetryka), ale podobno liceum docenia.

OLAF SZEWCZYK



REKLAMA

DOWIEDZ SIĘ CO KRYJE SIĘ W UMYSŁACH MORDERCÓW...

BESTSELLER TRUE CRIME

Feeria
WYDAWNICTWO
science

Joaquin Phoenix jako Joker i jako Beau w czarnej komedii „Bo się boi" oraz w roli Napoleona Bonaparte w najnowszym filmie Ridleya Scotta.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

# Jak Phoenix z popiołów

**Nieprzewidywalny buntownik i mizantrop uciekający od sławy – Joaquin Phoenix to dziś jedno z najgorętszych nazwisk świata filmu i zapewne jeden z bohaterów roku w tej sferze.**

Przypisywanie go do jednego typu ról jest bezcelowe. Wybiera na ogół kino niezależne i raczej propozycje cięższego kalibru: postaci szaleńców, morderców. Potrafi też zaskakiwać, prezentując męskość w wersji soft („C'mon C'mon"). Autorzy, z którymi stale współpracuje, tacy jak Paul Thomas Anderson czy Gus van Sant, cenią go za instynkt oraz właśnie aktorską wszechstronność.

We wchodzącym na ekrany surrealistycznym horrorze „Bo się boi", trzygodzinnym widowisku wyreżyserowanym przez Ariego Astera („Dziedzictwo. Hereditary", „Midsommar. W biały dzień"), gra wylęknionego neurotyka w średnim wieku zamartwiającego się dosłownie wszystkim. Film jest opisem zwariowanej podróży leczącego się u terapeuty, manipulowanego przez matkę bohatera. Jako ofiara własnej wyobraźni i maltretujących go ludzi – spadając ze schodów, rozbijając szklane drzwi, przedzierając się przez różne światy, porywany, śledzony, poddawany różnym eksperymentom – aktor znów ma okazję zaprezentować paletę niesamowitych umiejętności, tym razem także osobliwie komediowych.

Jesienią Phoenix objawi się w roli bezwzględnego dyktatora, cesarza Francuzów, w hollywoodzkiej superprodukcji „Napoleon" Ridleya Scotta. Powróci również jako przemocowy Joker w sequelu przygotowywanym przez Todda Phillipsa. Zobaczymy go także w owianym tajemnicą projekcie Pawła Pawlikowskiego „The Island". Na podstawie skąpych informacji przeciekających do prasy należy się spodziewać czegoś w rodzaju dystopii, kryminalnej satyry na bogaczy, odpowiedzi na „W trójkącie", tyle że retro (akcja toczy się w latach 30. XX w.). Phoenix wystąpi w niej ze swoją życiową partnerką Rooney Marą. I w ciemno można założyć, że będą to wielkie, oscarowe kreacje.

W 2020 r. „New York Times" uznał go za jednego z najwybitniejszych aktorów XXI w., ale już dwie dekady temu po intensywnej współpracy przy wysokobudżetowych thrillerach „Znaki" i „Osada" reżyser M. Night Shyamalan przewidywał, że gdyby tylko Phoenix bardzo tego chciał, mógłby stać się w Hollywood numerem jeden. Ale on nigdy o to nie zabiegał. Szybko zdobyta popularność przypieczętowana dwiema nominacjami do Oscara za role Kommodusa, rzymskiego cesarza ojcobójcy w „Gladiatorze", oraz Johnny'ego Casha, gwiazdy muzyki country w „Spacerze po linie", wtedy mu ciążyła. Ze swoją nadwrażliwością, niedoskonałą fizycznością Phoenix nie spełniał warunków bycia celebrytą, nigdy nie odnajdywał się jako idol masowej wyobraźni.

## Spacer po krawędzi

O ile w aktorach pokroju Toma Cruise'a czy Willa Smitha rzuca się w oczy ich chłopięcy urok i męski seksapil, to u Phoenixa uwagę przykuwa skaza, jego asymetryczność: wysokie, zmarszczone czoło, twarde spojrzenie, napięty niczym strzała nos, nie mówiąc o słynnej, charakterystycznej bliźnie na górnej wardze, którą ma od urodzenia. Wszystko to stwarza wokół niego aurę nieprzyjaznej tajemniczości. „Dziwne, nieusuwalne napięcie wyryte na jego twarzy sugeruje, że w jego głowie czai się mrok" – opisywał artystę Anthony Lane, czołowy krytyk „New Yorkera". W podobnym tonie wypowiadał się reżyser James Gray, z którym Phoenix nakręcił cztery pełnometrażowe filmy. Przedstawiał go jako człowieka balansującego na krawędzi, niejednoznacznego, dobrze się prezentującego, lecz wewnętrznie wycofanego, z wyraźną rysą diabolicznego tragizmu.

Jak wielu wybitnych indywidualistów Joaquin nie boi się ryzyka idącego często w parze z zaskakującymi metamorfozami. Grając kilera, stającego w obronie nastolatek porywanych i gwałconych przez handlarzy ludźmi w „Nigdy cię tu nie było", chwali się wyćwiczoną na siłowni muskulaturą weterana wojny w Zatoce Perskiej. Zarośnięty, wyraźnie postarzony w dramacie religijnym „Maria Magdalena" był – jeśli wierzyć ocenom niektórych anglosaskich recenzentów – najbardziej obrzydliwym Jezusem Chrystusem w historii kina. Do „Mistrza" wniósł bolesną złożoność, fizyczną kruchość, psychiczny ból i stoicką smugę wisielczego humoru jako rozchwiany emocjonalnie włóczęga i zwolniony z marynarki rekrut ulegający guru sekty scjentologów. Z bokobrodami zasłaniającymi pół twarzy w stylu Neila Diamonda, ukrywając się za przeciwsłonecznymi okularami w psychodelicznej „Wadzie ukrytej", dał popis cichego, olśniewającego występu parodiującego paranoję pokolenia dzieci kwiatów. Opuchniętego, unieruchomionego na wózku inwalidzkim, w peruce z trudem dawało się go też rozpoznać w „Bez obaw, daleko nie zajdzie" – mało u nas znanej, choć dobrze przyjętej za oceanem biografii słynnego grafika Johna Callahana.

Według „Guardiana" swoją niesamowitą wrażliwość najpełniej wyraził w melodramacie science fiction „Ona", gdzie wcielił się w samotnego, znerwicowanego mężczyznę tworzącego romantyczny związek z oprogramowaniem sztucznej inteligencji przemawiającej do niego głosem Scarlett Johansson. A szczyt formy osiągnął w „Jokerze", grając niedoszłego komika Arthura Flecka ze skłonnościami do autodestrukcji – swoistej wariacji na temat twórczości Martina Scorsesego. Oscar dla aktora, który schudł na potrzeby filmu 24 kg, zbudował rolę m.in. na upiornym, rytualnym tańcu rodzącego się demona i trudnym do zdefiniowania patologicznym śmiechu, raczej nikogo nie dziwił.

Z czasem ten kameleonizm, wymagające poświęcenia zmiany wyglądu, stały się jego przekleństwem, podobnie jak starszego o 31 lat Roberta De Niro, jego mentora, z którym często bywa porównywany.

## Nie wychodzi z roli

Phoenix jako artysta głosi ewangelię życia chwilą. Jego metoda pracy to wybuchowa mieszanka anarchii i dyscypliny. Wierzy w intensywność przygotowań, zaangażowanie oraz zbawczą moc improwizacji, której celem jest dotknięcie nieświadomości i wejście w trans. „Gotowy efekt na ekranie nie ma dla mnie już takiego znaczenia. Ważniejsze jest zatracanie się w roli, gubienie poczucia czasu. Praca na planie to jakby powrót do stanu dzieciństwa, gdy poznając coś pierwszy raz, doznaje się objawienia" – tłumaczy sens aktorstwa sprowadzający się, jego zdaniem, do odrzucenia wszelkich szablonów, całkowitego zanurzenia w postaci i podążania za wewnętrznym głosem, przez innych nazywanym intuicją albo natchnieniem. – „Najlepiej się czuję, nie myśląc, co w danym momencie mam powiedzieć. Chcę być otwarty na niespodzianki, na rzeczy nowe, niepowtarzalne, na odkrywanie czegoś, czego jeszcze nie wiem o sobie" – precyzował na łamach „Vanity Fair". Przywiązany do metody Stanisławskiego, na ogół trwa w roli przez cały okres zdjęciowy. Zawiesza wtedy swoje życie osobiste, nie komunikuje się z przyjaciółmi ani z rodziną. Bez względu na to, co go u kresu tego procesu czeka, wnika w daną postać najgłębiej jak się da. Z tego m.in. powodu ma opinię „kaskadera", jednego z najszczerszych, niestandardowych, a zarazem najbardziej nieobliczalnych twórców.

Zbyt silne utożsamienie z uzależnionym artystą alkoholikiem w „Spacerze po linie" (za tę rolę otrzymał Złoty Glob i nominację ▶

© MATERIAŁY PRASOWE (2), SPLASH NEWS/EAST NEWS

▶ do Oscara) zmusiło go do pójścia na odwyk. Phoenix podobnie jak muzyk, którego grał, zaczął prowadzić niebezpieczny tryb życia. „Byłem idiotą, imprezowałem, piłem, nadużywałem zaufania kobiet, chodziłem do głupich klubów" – zwierzał się wiele lat później „New York Timesowi". Otrzeźwienie przyszło równie gwałtownie. Wracając pijany z nocnej eskapady, spowodował groźny wypadek. Samochód dachował. Wciśnięty między poduszki powietrzne, półprzytomny, próbował zapalić papierosa, powstrzymał go, ratując mu życie, świadek zdarzenia. Zbiegiem okoliczności był to Werner Herzog. Pokrewna dusza, taki sam jak on poszukiwacz prawdy, radykalny marzyciel i kolorowy ptak.

Trzy lata później Phoenix postanowił się zabawić wizerunkiem aktora „bez zasad". Zaczął od szokującego występu 11 lutego 2009 r. w popularnym talk-show Davida Lettermana, w trakcie którego nie był w stanie wypowiedzieć logicznie kilku zdań. Odmieniony, w czarnym garniturze, przyciemnianych okularach, z zapuszczoną brodą i wąsami sprawiał wrażenie, jak gdyby nie rozumiał, że to program na żywo. Zamiast odpowiadać na pytania, coś bełkotał, żuł gumę, którą nagle wyjął z ust i przykleił do biurka prezentera. „Joaquin, przykro mi, że nie mogłeś tu być z nami dziś wieczorem" – skwitował kwaśno Letterman. Komentarze w mediach były bezlitosne. Kompromitację aktora uznano za początek końca świetnie zapowiadającej się kariery. Co zresztą sam zainteresowany zdążył potwierdzić, ogłaszając, że od teraz zajmie się muzyką i powróci jako raper.

## Jestem, jaki jestem

Przez kolejne miesiące ci, co chcieli, obserwowali jego spektakularny upadek szczegółowo udokumentowany później w reportażu realizowanym przez szwagra aktora, Caseya Afflecka. Phoenix postarał się udowodnić, że jednak nie potrafi śpiewać, choć wcześniej był podziwiany za fantastyczne wykonania piosenek Casha. Zjawiał się na hiphopowych koncertach kompletnie nieprzygotowany, zamroczony środkami odurzającymi spadał ze sceny, kłócił się z widownią, wszczynał burdy, korzystał z usług prostytutek, wciągał koks z nagich piersi groupie, po występie, chwiejąc się na nogach, podtrzymywany przez asystenta, nie wstydził się publicznie oddawać mocz. Wizja była na tyle sugestywna, że nie sposób w taki upadek nie uwierzyć.

We wrześniu 2010 r. po weneckiej premierze blisko dwugodzinnego dokumentu pt. „Joaquin Phoenix. Jestem, jaki jestem" Affleck i Phoenix uroczyście ogłosili, że zapis degrengolady to tylko żart w stylu filmowego gonzo wzorowany na naginającym rzeczywistość dziennikarstwie Huntera S. Thompsona; intencjonalnie napisana i starannie wyreżyserowana prowokacja mająca uzmysławiać łatwość ulegania medialnym manipulacjom. A jednak mimo dziesiątków sprostowań, m.in. raz jeszcze u Lettermana, gdzie artysta przeprosił za swoje wcześniejsze zachowanie, wielu nie dało się przekonać i do tej pory sądzi, że przynajmniej niektóre materiały oddawały prawdziwe doświadczenie przeżywającego kryzys albo załamanie psychiczne Phoenixa.

Krążą na temat Phoenixa dwie teorie. Jedni uważają, że często gra ludzi zaburzonych, ponieważ sam jest zbyt niepewny siebie i zawsze się czegoś boi. Robi to, żeby zagłuszyć lęk, uciec od pustki, którą nosi w sobie. Potwierdzają to osoby takie jak Ridley Scott, który w jednym z wywiadów podzielił się spostrzeżeniem, że aktor lubi się wcielać w różnej maści ekscentryków przeżywających niepokoje egzystencjalne, gdyż sam myśli o sobie, że jest nudny. Ciekawsza, bo zahaczająca o teorię spiskową, wydaje się druga hipoteza. Powodem, dla którego jest tak dobry w graniu straumatyzowanych postaci, ma być to, że sam przeżył traumę.

W życiorysie Joaquina znajdziemy kilka momentów, o których on sam pewnie wolałby milczeć. Powszechnie znany to przedwczesna śmierć starszego o cztery lata brata, niegdyś doskonale zapowiadającego się hollywoodzkiego gwiazdora pamiętanego z roli narkomana i geja w dramacie „Moje własne Idaho". River Phoenix miał zaledwie 23 lata, gdy zmarł na atak serca po wypiciu podsuniętego mu przez kogoś speedballa (mikstury kokainy i heroiny). Konał na rękach Joaquina przed klubem Viper Room, którego właścicielem był wówczas Johnny Depp. 19-letni Joaquin nie był w stanie po tej tragedii dojść do siebie. Zaszył się na pustkowiu i przez ponad rok nie podejmował żadnych działań.

## Trudna rodzina, proste życie

Na jego dzieciństwie kładzie się też cień autorytarnej sekty Dzieci Boga. Przewodził jej pastor David Berg, później oskarżany o pedofilię, fizyczne i psychiczne znęcanie się oraz zmuszanie do seksu w zamian za różne przywileje. Hipisujący rodzice Phoenixa (matka, rosyjsko-węgierska Żydówka, ojciec katolik z przewagą brytyjskiego pochodzenia) wstąpili do wspólnoty w 1972 r., szybko awansowali, zostając misjonarzami kultu Dzieci Boga w Ameryce Łacińskiej. W Wenezueli i Trynidadzie nazywano ich arcybiskupami. Żyli w skrajnej nędzy, nie pobierając żadnego wynagrodzenia. River opisał ich dom w Wenezueli jako pełną szczurów chatę bez toalety. Gdy sześć lat później wrócili do Kalifornii, zmienili nazwisko z Bottom na Phoenix, co miało symbolizować ich odrodzenie. Ponieważ byli weganami, każde kolejne przychodzące na świat dziecko otrzymywało od nich imię związane z naturą (River, Rain, Liberty, Summer) – z wyjątkiem Joaquina, który nalegał, by do 15. roku życia nazywać go Leaf (liść).

Gnieździli się w jednopokojowym mieszkaniu. Do czasu gdy matka zatrudniła się jako sekretarka w NBC (ojciec cierpiał na uraz kręgosłupa), pieniądze zarabiało głównie rodzeństwo – żebrząc, a później dając uliczne koncerty w stylu The Jackson 5. Okazało się, że są nieźli. Matce udało się polecić całą piątkę agentce dziecięcych aktorów i wkręcili się do reklamy, a potem błyskawicznie najstarszy z nich, czyli właśnie River – niebieskooki blondyn obdarzony urodą cherubina – zaczął otrzymywać angaże do filmów. Joaquinowi, uchodzącemu za mniej zdolnego, nie wróżono tak zawrotnej kariery.

River utrzymywał, że był molestowany jako dziecko już w wieku czterech lat. Nie wiadomo, czy ktoś z jego otoczenia również. Joaquin do niczego takiego się nie przyznaje, w rozmowie z „New York Timesem" oficjalnie zaprzeczył: „River zaczął zmyślać sensacyjne historie, żeby zakpić z łatwowierności tabloidów. Moi rodzice nigdy by na coś takiego nie pozwolili. Nigdy nas nie zaniedbywali. Byli idealistami i wierzyli, że są we wspólnocie, która podziela ich przekonania i wartości. A gdy tylko się zorientowali, że coś jest nie w porządku, natychmiast z nią zerwali". Nie miał natomiast oporów, by oskarżyć amerykański przemysł filmowy o systemowe wykorzystywanie. Pytany o to przez dziennikarza „Guardiana" przyznał, że plaga się szerzy i trwa od dłuższego czasu. Seks to broń. „Wszędzie widziałem nadużycia władzy. Jest wiele rzeczy, których żałuję, albo nie byłem ich wtedy świadomy, albo nie miałem dość siły, by się im przeciwstawić".

To nie wyjaśnia na pewno wszystkiego, sporo jednak mówi o wycofaniu i pesymizmie aktora. On sam w wieku 49 lat swoje życie opisuje jako proste. W wolnych chwilach lubi medytować, prowadzi działalność charytatywną, walczy o prawa zwierząt, ogląda filmy dokumentalne, czyta scenariusze i bierze udział w zajęciach karate (Wikipedia podaje, że ma czarny pas). Co uważa za najważniejsze? Niedawno sformułował to tak: „Być kreatywnym i podążać za swoją pasją, a potem nie musieć jej sprzedawać, nie musieć przekładać tego doświadczenia na coś, co jest strawne dla szerokiej publiczności".

JANUSZ WRÓBLEWSKI

# Ile autorek w autorce?

VIOLETTA KRASNOWSKA

Sąd uznał właśnie, że znana pisarka Agata Tuszyńska nie jest jedyną autorką swojej książki. To pierwszy taki wyrok w Polsce, choć przypadków wykorzystywania cudzej pracy przez pisarzy jest więcej.

ILUSTRACJE **MARCIN BONDAROWICZ**

Może by i nie zauważyły tego wydania, ale ktoś ze znajomych powiedział im, żeby zajrzały na Facebooka Agaty Tuszyńskiej. To znana pisarka, reportażystka, autorka wielu książek, głównie biograficznych, m.in. „Singer. Pejzaże pamięci", nominowana do wielu literackich nagród „Narzeczona Schulza" czy „Oskarżona: Wiera Gran". Na stronie widniał post, że pisarka właśnie wydała we Francji książkę „Bagaż osobisty. Po Marcu". Było zdjęcie okładki, z nazwiskiem jednej autorki: Agata Tuszyńska. Wewnątrz też ich nazwisk jako współautorek nie było. Nie było też już ich biogramów, jak we wcześniejszym wydaniu polskim. Zniknął nawet napisany przez Tuszyńską akapit o ich wspaniałej wspólnej pracy. Na 369. stronie było tylko suche: „Autorka dziękuje Dorocie Barczak-Perfikowskiej, Grażynie Latos, Elżbiecie Strzałkowskiej, Wioletcie Wejman za pomoc, której udzieliły w przygotowaniu tej książki". – *Jako współautorki zostałyśmy po prostu wymazane* – mówi Elżbieta Strzałkowska. – *Napisałyśmy: „Pani Agato, wspólnie pracowałyśmy nad tą książką, gdzie jesteśmy my? Dlaczego wydaje pani naszą książkę bez naszej zgody i wiedzy?". I pani Tuszyńska po prostu nas zablokowała* – opowiada Strzałkowska.

Wiedziały, że tego nie można odpuścić, bo inaczej tak zostanie i będą tylko obserwować, jak ich książka wychodzi w innych krajach. Dlatego we trzy złożyły pozew o naruszenie przez pisarkę w wydaniu francuskim ich praw autorskich.

## Pieniądze czy nazwisko?

Poznały się w Polskiej Szkole Reportażu. Miały za sobą już publikacje: Elżbieta Strzałkowska w „Dużym Formacie"; Dorota Barczak-Perfikowska m.in. w „Wysokich Obcasach", a dodatkowo na koncie własną książkę „Wszystko mam w sobie. Rozmowy z kobietami o szczęściu i spełnieniu"; Grażyna Latos publikowała m.in. w „Dużym Formacie" i „Tygodniku Powszechnym", a w 2016 r. za reportaż „Sabha o nic nie prosi" z Betlejem była nominowana do nagrody „Newsweeka" im. Teresy Torańskiej.

I wspólnie poszły, prosto z Polskiej Szkoły Reportażu, dokąd przyszły zaproszenia, na bezpłatne warsztaty mistrzowskie z Agatą Tuszyńską, które organizował Dom Spotkań z Historią. Na tych warsztatach ▶

▶ zaczęła powstawać książka „Bagaż osobisty. Po Marcu" – o paczce przyjaciół, którzy wyjechali z Polski w 1968 r. Pomysł, wraz ze zdjęciami Elżbiety Turlejskiej, jakie robiła wyjeżdżającym na Dworcu Gdańskim, przyniósł pisarce Jerzy Neftalin, także jeden z jej późniejszych bohaterów. Agata Tuszyńska przydzieliła uczestnikom warsztatów zadania przeprowadzenia wywiadów z ludźmi ze zdjęć. Tak to się zaczęło. – *Materiał się rozrastał, pracy było coraz więcej, warsztaty się kończyły i pani Tuszyńska zapytała nas: Czy chcecie dalej pracować nad tym wspólnym materiałem, ponieważ jest możliwość wydania książki* – opowiada Grażyna Latos. Biorąca również udział w tych warsztatach Wioletta Wejman zapamiętała i przytoczyła potem w sądzie słowo „współtworzyć". „Na tym etapie już rozumiałyśmy, że jesteśmy współautorkami. Wydaje mi się, że pozwana też tak sądziła. Wnioskuję to chociażby z maili, w których pisała, że to nasz skarb, nasze wspólne dzieło" – zeznawała jako świadek, bo choć mówiła też w sądzie, że czuje się współautorką, nie przystąpiła do pozwu koleżanek.

– *Zadała też pytanie: Na czym wam zależy – na pieniądzach czy na nazwisku? Od razu powiedziałyśmy, że na nazwisku. Zależało nam na zaistnieniu jako reporterki* – mówi Dorota Barczak-Perfikowska.

I już w tym wąskim, w sumie pięcioosobowym gronie przejęły nagrane czy już spisane przez pozostałych uczestników warsztatów wywiady, same też je robiły, nie tylko przepisywały, ale redagowały, sprawdzały fakty. Strzałkowska sama odnalazła pracownika dworca z 1968 r., który stał się jednym z bohaterów książki. Późną jesienią, kiedy cały materiał został zebrany, Agata Tuszyńska powiedziała im, że teraz będzie robić z tego książkę. – *Wtedy poprosiłyśmy ją o możliwość dalszej wspólnej pracy, skoro dotąd układało się dobrze. I ona się zgodziła* – mówi Barczak-Perfikowska. Czas gonił, książka miała się ukazać na rocznicę Marca w 2018 r. Dostały umowę wydawniczą, w której występują jako współautorki z udziałami: Agata Tuszyńska – 60 proc., one cztery – każda po 10, w sumie 40 proc.

## Gdzie jesteśmy my?

– *Prace przyspieszyły, razem zajęłyśmy się „montażem" całego materiału, ustalałyśmy, gdzie ma być czyja wypowiedź, bo książka miała się składać z samych wypowiedzi. Atmosfera pracy była bardzo dobra, czułyśmy się teamem, czułyśmy, że robimy to razem, pani Agata bardzo nas zachęcała i motywowała do tej pracy i chwaliła, czułyśmy, że robimy coś ważnego* – mówi Dorota Barczak-Perfikowska, która została nieformalną koordynatorką projektu.

Intensywne prace zaczęły się jesienią. Elżbieta Strzałkowska: – *To była praca naprawdę katorżnicza, bo było bardzo mało czasu. Dużo bohaterów, każda z nas miała pomysły na prowadzenie narracji, tytułów i te pomysły zostały uwzględnione.*

Tamtych świąt Bożego Narodzenia w zasadzie nie pamiętają. – *Odwiedziłam tylko ojca, który wtedy był w szpitalu, i pędem do domu, całe święta przesiedziałam, przeprowadzając autoryzację* – mówi Grażyna Latos.

Pisarka doceniała ich wkład, na potrzeby procesu zebrały 4 tys. maili – pokazujących pracę nad tekstem i zagrzewających do dalszych starań. Gdy dopytywały, czy naprawdę są współautorkami, odpisała: „Jesteście! Jak najbardziej. A czy to nie wynika z waszych nazwisk na okładce?! AT". Gdy już wysłały jej całość, odpisała: „Dziewczyny. Jesteście NIE-SA-MO-WI-TE!!! Mam nadzieję, że było WARTO! Odezwę się dziś wieczorem lub jutro po lekturze całości". – *Pisała, że to jest „nasza wspólna praca", że to „nasza książka", nazywała współautorkami. I to było dla nas oczywiste* – przyznaje Latos. Przestało być, gdy już na ostatniej prostej Tuszyńska dosłała im napisany przez siebie pierwszy rozdział „Blizna". – *Było o jej widzeniu Marca, o jej bohaterach, jej przeżywaniu całej historii. Byłyśmy zaskoczone, bo przez cały czas pracy było: my, my, my, nasza książka, nagle jest ja, ja, ja, moja historia* – mówi Strzałkowska. – *Nie spodziewałyśmy się, że piszemy książkę osobistą* – dodaje Latos. Okazało się, że własny, autorski, napisany tylko przez Agatę Tuszyńską był pierwszy rozdział „Blizna" i ostatni – „Epilog". Spinały wszystkie wypowiedzi bohaterów i robiły z całości książkę bardzo osobistą. Wtedy wysłały maila z pytaniem: „Gdzie jesteśmy my?".

Pytanie zostało bez odpowiedzi. Niedługo później dostały do wglądu projekt okładki, a na nim jedno nazwisko – Agaty Tuszyńskiej.

## Bagaż bardziej osobisty

– *Dla nas to był szok* – mówi Latos. Tym bardziej że wcześniej miały spotkanie z grafikiem i przedstawicielami wydawnictwa i na pytanie, czy na okładce zmieszczą się nazwiska ich wszystkich, odpowiedział, że nie ma problemu. A teraz ich nie było. Latos tłumaczy: – *Tyle było o tym mowy i pani Agata zadała nam przecież wcześniej wprost pytanie, na czym nam zależy. I było wiadomo, że – przy wykonywaniu tej ciężkiej pracy – na tych nazwiskach na okładce.*

Próbowały interweniować i u pisarki, i w wydawnictwie. Zostały poproszone o powstrzymanie emocji, bo następnego dnia była planowana wystawa zdjęć z Marca, kanwa jeszcze jednak niewydanej książki, mieli być jej bohaterowie, to był ważny dzień dla nich. Porozmawiamy o tym później – usłyszały.

*– Na wernisaż wystawy przyszłyśmy jak zbite psy, usiadłyśmy z tyłu, wśród publiczności. Nie umiałyśmy się odnaleźć, pani Agata była na scenie, błyszczała, mówiła o tym, jak to napisała tę książkę* – wspomina Elżbieta Strzałkowska. A co na to sama Tuszyńska? Grażyna Latos zastanawia się chwilę. – *Była oburzona tym, że my jesteśmy oburzone. I się od nas odcięła. Po tym stałym, niemal 24-godzinnym kontakcie mailowym nagle wszystko się skończyło.*

Książka wyszła w maju 2018 r. z nazwiskiem Tuszyńskiej na okładce, ich były w środku, mniejszą czcionką. O walce o większą czcionkę nie pomyślały. Wywalczyły swoje biogramy na ostatniej stronie, a we wstępie – spory akapit od Agaty Tuszyńskiej, w którym opisała wspólną pracę na warsztatach i podziękowała za „ciekawe wspólne doświadczenie".

Pisarka odezwała się do nich dwa miesiące po wernisażu, w maju 2018 r. Napisała maila, że wydawnictwo francuskie zgłosiło się z propozycją wydania książki i czy się na to zgadzają. Odpowiedziały: „tak" i czekały na konkrety. Zapadła na dwa lata cisza, uznały więc, że rozmowy spełzły na niczym. Aż do momentu, gdy zobaczyły na stronie pisarki komunikat, że wydała swoją książkę „Bagaż osobisty. Po Marcu" we Francji. Bez nich.

Radca prawny Tomasz Ejtminowicz, ich pełnomocnik, wystąpił o ujawnienie umowy, jaką Tuszyńska podpisała z francuskim wydawcą. – *Jak się okazało, umowę tę pisarka zawarła, jak gdyby była wyłączną właścicielką praw autorskich, i jako właścicielka zapewniła wydawcę, że w żaden sposób nie narusza praw autorskich oraz jest w pełni uprawniona do zawarcia umowy. Dalej jest, że wydawca zobowiązuje się do umieszczenia na okładce nazwiska autora i na odwrocie strony tytułowej następującej informacji o prawach autorskich: „Bagaż osobisty. Po Marcu. Copyright Agata Tuszyńska 2018"* – mówi Ejtminowicz. O współautorkach z wydania polskiego już nie ma słowa.

Na procesie Jerzy Neftalin zeznał, że wywiad z nim, jego bratem i kuzynką przeprowadziła i zredagowała do książki jeszcze inna uczestniczka warsztatów: „Pozwana otrzymała te wywiady, a potem zerwała z nią kontakt". Redaktor naczelna wydawnictwa Dom Spotkań z Historią mówiła, że „pierwotnie nazwiska powódek miały być na okładce, ale później pozwana [czyli Agata Tuszyńska – red.] zdecydowała, żeby były gdzieś indziej". Sama Tuszyńska zeznawała w sądzie, że całość to był jej pomysł: „To ja jestem autorką warsztatów oraz tej książki mimo ogromnej pracy pań powódek. Chciałam zauważyć, że beze mnie, bez moich uwag i sugestii, mojej pracy, praktyki ta książka by nie powstała. To ja byłam mózgiem tej operacji". Choć przyznała też, że „zgodne ze stanem faktycznym jest to, że w wielowątkowym kształcie książki wszystkie brałyśmy udział" i „każda z nas redagowała książkę". Tyle że pozostałe panie nie są według niej współautorkami, „ponieważ beze mnie one by nie umiały napisać tej książki".

W wyroku, który zapadł 22 marca br., sędzia Ireneusz Matusiak niejako jej na to odpowiedział, stwierdzając, że „bez tych pań ta książka by nie powstała". A po analizie dowodów uznał: „wszystkie panie przyczyniłyście się w sposób twórczy do powstania utworu. A zatem w ocenie sądu nie podlega żadnej wątpliwości, że mamy do czynienia z utworem współtwórczym. Współtwórcami są zarówno pani Tuszyńska jak i pozostałe panie". „To w niczym nie ujmuje pani splendoru" – dodał, zwracając się do Tuszyńskiej.

## Poniosła ich materia

Podpisanie umowy bez zgody pozostałych autorek było więc naruszeniem ich praw autorskich. A „podziękowanie" nie wyczerpywało obowiązku poinformowania o współautorkach. Sędzia nakazał opublikowanie przeprosin za naruszenie ich praw osobistych i majątkowych. Zasądził dla każdej z nich to, o co wnosiły: po 3 tys. zł zadośćuczynienia, bo – jak zaznaczają – nie chodziło im o pieniądze.

Wyrok jest nieprawomocny, a Agata Tuszyńska już zapowiedziała, że będzie się od niego odwoływać. W odpowiedzi na pytania POLITYKI napisała m.in., że „Bagaż osobisty. Po Marcu" to jej pomysł, inicjatywa, koncepcja i nadzór nad całością. Jej „charakter pisma" i jej ostatnie słowo. – *Ja miałam background, wiedzę i narzędzia, aby skonstruować to trudne dzieło.*

Wygrały i od razu pojawiły się zarzuty, że chciały się podczepić pod znaną pisarkę. Tuszyńskiej bronili jej fani: „O tamtych paniach nic nie wiem, nie kojarzę. A pani Agata Tuszyńska to instytucja". Albo: „Pokażcie książki, które napisałyście same".

– *Miałyśmy świadomość, że pani Agata jest znaną reporterką, pisarką, która ma duży dorobek literacki i jest uznana w Polsce i za granicą, natomiast my nie mamy takiego dorobku i będzie nam ciężko udowodnić swoją prawdę. Na tym polegała dla nas trudność tego procesu* – wyznaje Dorota Barczak-Perfikowska.

To pierwszy taki wyrok, choć przypadków wykorzystywania cudzej pracy przez pisarzy jest więcej. Nie są to również pierwsze zarzuty korzystania z cudzej pracy stawiane publicznie Agacie Tuszyńskiej. Rok temu Katarzyna Wężyk, pisarka i dziennikarka „Gazety Wyborczej", w dwumiesięczniku „Książki" zwracała uwagę na zbieżność fragmentów tekstu książki Tuszyńskiej „Żongler. Romain Gary", wydanej w 2022 r., z publikacją Adama Gopnika w „New Yorkerze" z 2017 r. Zestawiła fragmenty: Amerykanin napisał m.in. „Gary jest zanurzony w ludzkim zwierzęciu – ucztuje, pierdzi, pierdoli – i to sprawiało, że wydawał się zarówno czarujący, jak i drugorzędny. (W angielszczyźnie mamy to szczęście, że Szekspir jest jednym i drugim)". U Tuszyńskiej zaś jest tak: „Gary był zwierzoczłowiekiem, cielesnym, zmysłowym, w słowie i w życiu, w zabawie, żarciu, pierdzeniu i pierdoleniu. To go czyniło bardziej swojskim, ale to go też umniejszało. Może jedynie Szekspir zaspokajał w literackim panteonie wszystkie te potrzeby". Do dziś autorka nie odniosła się do sprawy tego podobieństwa.

Z kolei znanego pisarza i reportażystę Jacka Hugo-Badera próbowano złapać na przepisaniu w jego książce o wyprawie na Broad Peak fragmentu reportażu z „Tygodnika Powszechnego". Potwierdziła to podobieństwo ekspertyza kancelarii prawnej. Co prawda Hugo-Bader napisał, że jest mu przykro, że autorów reportażu „postawił w trudnej sytuacji, że czują się okradzeni, oszukani", ale od razu dodawał: „To nie plagiat, na litość Boską – chodzi o kilka zdań, sześć, dziewięć... Podobnych. Może to tylko nonszalancja, niechlujstwo? Albo nieświadoma inspiracja? Może poniosła mnie materia?".

Mecenas Tomasz Ejtminowicz prosi w każdym razie, by opisując werdykt w sprawie Tuszyńskiej, pamiętać o tym, że jest nieprawomocny. I dodać zwrot: „jeżeli wyrok się utrzyma". – *Dla mnie najważniejsze, że jest to precedens, jeśli chodzi o praktyki w środowiskach dziennikarskich, gdzie może dochodzić do sytuacji, gdy jeden autor senior posiłkuje się pracą młodszych i powinien im dać stosowny honor poprzez oznaczenie ich autorstwa w prawidłowy sposób.*

Pytanie, czy ten wyrok to zapewni?

VIOLETTA KRASNOWSKA

Nie tylko sukces „Avatara: Istoty wody” daje nadzieję, że publiczność chce wreszcie wrócić po pandemii do kin. Znów rośnie popularność DKF-ów oraz autorskich przeglądów ambitnego kina.

# DKF wszedł nam w krew

JAKUB DEMIAŃCZUK

W warszawskim kinie Muranów tłum widzów. Sala wyprzedana do ostatniego miejsca z dostawkami, po seansie prawie nikt nie wychodzi, kilkaset osób przysłuchuje się trwającej grubo ponad godzinę dyskusji, wielu widzów zabiera w niej głos. Nie rozmawiają o nowym filmie nagrodzonym Oscarem lub Złotą Palmą, ale wspólnie podziwiają Charliego Chaplina w „Światłach wielkiego miasta” i Bustera Keatona w „Sherlocku Juniorze”. Gdyby kino było otwarte po północy, debata trwałaby zapewne znacznie dłużej.

Ten pokaz klasyków niemego kina był inauguracją przeglądu „Dziesiątka SpoilerMastera”, którego kuratorem jest Michał Oleszczyk, wykładowca wydziału Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego, twórca podcastu „SpoilerMaster” i jeden z najbardziej cenionych krytyków w Polsce. W ramach swojej audycji ułożył subiektywną listę stu najlepszych filmów w dziejach kina, a czołową dziesiątkę – znalazły się w niej m.in. „Blue Velvet” Davida Lyncha, „Nietolerancja” D.W. Griffitha oraz „Atalanta” Jeana Vigo na pierwszym miejscu – pokazuje i komentuje w Muranowie i wrocławskich Nowych Horyzontach (pokazy będą trwały do czerwca). Cykl okazał się sukcesem: bilety trzeba kupować ze sporym wyprzedzeniem, a kto pojawi się w kinie w dniu seansu, niemal na pewno odejdzie spod kasy z niczym.

Podobnym zainteresowaniem cieszy się zorganizowany przez Stowarzyszenie Kin Studyjnych cykl „Krótka historia polskiego kina”. Jego kurator Tomasz Kolankiewicz, do niedawna dyrektor artystyczny festiwalu w Gdyni, również spotyka się z widzami w wybranych kinach. Przegląd pokazywany jest w aż 80 salach w całej Polsce, dzięki czemu nawet widzowie w mniejszych miastach mają szansę zobaczyć na wielkich ekranach m.in. „Pociąg” Kawalerowicza, „Sanatorium pod Klepsydrą” Hasa czy „Gorączkę” Agnieszki Holland w odrestaurowanych cyfrowo wersjach. Efekt? Sale często wypełnione po brzegi, ludzie słuchający prelekcji, biorący udział w dyskusji, dzielący się swoimi wrażeniami i wspomnieniami. A przecież mowa o filmach, które są na wyciągnięcie ręki: większość można zobaczyć legalnie w ogólnodostępnych serwisach streamingowych. Jednak wiele osób wybiera kino.

## Najlepsze i najgorsze

– *Pojawił się głód przeżycia kinowego związanego z klasyką kina* – tłumaczy to zjawisko Michał Oleszczyk. – *Ale nie chodzi po prostu o wyświetlenie filmu na dużym ekranie, tylko o całą oprawę towarzyszącą: kto pokazuje ten film, w jakim kontekście, czy towarzyszy temu jakaś opowieść, czy to część jakiegoś większego przeglądu. W tym zalewie „wszystkiego wszędzie naraz” widzowie zaczynają poszukiwać czegoś, co będzie tylko tu, tylko w tej formie i tylko w tym momencie. Szukamy czegoś, co będzie miało swój unikalny smak. I to nie jest jeszcze ruch masowy. To wciąż nisza, ale nisza, która coraz bardziej się rozrasta.*

Tomasz Kolankiewicz wskazuje zaś, że jego zdaniem publiczność czuje przesyt coraz szybciej rosnącą ofertą serwisów streamingowych. – *Odbiły się festiwale, mają świetne wyniki oglądalności i sprzedanych biletów, często lepsze niż przed pandemią, to widać podczas Docs Against Gravity, Nowych Horyzontów, a nawet festiwalu w Gdyni* – tłumaczy. – *A druga rzecz to właśnie kinowe pokazy klasyki. Oglądanie tego w kinie ma zupełnie inny wymiar niż oglądanie nawet w dobrej jakości w domu z projektorem. To jest zupełnie inne doznanie. I znaczenie ma to, że ktoś te pokazy wyselekcjonował – czy ja, czy Michał Oleszczyk, czy cała masa świetnych ludzi, którzy pracują w DKF-ach*

© SHUTTERSTOCK

*w całej Polsce – i opowiada przy okazji wiele rzeczy, których widzowie o filmach nie wiedzą.*

Autorskie przeglądy filmów należy dziś potraktować jako nowe wcielenie Dyskusyjnych Klubów Filmowych. Te przed laty były kulturalnymi wyspami w szarzyźnie peerelowskiego repertuaru filmowego: tam pokazywano światowe arcydzieła, z reguły niedostępne w oficjalnej, państwowej dystrybucji, o których można było rozmawiać bez nadzoru cenzury. Pierwszy DKF powstał jesienią 1955 r. przy tygodniku „Po Prostu". Po sześciu miesiącach działało ich już kilkadziesiąt, zrzeszonych w Polskiej Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych. W latach 80., w szczytowym okresie popularności, było ich ok. 500 – ta liczba znacząco się zmniejszyła w okresie transformacji i w latach późniejszych, które okazały się zabójcze dla wielu małych kin, tak w miastach, jak i na prowincji.

Dziś na stronie internetowej Federacji wymienionych jest ponad 120 aktywnych DKF-ów w całej Polsce. Część z nich działa w dużych miastach, często przy uczelniach wyższych, ale wiele funkcjonuje w małych ośrodkach, gdzie repertuar bieżący kin często ograniczony jest do komercyjnych produkcji, a pokazy klubowe są dla widzów jedyną szansą zobaczenia ambitnych filmów na dużym ekranie. Wiele DKF-ów – m.in. bardzo prężnie działający „Kinochłon" w Augustowie, „Eroica" w Skierniewicach czy „Od-jazd" przy stołecznym kinie U-jazdowski – zaprasza do prowadzenia dyskusji cenionych krytyków.

Bo nazwisko prowadzącego także ma znaczenie. – *To nie musi być jedna osoba, to może być instytucja, marka, kino, festiwal, podcast albo serwis internetowy* – zauważa Oleszczyk. Takich inicjatyw pojawia się coraz więcej: swoje autorskie programy mają m.in. krytyczka Kaja Klimek czy popularny serwis Pełna Sala, a doskonale znany z łamów POLITYKI Janusz Wróblewski prowadzi regularnie spotkania z reżyserami w stołecznym kinie Wisła. Są i tacy filmoznawcy, którzy wyspecjalizowali się w bardzo konkretnych dziedzinach, jak Jacek Rokosz, który od lat zaprasza na cieszące się niesłabnącym powodzeniem seanse w ramach cyklu „Najgorsze filmy świata".

## Szerszy horyzont

Alicja Górska i Kamil Jędrasiak, współredaktorzy wydanej przez Uniwersytet Łódzki książki „Śmierć krytyka", wzrost popularności klubów filmowych widzą jako element szerszego zjawiska: zwrotu w stronę bardziej osobistej, skupionej na przeżyciach i emocjach krytyki, której autorami nie muszą być osoby z wykształceniem filmoznawczym. „Mamy znacznie szerszy horyzont potencjalnych wyzwań krytycznych. Wykroczyliśmy poza formy pisane; są podcasty, kanały na YouTubie czy występy w mediach. Pojawia się także cała przestrzeń festiwali filmowych: ich programowania, prowadzenia spotkań czy też pełnienia funkcji organizatorskich, pojawiają się też ponownie DKF-y. Miejsc wypowiedzi krytycznej jest więcej niż tylko tych, z którymi krytykę utożsamiamy", mówili w wywiadzie dla serwisu Filmawka.

– *Ludzie chcą się spotykać, rozmawiać o tym, co zobaczyli* – mówi Tomasz Kolankiewicz. I zaznacza, że na seansach w DKF-ach pojawiają się widzowie z wszystkich grup wiekowych. – *Przychodzą i osoby nastoletnie, i takie, które pamiętają te filmy z czasów PRL, kiedy były w dystrybucji. I mogą porozmawiać o tym ze sobą. Wydaje mi się to bardzo cenne, dlatego że budowanie jakiejś platformy dialogu jest dziś szczególnie ważne. Jesteśmy wszyscy już tak zacietrzewieni, że po prostu dobrze od czasu do czasu z innymi porozmawiać, zderzać się z innymi poglądami, lecz także inną wrażliwością.*

Na potrzebę rozmowy o kinie wskazuje również Michał Oleszczyk: – *Przez ostatnią dekadę okazało się, że social media nie są dobrym miejscem do dyskusji. Rzuciliśmy się na nie z ogromnym entuzjazmem, żeby się przekonać, że można tam więcej przyjaciół stracić, niż zyskać. Nic nie przebije dyskusji na żywo, czy w przestrzeni kinowej, czy online, czego dowodem mogą być filmowe webinary. Od nowa odkrywamy swoją wzajemną obecność. Mamy głód tego, żeby naprawdę rozmawiać, a nie tylko komentować. A gdy jesteś z innymi osobami w jednej przestrzeni, to nie możesz ich zredukować do mema albo gifa.*

Roman Gutek, który od dekad jest związany z dystrybucją i promocją ambitnego, jakościowego kina w Polsce, podpowiada, że sekcje pokazów klasycznego kina mają w swoim programie najważniejsze festiwale filmowe, m.in. Cannes i Wenecja, a promocją dawnych arcydzieł zajmują się czołowi twórcy kina, tacy jak Martin Scorsese, który w swoim czasie sygnował swoim nazwiskiem także przegląd (a później wydanie na płytach Blu-ray) polskich klasyków. – *Warto wracać do korzeni, a jednocześnie uświadamiać sobie, jak nowoczesne było kino w latach 50. czy 60.* – mówi, zauważając mimochodem, że wbrew pozorom wiele filmowych arcydzieł nie jest wcale w Polsce łatwo dostępnych. Zainteresowani są najczęściej skazani albo na sprowadzanie płyt z Zachodu – w Polsce rynek wydań Blu-ray i DVD praktycznie nie istnieje – lub szukanie nielegalnych kopii w sieci.

## Wolne uzależnianie

Coraz większe zainteresowanie, jakim cieszy się klasyczne kino, dało też Romanowi Gutkowi pretekst do stworzenia nowego festiwalu, na którym będzie dominować klasyczne kino, choć repertuar nie będzie się wyłącznie do niego ograniczał. Timeless Film Festival Warsaw odbędzie się 8–14 kwietnia 2024 r., a w programie znajdzie się ok. 70 ponadczasowych – jak sugeruje nazwa imprezy – filmów. W tym specjalne pokazy „Amadeusza" z muzyką na żywo w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej.

Wcześniej natomiast na ekrany trafi kolejny przegląd zorganizowany przez Stowarzyszenie Kin Studyjnych na stulecie wytwórni Warner Bros. W repertuarze m.in. „Sokół maltański", „Powiększenie" i „Chłopcy z ferajny", wszystkie opatrzone eksperckimi prelekcjami Sebastiana Smolińskiego i Patrycji Muchy.

Moi rozmówcy podkreślają, że aby wzbudzić u widzów zamiłowanie do klasyki, potrzeba czasu. Oleszczyk wierzy w metodę *slow burning*, wolnego oswajania się z opowieścią o starym kinie, próbowania, a docelowo: uzależnienia od niego.

– *Widzowie, szczególnie mniej zainteresowani kinem, potrzebują podpowiedzi, przede wszystkim w związku z klasyką. To przecież olbrzymie dziedzictwo, ogromne zasoby, a nie każdy zna historię kina, dlatego tym lepiej, że ludzie ufają selekcjonerom i dzięki temu chętniej przychodzą na przeglądy i festiwale* – mówi z kolei Gutek.

– *W miastach takich jak Paryż czy Nowy Jork cały czas pokazywane są filmy sprzed lat. Chciałbym, żeby w Polsce też funkcjonował taki obieg klasycznego kina. Tak jak jest obieg krwionośny – i niech to będą te współczesne widowiska dla masowej widowni – ale oprócz niego działa jeszcze obieg limfatyczny, żeby ta klasyka ciągle nam towarzyszyła* – dodaje Michał Oleszczyk.

Tytułowy bohater filmu niemieckiego „Free Rainer", buntując się przeciwko banalnej rozrywce, postanawia manipulować wynikami oglądalności, żeby stacje telewizyjne nadawały w najlepszym czasie wartościowe materiały. Wierzy, że publiczność jest zmęczona tandetą, tylko nie dostaje lepszej alternatywy. Polscy widzowie coraz częściej szukają w kinach nie tylko rozrywki, lecz również bezpiecznej przestrzeni, by podzielić się wrażeniami z innymi. ■

# Mea pulpa

Fundacja Pawła Kukiza „Potrafisz Polsko!” dostała 4,3 mln zł dotacji od premiera Mateusza Morawieckiego. Teraz Paweł będzie popularyzował referenda. Spora kwota. Łatwa do podziału przez zero.

„Młodszy brat polskiego rockmana jest biskupem” – odkrywa bystry pracownik Gazeta.pl. „Grzegorz Markowski inspirował się jego historią, pisząc »Nie płacz Ewka«?” – pyta natchniony nową wiedzą. Utwór napisali Hołdys z Olewiczem. Ewidentnie nie z jego parafii.

Jest nowy kandydat do Grand Press. To redaktor Aneta Kmiecik z Plotek.pl. Redaktor Kmiecik napisała artykuł o tym, że Maja Bohosiewicz ma wystający palec. Redaktor Kmiecik ponoć zajmuje się dramatami polskich influencerów. Dziwne. Powinna zająć się swoim.

Skoro już jesteśmy przy dramatach influencerów, to 20-letnia tiktokerka Maria Jeleniewska, którą obserwuje 13 mln osób, właśnie zakupiła trzy mieszkania w Hiszpanii. W trzech powinna się zmieścić. A redaktor Kmiecik zadba, żeby nic nie wystawało.

Oliwia Bieniuk, 21-letnia córka Ani Przybylskiej, wystąpiła w erotyku pt. „Niuniek”, który jest etiudą studentów Warszawskiej Szkoły Filmowej. Gdy ja studiowałem, bawiliśmy się podobnie, tylko nikt tego nie filmował.

TVN7 w maju rozpocznie emisję programu „Hotel Paradise All Stars”, w którym wystąpią wybrani uczestnicy dotychczasowych sześciu edycji. Zdjęcia powstawały w Kolumbii. Pamiętam ostatni mecz Polska-Kolumbia. Tam też miały być same gwiazdy.

W kwietniu rusza pierwszy polski spin-off, czyli produkt powstały na skutek niespodziewanej popularności bohatera drugoplanowego. U nas będzie to „Pati”, czyli wcześniejsze losy jednej z bohaterek serialu „Skazana”, a granej przez Olę Adamską. W polityce spin-offem jest Przemysław Czarnek.

Detektyw Krzysztof Rutkowski pochwalił się swoim garażem, w którym stoją auta warte ponad 9 mln zł. Wśród nich wojskowy Hummer H1 oraz pojazd bojowy TUR IV o masie 11 ton. Uwagę zwracają też tablice rejestracyjne „ZORRO”. To podobno idol Krzysztofa. Też często z czarną kreską na oczach.

Tomasz Lis czule wypowiedział się o Radiu TOK FM: „Ćwok FM, propagit i nuda”. Lubię i cenię Tomka. Jak się rozwodzi, to zawsze z klasą.

© PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Kazimierz Marcinkiewicz, premier, bokser, bankowiec, znów jest zakochany. Na Instagramie Kazimierz opublikował zdjęcie atrakcyjnej kobiety o imieniu Martyna, z podpisem „Szczęście jest piękne”. To prawda. A alimenty to szczęście rozłożone na raty.

Jest najnowszy ranking religijnych witryn internetowych. Na 1. miejscu Deon.pl z 1,3 mln odwiedzin miesięcznie. Średni czas to 2 minuty. Stronę świadków Jehowy odwiedza 1,16 mln osób miesięcznie, spędzając tam ponad godzinę. Ale z nimi od lat wiadomo, że jak już przyjdą, to trudno się ich pozbyć.

TVP wyemitowała wywiad z psem, który wciela się w tytułową rolę w serialu „Komisarz Alex”. Rozmawiała z nim Laura Łącz. Też aktorka.

Media krzyczą: „Klaudia Halejcio przyjęła zaręczyny. Zdjęcie pięknego pierścionka trafiło do sieci. Będzie ślub”. Klaudia zagrała w serialu recepcjonistkę, w innym dziewczynę w studiu, a jeszcze w innym dziewczynę z solarium. Po spełnieniu zawodowym czas na życiowe.

Robert Makłowicz, Cezary Pazura i Łukasz Lodkowski wystąpili razem w kampanii marki Scrabble, która świętuje w tym roku 75. urodziny. Celem reklamy jest łączenie ludzi z różnych środowisk za pomocą literek. Premier Morawiecki jest w tym dobry: PPK, PPE, NCBiR, a na koniec ABW.

„Ołena Zełenska podczas wizyty w Polsce wyglądała na przygnębioną. Uśmiech wydawał się wymuszony”. Tyle przenikliwych refleksji redaktora Michała Musiała, który na co dzień zajmuje się stylizacją fryzur. Trochę to widać, że częściej korzysta z czyjejś głowy.

Danuta Martyniuk, żona Zenona, poinformowała w programie TVP „Pytanie na śniadanie”, że przeszła nieoperacyjny lifting, zagęściła skórę twarzy ultradźwiękami, a także przeszła plastykę nosa z korektą przegrody nosowej. Cieszę się, że na to wszystko idą moje pieniądze.

Kultowa komedia „Sami swoi” doczeka się prequela, który wyreżyseruje debiutujący w tej roli aktor Artur Żmijewski. W głównych rolach zobaczymy Zbigniewa Zamachowskiego i Mirosława Bakę. Musi stać się cud, żeby to się udało. Może stąd obecność Ojca Mateusza.

[ FELIETON ]

Lis

# Performerzy z PKP

Performans z kremówkami w Pendolino w rocznicę śmierci Karola Wojtyły przejdzie do historii sztuki. Przez chwilę podejrzewałam, że mógł mieć tego samego autora, co mem z talerzem spaghetti w sosie z nutelli i tekstem „Jeżeli Boga nie ma, to wszystko wolno" – tak wyraźne w obu przypadkach upodobanie do cukrów prostych jako antidotum na patetyczne wzdęcia zdawało się potwierdzać tę intuicję niczym „podpis" seryjnego zabójcy. Jednak po głębszej analizie dochodzę do wniosku, że kluski z czekoladą jako ilustracja rozterek à la Dostojewski nie wytrzymują porównania z ciastkiem upamiętniającym zgon papieża. Są banalne i płaskie jak stolnica, podczas gdy żałobna kremówka to wypowiedź dojrzała artystycznie, warstwowa, tragiczno-ironiczna.

Uwagę zwraca wyrafinowanie, z jakim performerzy z PKP czerpią z dawnych obyczajów kulinarno-funeralnych Europy Wschodniej, brawurowo je reinterpretując: zamiast chleba i wódki, pokarmów krzepiących i prostych, które nasi przodkowie zabierali ze sobą na groby, pendolińscy artyści proponują ciastko do spożycia nie tyle ze zmarłym, ile zamiast niego – jako *pars pro toto* świętego papieża (kremówka stała się wszak częścią jego wizerunku). Rozbity na samotne akty konsumpcji rocznicowy poczęstunek w „opóźnionych przyspieszonych" przeradza się tym samym w rytuał scalenia mitu, wzmocnienie nadszarpniętej więzi, słowem – w Wielką Wspólnotę Mdłości. A przecież na mdłościach się nie kończy. Niezbędnym dopełnieniem tego dzieła otwartego staje się zdanie „Masz krem na rękach!", które w zaprojektowanych przez twórcę ramach musi paść prędzej czy później, ponieważ, jak wszyscy wiemy, przy jedzeniu kremówki nie sposób się nie uwalać – a co dopiero jak je się w pociągu. Zdanie to uruchamia powrót wypartego i stawia twarzą w twarz z tym, czemu chciałoby się zaprzeczyć: z winą świętego z Wadowic, ową *maxima culpa*, którą udowodnił Ekke Overbeek. A to z kolei wrzuca nas w sam środek narodowego sporu na miarę „bić się czy nie bić": czy powinniśmy odjaniepawlić polskość aż do fundamentów, czy raczej nie kłaniać się zdradzieckim kulom i gruntownie ją dojaniepawlić?

Tutaj powraca makaron z czekoladą. Serwuje go stronnictwo wieszczące, że jeśli w Polsce upadnie autorytet papieża, Polacy natychmiast uznają, że wolno kraść, mordować i cudzołożyć bez różnicy płci. Zwolennicy tego poglądu trwają w przekonaniu, że katolicyzm odgrywa u nas rolę kagańca i jest w niej niezastępowalny. Znamy to: człowiek bez religii jest „tylko" zwierzęciem; poza Kościołem rozciąga się sodomia i gomoria; wartości etyczne bez strachu przed piekłem nie pożyją nawet tyle co jętka jednodniówka. Bo rzeczywiście – popatrzmy tylko, co się wyrabia w takim Sommerville w stanie Massachusetts: „odjaniepawlona" rada miejska rozszerzyła właśnie ochronę przed dyskryminacją na „związki poliamoryczne i inne nietradycyjne struktury rodzinne". Uczestnicy takich struktur mają tam prawo otrzymywać informacje o stanie zdrowia swoich partnerów i podejmować w ich imieniu decyzje medyczne tak samo jak dwuosobowe małżeństwa. Ich więzi rodzinne muszą być respektowane także w miejscu pracy i przy kontaktach z policją. Trwają prace nad uregulowaniem ich praw rodzicielskich i opiekuńczych. Czy to nie skandal? Zamiast medytować nad wersetem „Mężczyzną i niewiastą stworzył ich", ktoś przyjrzał się rzeczywistości i odkrył, że prawdziwe życie jest bogatsze, niż przewiduje Kościół. Że dyskryminacją jest również sytuacja, kiedy prawo nie tyle zakazuje czegoś, ile „nie zauważa" jakiejś grupy. A przede wszystkim – że rolą państwa w demokracji nie jest orzekanie o słuszności czyjejś tożsamości i wybranej indywidualnie formy życia, lecz wspieranie realnych więzi.

To, że w naszym prawie i społeczeństwie istnieje tylko jedna definicja rodziny, przekłada się na praktykę społeczną i prawną" – wskazuje Andy Izenson z Chosen Family Law Center, cytowany w „New York Timesie". Według tej definicji rodzinę stanowią heteroseksualni, połączeni małżeństwem rodzice mieszkający ze swoim genetycznym potomstwem i z nikim więcej. Tymczasem w realnym świecie ponad połowa amerykańskich dzieci nie wychowuje się w rodzinach, które odpowiadają temu wyobrażeniu. Poliamoria, portretowana w mediach jako zjawisko pikantne i glamour, trochę zaciemnia tu sprawę, bo nietradycyjne rodziny to przecież także monogamiczni rodzice sprawujący pieczę nad wnukami, rodziny patchworkowe i tęczowe, a także rozbudowane queerowe sieci pokrewieństwa z wyboru.

Wszystkie te formy wspólnego życia łączy to, że ich członkowie troszczą się o siebie z miłością i oddaniem, wypełniając funkcje rodziny mimo braku oparcia w prawie. Już słyszę, jak konserwatyści podnoszą larum: czego to lewactwo nie wymyśli! Inżynieria społeczna! Neomarksizm, Stalin, Gułag! A przecież tu chodzi o najprostsze ludzkie sprawy: na przykład o to, żeby przy narodzinach dziecka pary lesbijek mógł być obecny również ich przyjaciel, ojciec biologiczny pełniący w tej rodzinie funkcję równorzędnego trzeciego rodzica. Wbrew pozorom to wcale nie radykalizm ani nawet żadna nowość: odmienne od uznawanych dzisiaj za normę modele płci, seksualności i rodziny są znacznie starsze niż chrześcijaństwo i z pewnością przeżyją rodzinę nuklearną. Zresztą mało co jest od niej tak odległe jak Święta Rodzina – złożona z dziewczyny, jej dziecka, starszego mężczyzny i Ducha.

RENATA LIS

[ FELIETON ]

Koziołek

# Posłuchajcie Stefana

Niech ich szlag! – usłyszałem znajomy głos zza „Wyborczej”, która zakrywała pół osoby czytającej. A potem zobaczyłem, jak sąsiadka gniecie gazetę i rzuca ją na chodnik.

– Aż tak źle napisane? – zapytałem, przysiadając się ostrożnie z ziemniakami pomiędzy.

– A gdzie tam! To ta od Zielonych opowiada, co robimy z przyrodą. Jeśli mówi prawdę, że palimy naszymi drzewami w elektrowniach, a na ochronę lasów wydajemy sto razy mniej niż na wycinkę, to każdy, kto przykłada do tego rękę, powinien się smażyć w piekle. Zresztą, niech pan popatrzy na te kominy dookoła, sami się wytrujemy.

– No, wie pani, to nie jest łatwe skłonić ludzi, żeby przeszli na gaz czy na pompy ciepła, kiedy tak wszystko drożeje. Poza tym może część spalanego drzewa i tak do niczego innego już się nie nadawała – próbowałem zmienić monolog w rozmowę.

– Mają dopłacać biednym tyle, ile trzeba. Zresztą, nie znam się na tym, ale tyle rozumiem, że jeśli myśliwi mogą bawić się strzelbami 150 m od mojego płotu, a wiatrak musi stać nie bliżej niż 500 m, to znaczy, że władza troszczy się bardziej o przyjemność myśliwego niż o zdrowie i życie obywatela. Byliśmy głupi i jesteśmy, nie ma nadziei dla tego kraju! – wściekła wstała i poszła. Podniosłem gazetę, rozprostowałem, przeczytałem. Szlag by…

Wbrew koncepcji, że przestrzegamy prawa wyłącznie ze strachu przed karą, uważam, że do kształtowania trwałych nawyków straszenie nie wystarczy. Coroczne raporty IPCC opracowane przez setki naukowców przynoszą coraz bardziej dramatyczne diagnozy o stanie środowiska naturalnego i katastrofalnych konsekwencjach płynących stąd także dla człowieka, na czele ze zwiększoną śmiertelnością i zapadaniem na choroby przewlekłe. Straszne? Nie bardzo, jak widać. Sama prawda, nawet naukowa, nie wystarczy. Żeby skutkowała zmianami zachowań, trzeba się nią przejąć i od tej chwili odczuwać jako własne przekonanie. Przymus prawny w przypadku przyrody nie wystarczy, zwłaszcza że idea nadawania puszczy, rzece lub górze statusu osoby prawnej ma już 50 lat. Nie wydaje się też czymś niemożliwym, nawet w naszym systemie prawnym. „Skoro osobowość prawną – pisze prof. Jerzy Bieluk – może uzyskać każdy społeczny związek, który ma usprawiedliwiające to interesy prawne, to dlaczego by nie przyjąć, iż możliwe jest uznanie, iż części natury, takie jak rzeki, reprezentowane przez ludzi, mają własne interesy, własne prawa” („Rzeka jako osoba prawna”). A jednak wobec systematycznego obniżania autorytetu prawa w naszym kraju nie wróżę sukcesu temu projektowi. Trzeba szukać pomocy gdzie indziej.

Kiedyś Adam Wajrak zapytany o specyfikę polskiego podejścia do przyrody stwierdził, że Polak się naturą zachwyca, w przeciwieństwie do na przykład Szweda, który zarówno w ochronie, jak i w eksploatacji przyrody kieruje się rozsądkiem i pragmatyzmem. Idąc tropem Adama, należałoby zachwyconego naturą Polaka na tym uczuciu przyłapać i przetworzyć jego estetyczny spazm w wewnętrzne prawo moralnej troski o przyrodę. Kierowany podobnym impulsem Patryk Pufelski marzy, „żeby wykupić w antykwariacie i na Allegro wszystkie egzemplarze »Kwiatów polskich« i wysłać tym nienawistnym łysym chu.m z Białegostoku. Marzyłoby mi się, żeby przeczytali i się wzruszyli” („Pawilon małych ssaków” wyd. Karakter).

Urocze. Naprawdę, myślę, że bajki o zwierzętach uczą nas w dzieciństwie empatii wobec życia innego niż ludzkie. Kłopot w tym, że człowiek wybiera z natury, co mu pasuje lub smakuje, a reszta jest mu obojętna lub mogłaby nie istnieć. Zatem misie do przytulania, świnie do jedzenia, psy do towarzystwa, kury do noszenia jajek i na rosół, ośmiorniczki i robaki do polityki itd., itp. Ludzki zachwyt nad pięknem natury jest kapryśny i wybiórczy; nie stanowi więc dostatecznego oparcia dla powszechnej zmiany naszych postaw wobec przyrody.

Jedyny naprawdę skuteczny sposób, aby żaden Polak nie ośmielił się podnieść ręki, siekiery czy harvestera na Puszczę Białowieską, to uczynić ją… świętą. Zarys programu kanonizacji polskiej przyrody znajduję u Stefana Żeromskiego, który sto lat temu wołał o uświęcenie ukochanej puszczy. Może go posłuchamy?

„Przychodziły z siekierami podłe Austryaki, żeby ciąć głuche lasy, których nawet bury Moskal nie ważył się tykać. Lecz obroniła się dzika strona swymi wyrwami, kamienistością dróg, wąwozikami górskimi z pieca na łeb, po których nawałnica swego czasu wody puszcza. Nie dosięgły Łysicy! Przyszła znowu na swe miejsce Polska. Nie zamienili Moskale klasztoru Świętej Katarzyny na koszary konnicy, jak to było w ich planie, i nie przyłożył Austryak siekiery do korzenia lasów. Stoi oto wciąż dom boży. Widać ze wszech stron białą jego wieżę w dolinie fiołkowej od lasów, co z dala i z bliska ciągną ku niemu wielkimi pasmami. Jest jakoby zwornikiem, w jedność ujmującym wielorakie pustkowie. Oko przybiega z obszarów i spoczywa na jego białym kształcie, a wyrzeźbiony w źrenicy, zachowuje w sercu na zawsze. Żyj wiecznie, świątnico, ogrodzie lilij, serce lasów! Przeminęły nad tobą czasy złe, zlane ludzką krwią. Ciągną inne, inne. Lecz któż może wiedzieć, czy z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakie bądź byłoby prawo, czyjekolwiek by było, do tych przyszłych barbarzyńców, poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: – nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym święty jeleń chodzi – jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i żywa pieśń wieczności. Puszcza jest niczyja – nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!”. („Puszcza Jodłowa”).

RYSZARD KOZIOŁEK

[ FELIETON ]

Hartman

# Piękni i cyniczni

Gdy słyszysz od swoich dzieci: „Wy nie szanujecie nas, my nie szanujemy was, a resztę mamy gdzieś”, to najpierw ogarnia cię gniew, potem żal, a na końcu niepokój. Czym jest ta „reszta”? Czy aby na pewno młodzi się trzymają? Czy nie opadają z sił u progu życia?

Bunt młodzieży nierzadko przyjmuje wyraz libertariańsko-anarchizujący. Również dziś młodsze pokolenie przeżywa swoją ekscytację wyzwalającym indywidualizmem i egoizmem, eksperymentując z cynizmem, jak z narkotykami. Arogancja i „bezzłudzeniowość” to najtańsza podróbka dojrzałości. Stać na nią nawet gimnazjalistów. Jaka szkoda, że kolejna fala „korwinizmu” wezbrała akurat w roku, w którym trzeba wygrać wybory i ratować kraj. I jaka szkoda, że nie przydarzył się nam ten wspaniały konflikt pokoleń, który Charles Reich opisał w swej sławnej książce „The Greening of America”. Pół wieku temu to rodzice byli praktyczni do bólu, a za to ich dzieci pełne ideałów i marzeń. Na szczęście i wtedy, i dziś, młodzież wie, że nie pieniądze są najważniejsze, lecz wolność, miłość i szczęśliwie ułożone życie. I za to właśnie współczesną młodzież szanuję. A jednak diabełek czyha za węgłem z kołczanem pełnym strzał pychy, pogardy i oportunizmu. I strzela nimi w młode serca.

W minione walentynki wpływowa dziennikarka Monika Mesuret zamieściła w sieci wideoprzesłanie od starszej młodzieży do pokolenia rodziców. Przesłanie wyzywające swą treścią i słownictwem. To z niego pochodzi zacytowane na początku zdanie. Kilkuminutowa przemowa red. Mesuret odpowiada na zarzut, że młodzież jest leniwa, niechętna do pracy i posiadania dzieci. Ja tak nigdy nie mówiłem, lecz tym bardziej poczułem się urażony i sprowokowany.

Młodzież nie jest leniwa, lecz pragmatyczna i zdrowo egocentryczna. Taka tu jest teza. „Po prostu stawiamy siebie na pierwszym miejscu, jak i to, co się dzieje w teraźniejszości, bo pokolenia, które były przed nami, nie były nam w stanie zagwarantować dobrej przyszłości”. A rzecz cała kończy się pogróżką: „Ale my podrośniemy i niedługo świat będzie w naszych rękach!”. Strach się bać! Zemsta zaniedbanej przez rodziców progenitury będzie okrutna!

Nie sądzę, aby poprzednie pokolenia źle się spisały. Akurat te powojenne zbudowały nam i naszym dorosłym dzieciom świat tak bezpieczny i bogaty, jakiego historia dotąd nie znała. Owszem, kolejne dekady rysują się na horyzoncie w ciemniejszych barwach, lecz jest mało prawdopodobne, aby dzieciom współczesnych dwudziestolatków miało się żyć gorzej niż ich dziadkom, pradziadkom i tak dalej. Ale że gorzej niż ich rodzicom, to akurat jest całkiem możliwe i z pewnością frustrujące. Jednakże z decyzjami o posiadaniu dzieci wcale nie musi to mieć wiele wspólnego. Zawsze większość ludzkości biedowała i żyła w niestabilnym świecie, a dzieci rodziło się dużo. O tym zaś, jak się żyło w Polsce lat 80., gdy w dorosłe życie wchodzili rodzice współczesnej starszej młodzieży, to nawet szkoda gadać. To dopiero był „zapieprz” i beznadzieja. A szacunek? Jaki szacunek?

Jednakże poniekąd słusznie skarży się pani redaktor Mesuret na niestabilność rynku pracy i niską wiarygodność systemu emerytalnego. Jednak bez przesady. Nie ma powodu martwić się, że emerytury osób z jej pokolenia będą niższe niż obecne. Wysokość emerytur nie zależy tylko od składek. Wpływa na to przede wszystkim zasobność państwa. Nie da się przewidzieć, jakie będą emerytury za pół wieku. Jeśli Polska będzie trochę bogatsza niż dziś, to pewnie będą nieco wyższe. A kto będzie na nie łożył? Jeśli zabraknie młodych Polaków, to znajdą się młodzi Azjaci. Jeszcze tak nie było, żeby nie było komu robić. Inna sprawa, że związek między składką emerytalną płaconą dzisiaj a emeryturą wypłacaną za czterdzieści lat jest dość umowny. Zawsze tak było.

Redaktor Mesuret rzuciła między wierszami dwie niemiłe sugestie. Pierwsza jest taka, że starsze pokolenia mają nieproporcjonalnie wysoki udział w redystrybucji, żyjąc trochę na koszt młodych. To chyba nieprawda, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę koszty szkolnictwa i zwolnienie z podatku PIT młodych do 26. roku życia. Druga sugestia zaś jest taka, że pracodawcy są generalnie nielojalni wobec pracowników i nie zasługują na lojalność. Pani Monika chwali się, że w ciągu dwóch tygodni mogłaby sobie znaleźć nową pracę przez internet. Nie wątpię, ale nie każdy ma tak dobrze. Generalnie jednak muszę się zgodzić – stosunki w zakładach pracy są paskudne. Zarówno w korporacjach, jak i w urzędach, szkołach czy szpitalach. Czy w fabrykach również? Nie wiem. W każdym razie ludzie częściej zmieniają pracę, poszukując lepszych zarobków, lecz i przyjaźniejszego otoczenia. Życie robi się od tego mniej przewidywalne. Trudniej w takich warunkach zdecydować się na założenie rodziny.

Pani Monika ogólnie cieszy się z tego nowego stylu życia, lecz trochę jakby tęskni za dawnymi czasami. Narzeka bowiem na nieosiągalność mieszkań. Tak, mieszkania własnościowe stały się trudniej dostępne niż przez ostatnie dekady, lecz ogólnie ludzie, także młodzi, mieszkają dziś nieporównanie wygodniej niż młodzież w którymkolwiek z wcześniejszych pokoleń. Własność hipoteczna nie jest w mieszkalnictwie nadrzędnym dobrem. Kredyt jest dziś tani, a złoty mocny w porównaniu z latami 90., lecz wtedy nikomu nie przychodziło do głowy, żeby miało to wpływać na decyzje o małżeństwie i rodzicielstwie.

Intuicja socjologiczna Monikę Mesuret zawodzi, myli się w swych ocenach i diagnozach, a o życiu rodziców i dziadków chyba niewiele wie. Jednakże jej irytacja mówi coś ważnego. Ani ona, ani my nie wiemy dokładnie, co to jest. Czas pokaże.

JAN HARTMAN

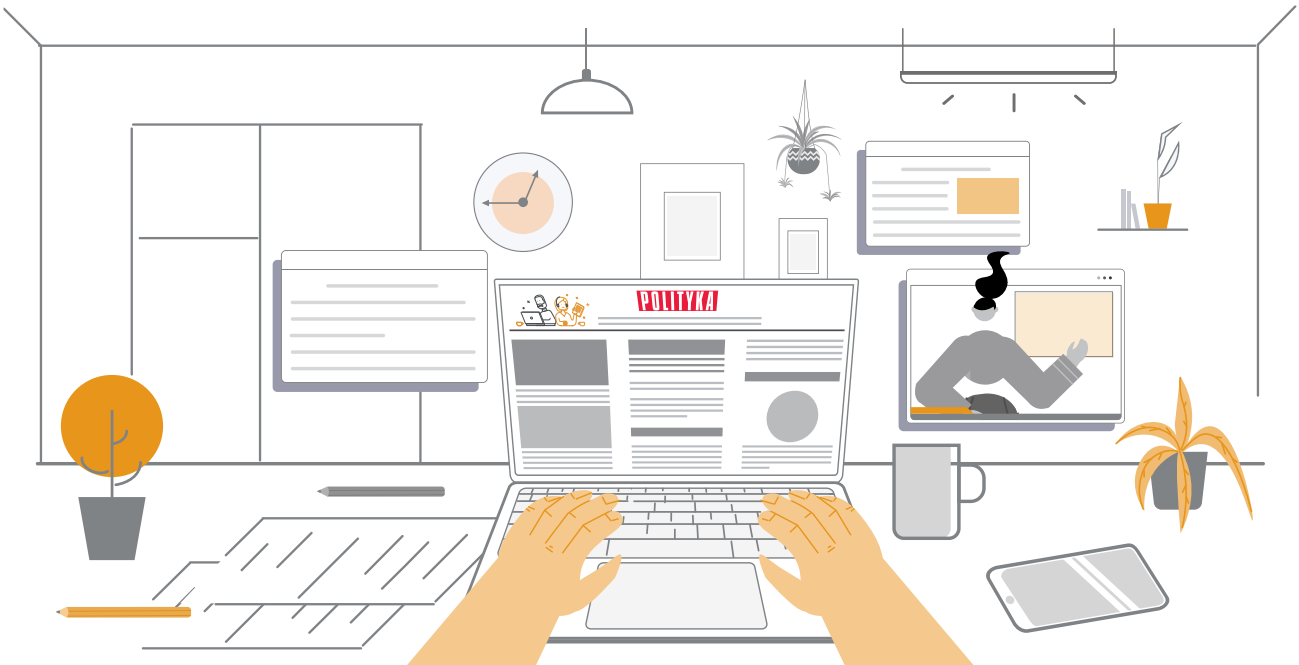


# POLITYKA

# w prenumeracie cyfrowej!

Nawet do **50% taniej** niż w wersji papierowej.
Oszczędzasz, a do tego zyskujesz! **Ty i Twoi Bliscy**.

### PAKIET STANDARD
**– 24,99 zł miesięcznie**
**lub 299 zł rocznie**

- POLITYKA – co tydzień nowy numer
- Dostęp do portalu polityka.pl i aplikacji
- 15 tekstów w formacie audio
- Aplikacja Fiszki Polityki

### PAKIET PREMIUM
**– 34,99 zł miesięcznie**
**lub 399 zł rocznie**

- Wszystkie korzyści pakietu Standard
- „Pomocniki Historyczne”
- magazyn „Salon”
- Pakiet Standard dla dwojga Bliskich

### PAKIET UNIWERSUM
**– 49,99 zł miesięcznie**
**lub 499 zł rocznie**

- Wszystkie korzyści pakietu Premium
- „Forum” – co dwa tygodnie nowe wydanie
- „Wiedza i Życie” i „Świat Nauki” – co miesiąc nowy numer
- „Pulsar” – dostęp do serwisu popularnonaukowego
- Pakiet Standard dla dwojga Bliskich

Zapraszamy do cyfrowego świata POLITYKI:
**polityka.pl/cyfrowa**

Zeskanuj i dowiedz się więcej

## Stypendium im. Leopolda Ungera

Do 31 maja trwają zgłoszenia do XI edycji Stypendium im. Leopolda Ungera – ogólnopolskiego programu stypendialnego skierowanego do młodych dziennikarzy i adeptów dziennikarstwa. Jedną z nagród jest staż w redakcji POLITYKI.

Zgłaszać mogą się studenci wszystkich kierunków i stopni kształcenia do 35. roku życia. Kryteria oceny:

- opublikowane w różnych rodzajach mediów tematy publicystyczne
- praca na rzecz mediów studenckich
- współpraca z mediami internetowymi
- udokumentowane publikacjami efekty staży dziennikarskich.

Zgłoszenia przyjmowane są drogą mailową: **stypendium.unger@umcs.lublin.pl**.

Stypendium im. Leopolda Ungera to cykliczny program stypendialny, zainicjowany przez rodzinę Patrona i uruchomiony w 2013 r. przez Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Do tej pory wyłoniono 54 laureatów, którzy mieli możliwość realizacji projektów reportażowych, szlifowania warsztatu pod okiem doświadczonych praktyków i rozwoju pasji dziennikarskiej.

Szczegóły na: **www. polityka.pl/opolityce** w zakładce aktualności

## Słony Nord Stream

Smutny jest wydźwięk artykułu Ryszardy Sochy o niebezpieczeństwie powtórki ekologicznej katastrofy na Odrze z powodu trwającego wciąż odprowadzania do niej zasolonych wód kopalnianych („Zrzuty do rzeki", POLITYKA 15). Konsultowani przez autorkę eksperci w zasadzie nie widzą możliwości rozwiązania problemu, bo przemysłowe odsalanie takiej ilości ścieków byłoby horrendalnie drogie, a zamknięcia naszych kopalń miedzi nikt sobie raczej nie wyobraża. Ba, również kopalnie węgla położone w zlewni Odry mają przed sobą jeszcze przynajmniej kilka dziesiątków lat funkcjonowania, gdyż w większości produkują węgiel koksujący – a koks jest niezbędny do wytopu stali – na który nawet Unia Europejska patrzy łaskawym okiem.

Dziwi mnie trochę, że żaden z fachowców nie sugeruje rozwiązania problemu, jakie było brane pod uwagę jeszcze w poprzedniej epoce politycznej i gospodarczej. W latach 80., jako śląski dziennikarz, słyszałem od inżynierów górnictwa, że planowana była budowa solankowego rurociągu z żelbetonowych kręgów, biegnącego z naszego regionu aż do Bałtyku. Zamierzano go poprowadzić wzdłuż koryta Wisły, wykorzystując naturalny spadek terenu, dzięki czemu dałoby się uniknąć budowy kosztownych tłoczni i przepompowni, gdyż solanka spływałaby do morza na zasadzie grawitacji, jak wody naszej królowej rzek. Bałtyk by na tym nie ucierpiał, ponieważ odpadowe sole i tak doń trafiały, tyle że rozpuszczone w wodach rzek, niszcząc w nich życie biologiczne. Zresztą paradoksalnie nasze morze od dawna staje się coraz bardziej słodkie, więc dosalanie go jest jak najbardziej pożądane. Niestety, nad planami tymi zapadła wkrótce cisza tak głęboka, że nawet prasie nie wolno było o nich wspominać.

Myślę, że dziś można by rozważyć powrót do idei słonego Nord Streamu, czy też raczej South Nord Streamu, tyle że w korycie Odry. Taka inwestycja nie powinna być przecież trudniejsza technicznie od położenia niesławnej pamięci gazowych rur na dnie Bałtyku, no i nie wywoływałaby tyle kontrowersji politycznych oraz ekologicznych. A także finansowych, choć na dołożenie się do interesu przez Putina nie ma co liczyć. Za to Bruksela i Berlin powinny w tym wypadku chętnie sięgnąć do kieszeni.

JÓZEF BEDNAROWSKI, TYCHY

**Sławomirowi Mizerskiemu**
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci **Mamy**
składają koleżanki i koledzy z POLITYKI

REKLAMA

Nagrody Historyczne POLITYKI od 1959

Nominacje do Nagród Historycznych POLITYKI 2023 za 2022:

26 kwietnia pamiętniki, źródła
10 maja prace naukowe, popularnonaukowe, debiuty

Mecenasi Nagród Historycznych POLITYKI

Dantex

zaKS sprzyjamy wyobraźni

E 159, 160 2 **der Walfisch**

U 159, 160 2 **wieloryb**

**Podpisy pod fotografiami są integralną częścią prac. To rama językowa obrazów. Pochodzą ze słownika niemiecko-polskiego wydanego**

FOTOGRAFIE ANDRZEJ TOBIS

# Słownik polski

Rozmowa z artystą wizualnym, malarzem, prof. Andrzejem Tobisem, o tym, jak słowo łączy się z obrazem, obraz z rzeczywistością i jak to się przejawia w polskim krajobrazie.

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– W rubryce „Na własne oczy" często prezentujemy prace fotoreporterów, ale tym razem – wbrew pozorom – tak chyba nie jest.**

ANDRZEJ TOBIS: – Nie zajmuję się reportażem. Kilkunastoletnia praca nad projektem „A–Z (Gabloty edukacyjne)" to praca artystyczna. Moim celem było zmierzenie się z rzeczywistością poprzez pokazanie skomplikowanej relacji między językiem a tym, co język opisuje. Odbiorca może oczywiście dostrzegać w tym całym zbiorze zdjęć jakiś zapis socjologiczny czy etnograficzny. Ale jest to dla mnie efekt uboczny, a nie główna motywacja. Efekty uboczne bywają oczywiście bardzo interesujące.

**jeszcze w NRD.**

**Próbuje mi pan wmówić, że Polska tak nie wygląda?**

Próbuję powiedzieć, że kiedy 16 lat temu zacząłem robić ten projekt, moją ambicją nie było rozprawienie się z Polską. Zestawiam najbardziej znany mi język z najbardziej mi znaną rzeczywistością wizualną, czyli Polską. Jestem Polakiem, mówię po polsku i mieszkam w Polsce, więc siłą rzeczy jest to też opowieść o Polsce. Czytam tutejsze konteksty i ich wieloznaczność. Każde zdjęcie jest rejestracją pozbawioną mojej ingerencji i w tym sensie, rzeczywiście, może mówić coś o Polsce.

**A ja mam wrażenie, że to jest taka artystyczna ostrożność ojca, który boi się, że dziecko zaczęło żyć własnym życiem.**

Oczywiście jest prawdą, że artysta udostępniając efekty swej pracy, traci kontrolę nad swoim dziełem. Nie może go ani kontrolować, ani nie może obrażać się na odbiorcę, że ten czyta coś po swojemu, nadaje temu nowe znaczenia czy całkiem wykracza poza ramy projektu w swoich interpretacjach.

**U pana ramą jest obrazowy słownik polsko-niemiecki, który stał się niejako generatorem treści. Zderza pan obrazy z pojęciami, co jeszcze bardziej wyostrza ich dwuznaczność.**

Tak, to jest rama językowa. Ten konkretny słownik jest zamkniętym zbiorem haseł, z którego korzystam. Jest to słownik wydany w Lipsku, w NRD, więc jest to słownik niemiecko-polski. Co jest o tyle istotne, że część pojęć w języku polskim jest tam kalkami z języka niemieckiego, co czasem nadaje nowy sens, a czasem go wykoślawia.

**Gdybym ja próbował opowiedzieć o pana pracach jakimiś pojęciami słownikowymi, to celowałbym w B jak Brzydota.**

Hasła „brzydota" nie ma w tym słowniku. Zdarza się, że ktoś mnie pyta, dlaczego Polska na moich zdjęciach jest brzydka. To kwestia bardzo subiektywna. Mnie kategorie estetyczne nie interesują w tym sensie, że nie zastanawiam się, jaka jest rejestrowana przeze mnie rzeczywistość. Ona jest, jaka jest. ▶

129 10 die Kindereisenbahn

129 10 kolejka dla dzieci

44 7 u. 8 (3. A.) der Baum

▶ Oczywiście dbam o wizualną jakość samego obrazu, szczególnie o kompozycję. Staram się, żeby kadry miały obiektywny, słownikowy charakter. Gram dydaktyczną konwencją, obrazy są w miarę możliwości pozbawione napięcia i ekspresji. Jeśli chodzi o mój stosunek do kreacyjnej roli fotografii, to kilka miesięcy przed rozpoczęciem pracy nad cyklem A–Z ciekawym dla mnie doświadczeniem było zetknięcie się z dodatkiem do lokalnej „Gazety Wyborczej", która co tydzień zamieszczała przewodniki po śląskich miastach. Na okładce dodatku o Katowicach zobaczyłem zdjęcie miejsca, którego nie rozpoznałem, choć, jak się okazało, doskonale je znałem – był to tzw. Rynek. Całość sfotografowana z takiej perspektywy, że bardziej niż z Katowicami kojarzyła się z jakimś uroczym zakątkiem Wiednia czy Paryża.

**Katowice Paryżem Wschodu.**

Byłem zdziwiony i poirytowany nieprawdziwością tej kreacji, emanacją jakichś kompleksów. Zastanowiło mnie to, jak chętnie bierzemy udział w takiej manipulacji. Kreujemy jakąś rzeczywistość wyobrażoną, bo realna jest trudna do zaakceptowania. Albo nie taka, jakiej byśmy sobie życzyli. Natomiast gdybyśmy to zrobili w drugą stronę, zarejestrowali znaną rzeczywistość z niekorzystnej perspektywy, to nagle podniósłby się wielki hałas, że postąpiono niewłaściwie. Najprawdopodobniej fotograf zostałby posądzony o brak profesjonalizmu. Dlatego zależało mi, żeby w A–Z skonfrontować się z rzeczywistością niekreowaną.

**Nie da się opowiadać bez filtrów.**

Oczywiście moja subiektywna wrażliwość jest też filtrem. Ale ideą tego cyklu nie jest kreowanie rzeczywistości, tylko jej zapis. Subiektywny, ale jednak zapis. Nie byłbym uczciwy, gdybym nie akceptował subiektywności własnego spojrzenia. Dlatego to, co robię, umieszczam w polu sztuki, nie jest to obiektywny reportaż. Perspektywa kosmity lądującego na obcej planecie jest mi bliska i naturalna. Mam skłonność do dziwienia się rzeczami zwykłymi, do patrzenia z dystansu. Choć tak jak wszyscy mam też wbudowany samoobronny ewolucyjny mechanizm niezauważania rzeczy przykrych.

**Pan ma wbudowany mechanizm zauważania absurdów.**

Lubię ambiwalencję moich prac, w których obraz jest dziwną ilustracją definicji, ale jednocześnie nie można nie zgodzić się z faktem, że opis pasuje do obrazu. Lubię też ambiwalencję mieszanki fascynującego z przerażającym. Okazuje się, że część z nas lubi takie paradoksy, bo kiedy zacząłem udostępniać swoje prace w mediach społecznościowych, pojawiła się grupa osób, które podsyłają mi propozycje ciekawych zjawisk, miejsc, obiektów, zawierających w sobie potencjał predestynujący do cyklu A–Z.

**Wyłapywali obrazy z tezą Tobisa?**

Nigdy nie przyświecała mi jakaś teza, że np. rozprawię się teraz z nieładem w przestrzeni publicznej polskich miast i wsi.

44 7 i 8 (3 w.) drzewo

154 2 der Hai

154 2 rekin

Albo jakaś dydaktyczna ochota pokazania, jak bardzo brzydka jest prowincja.

**A jest?**

No właśnie nie jest i jest jednocześnie. Nie ma jednego obrazu tzw. prowincji. Tak jak powiedziałem wcześniej, kategorie estetyczne są względne. Wydawanie sądów w tej kwestii nie interesuje mnie. Oczywiście z perspektywy pracy nad A–Z są rejony mniej lub bardziej zasobne, mniej lub bardziej nasycone dziwnością. W porównaniu z innymi obszarami tzw. prowincja jest częściej zaskakująca, przez co bardziej interesująca. W trakcie promocji mojej ostatniej książki pojawił się wątek najmniej ciekawych obszarów z perspektywy mojego projektu. I to bez wątpienia są centra starych miast, gdzie wszystko jest pod kontrolą konserwatora i każdy „wizualny błąd systemu" jest szybko wyłapywany i niwelowany. W imię jakiejś rzeczywistości wyobrażonej. Przecież dzisiejsze centrum Krakowa, oprócz układu urbanistycznego, nijak się ma do centrum Krakowa sprzed 100 lat, a co dopiero do swoich średniowiecznych początków. To coś jest naszą wizją, która z realiami miasta średniowiecznego nie ma nic wspólnego.

**Kraków urbanistycznym Disneylandem?**

Jako dziecko często bywałem w Krakowie i do dziś przechowuję obraz tego miasta z jego rozpadającymi się kamieniczkami i smrodem. Oczywiście cieszę się, że tak już nie jest. Prawdą jest jednak, że wtedy to miasto było bliżej średniowiecza niż dziś. Nadzór konserwatorski jest więc obecnie nadzorem nad pewną wizją średniowiecznego miasta, która jest dla nas i dla turystów do przyjęcia, wizją, która nie psuje nam apetytu – to bardzo ważne. Ja też lubię, kiedy spacerując po mieście, czuję zapach dobrego jedzenia, a nie czegoś niepokojącego. W Krakowie realne miasto zaczyna się spory kawałek poza Rynkiem.

Prawdziwe emanacje dziwności ujawniają się dopiero na osiedlu, gdzie do szczytu fasady bloku dokleja się obronną basztę. Obszarem bardziej efektywnych poszukiwań są więc dla mnie miasta powiatowe. Tam erupcja rzeczywistości jest mniej uporządkowana. Dynamika jest bardziej naturalna, fantazja nieokiełznana. Widać charakter indywidualnej inicjatywy. Czasem można zobaczyć jak na dłoni wzrost i upadek małego prywatnego imperium. Ktoś próbował przekształcić rzeczywistość, ale udało się to zrobić tylko w połowie. Zabrakło środków albo motywacji. A może autor właśnie w połowie uznał, że już wystarczy.

**Tylko czy to jest jakość?**

Obok siebie istnieją prywatne inicjatywy olśniewające oraz te postrzegane jako smutne i śmieszne. Nie jestem inspektorem nadzoru budowlanego ani krytykiem architektury i urbanistyki. Dla mnie ważne jest to, że poza centrum czas inaczej obchodzi się z przestrzenią. Łatwiej tam o stan zawieszenia, w którym obiekt może być pozostawiony sam sobie przez wiele lat, a zmieniająca się wokół rzeczywistość może stworzyć kontekst, w którym ▶

159 (5 u. 9) der Dickhäuter

159 (5 i 9) gruboskórzec

▶ ten obiekt staje się absurdalny. Częstym przykładem są tu przydrożne zajazdy zamieniające się w swoiste pałace strachu, tylko dlatego, że dwieście metrów obok, wzdłuż starej drogi, przy której ten zajazd stoi, poprowadzono nową ekspresówkę. W terenie zurbanizowanym taki obiekt ma szansę na szybką zmianę funkcji lub wyburzenie. Poza centrum może trwać w pozaczasie. Podobnie jest z przeterminowanymi pomnikami, które są bardzo wdzięcznymi obiektami, bo bardzo łatwo je zhakować. Ponieważ pomniki z założenia niosą ze sobą jakąś treść, to kiedy ta treść się przeterminuje, zostaje skorupa, w którą łatwo włożyć coś innego.

**Przeterminowane pomniki. Bardzo mi się to podoba.**

Sfotografowałem kiedyś pomnik żołnierza radzieckiego trzymającego sztandar. Sztandar wyprany jest z kolorów, których może nigdy nie było, a może zmył je deszcz. Tak czy owak sztandar jest teraz akceptowalny, bo bieg historii i warunki atmosferyczne sprawiły, że stracił on swój ideologiczny wymiar. Mogę więc z łatwością wykorzystać stylistyczny zabieg zastosowany przez rzeźbiarza, który, aby dodać pomnikowi dynamiki, zwęził i wydłużył sztandar w takim stopniu, że odbiega on od wyglądu realnego sztandaru. Zdjęcie pomnika posłużyło mi jako ilustracja hasła „ćwiczenia z szarfą". Mogę udawać, że nie rozumiem stylistycznych rzeźbiarskich zabiegów ani ideologicznych kontekstów. To, co widzę, faktycznie bardziej przypomina szarfę niż sztandar. Radziecki żołnierz staje się gimnastykiem w hełmie.

**Dlaczego w pewnym momencie ludzie zaczęli znikać z pana fotografii.**

W projekcie jest ponad 100 portretów. Nie są to oczywiście portrety reporterskie, pozy są statyczne, ludzie są zatrzymani na chwilę. Kiedy pytali, jak mają stanąć, odpowiadałem: jak pan/pani chce. Jeśli więc stoją, wszyscy stoją podobnie. To bardzo pasuje do słownikowej stylistyki. Z czasem rzeczywiście zacząłem unikać fotografowania ludzi. Z dzisiejszej perspektywy może być to trudne do wyobrażenia, ale projekt zacząłem realizować przed powstaniem mediów społecznościowych. Historyczny cywilizacyjny moment nastąpił krótko po tym, kiedy pojawił się Facebook i Instagram. Od tego momentu każdy, bez względu na wiek, płeć, wykształcenie czy miejsce zamieszkania, ma już świadomość, że zdjęcie, które mu zrobię, za chwilę może znaleźć się w sieci. I że to może mieć nieprzyjemne konsekwencje. Jako portretujący stawałem się kimś podejrzanym. Nie było to miłe dla nikogo. Do pewnego momentu argument, że robię zdjęcie artystyczne, ułatwiał sytuację. Ale stawało się to coraz trudniejsze, wymagało negocjacji. A każda negocjacja jest formą wywierania presji, co kłóciło się z założeniem rejestracji rzeczywistości, której nie kreuję. Skoro więc poprzez reakcje portretowanych rzeczywistość zaczęła stawiać opór, to musiałem to zaakceptować i przestałem portretować. Okazało się, że nie odczuwam z tego powodu braku. Portrety nie były więc dla mnie priorytetem.

**A co było?**

Relacja obrazu do słowa. Język to najdoskonalsze narzędzie poznawcze, jakim dysponujemy w konfrontacji z rzeczywistością. Fascynujące jest dla mnie to, że nie jest to narzędzie doskonałe. Słowa bywają wieloznaczne, co skutkuje nieporozumieniami,

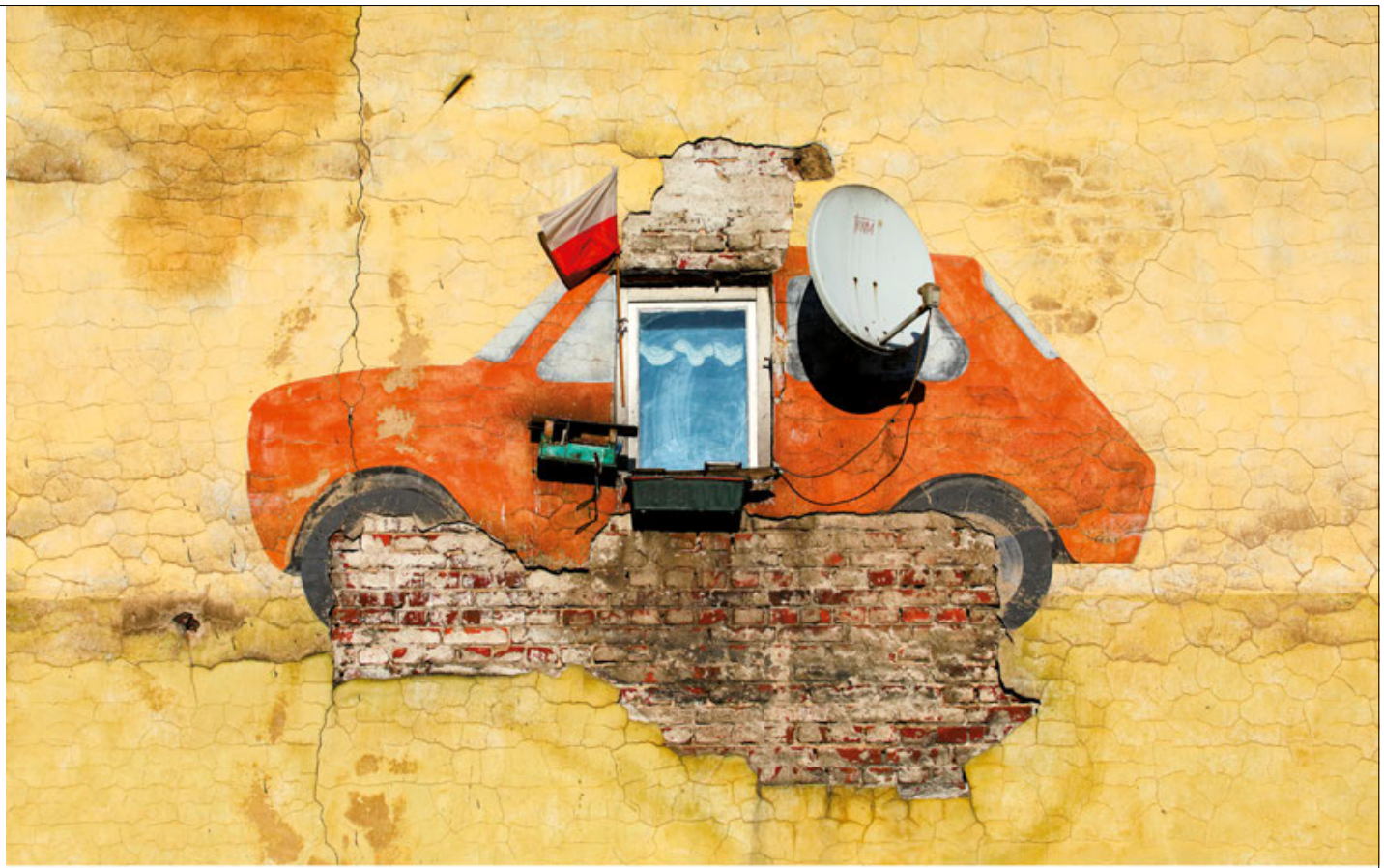

3 20 (3. A.) das Kamerafenster

3 20 (3 w.) okienko kabiny

ale stwarza też nowe interesujące możliwości interpretacyjne. Te niedoskonałości sprawiają, że język jest żywy, że się rozwija. Zmienia się też sama rzeczywistość, a pojemność i elastyczność języka sprawia, że stare komunikaty czytamy na nowo. Widzę to nawet na przykładzie samego cyklu A–Z, kiedy w miarę upływu lat na jedne interpretacje nakładają się kolejne. Sfotografowałem parę lat temu pomnik jakiegoś kościelnego hierarchy, przed którym stoi młody chłopiec. Naturalne proporcje sprawiają, że twarz dziecka jest na wysokości krocza człowieka dorosłego. Dziś, po ujawnieniu afer pedofilskich w kościele, tę pracę czyta się inaczej niż kiedyś.

**Zmienia się postrzeganie, ale zmienia się sama Polska. Jeszcze w 2000 r. zdjęciami furmanki Amerykanie ilustrowali w internetowej encyklopedii hasło Polska.**

No tak. Koń jest teraz symbolem bogactwa, a nie biedy. Jest to również inny koń. Moja osobista perspektywa staje się w coraz większym stopniu perspektywą starego człowieka. Sam już czasem nie mogę uwierzyć w to, co pamiętam. Ciekawym i znamiennym przykładem zmian ostatnich lat są place zabaw. Unijny porządek prawny mocno przemeblował te przestrzenie. Jeszcze do niedawna można było znaleźć takie, gdzie sprzęty do zabawy były dziełem jakichś lokalnych spawaczy. Przy szkole podstawowej niedaleko Ostrowca Świętokrzyskiego znalazłem dwa zespawane z rur słonie jako elementy placu zabaw. Kiedy je fotografowałem, przyszła przestraszona pracowniczka szkoły, która bała się, że jestem z jakiejś kontroli i sprowadzę na szkołę kłopoty. Zaczęła tłumaczyć, że to tymczasowe. Wyjaśniłem, że robię zdjęcia w celach artystycznych. Pani odetchnęła, nastąpiło rozluźnienie i opowieść o historii powstania słoni. Jakiś czas temu sprawdzałem – słoni już nie ma. Wszystkie place zabaw w Polsce muszą mieć certyfikaty i dlatego wszystkie wyglądają niemal identycznie.

**I to dobrze czy źle?**

Kiedyś sam się zachwycałem takimi słoniami i nie widziałem w nich żadnego zagrożenia. Teraz też się zachwycam formą, ale w kwestii zastosowania widzę w nich jedną wielką nieergonomię. Od razu wyobrażam sobie połamane dziecięce rączki i nóżki. I zdaję sobie sprawę, że gdyby to ode mnie zależało, to nigdy bym się nie zgodził na takiego słonia na placu zabaw.

**Kończymy rozmowę i czy czasem nie kończy się pana cykl?**

Pandemia była ciężkim czasem, zamknięte restauracje i hotele bardzo utrudniały pracę. Zmodyfikowałem jednak logistykę wyjazdów i nie zarzuciłem ich. Natomiast okazało się, że wojna w Ukrainie nie pozwalała mi na uruchomienie percepcji niezbędnej do tej pracy. Ostatni wyjazd rzeczywiście miałem rok temu. To może być koniec, ale nie musi. W Polsce nic nie jest definitywne.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH
FOTOGRAFIE ANDRZEJ TOBIS

**Andrzej Tobis**, artysta malarz, fotograf. Prowadzi pracownię malarstwa w katowickiej ASP. Pierwsza odsłona jego najsłynniejszego cyklu „A–Z (Gabloty edukacyjne)" miała miejsce w Galerii Kronika w Bytomiu w 2007 r. Prezentowane w jego ramach fotografie były również pokazywane na wystawach indywidualnych w Rzymie, Madrycie, Berlinie, Düsseldorfie i w wielu miastach w Polsce.

Trudno uwierzyć, że takie słowa padły z ust rzecznika praw dziecka Mikołaja Pawlaka po ujawnieniu samobójstwa syna Magdaleny Filiks: „Wiele z osób, które od pięciu dni się w tej sprawie wypowiadają, publicznych, z pierwszych stron gazet, z różnych stron politycznego sporu, ma sprawy u mnie – rodzinne, dotyczące ich dzieci i rodzin. I chyba powinno im zależeć, żebym ja o tych sprawach nie mówił". Państwowy urzędnik jako szantażysta gotów ujawniać poufną wiedzę – to jednak całkiem nowa jakość.

Kataryna odniosła się do słów Pawlaka w „Plusie Minusie": „[ta skandaliczna wypowiedź] jest bowiem częścią trochę przerażającej opowieści o Polsce Jarosława Kaczyńskiego. Państwie, które z opozycją rozprawia się w stylu, jakiego nie powstydziłaby się esbecja. Jeśli ktoś nie umie się cofnąć przed niszczeniem dziecka, nie cofnie się przed niczym. Ludzie, którzy lubią o sobie myśleć, że są »trzecim pokoleniem AK«, są tak naprawdę grupą rekonstrukcyjną SB. I dopiero się rozkręcają. Prokuratura udostępnia informacje ze śledztwa, funkcjonariusz służb na Twitterze rozprowadza temat, publiczne media organizują nagonkę. Jak wielka musi być afera, którą zainteresowała się Filiks, że do uciszenia jej uruchomiono wszystkie aktywa?". Blogerka nigdy nie oszczędzała rządów Tuska, przyszedł czas na prezesa.

O imposybilizmie władzy Jacek Nizinkiewicz w „Rzeczpospolitej": „Katastrofa smoleńska okazała się jedną z największych porażek rządów PiS. Nie tylko nie udało się umiędzynarodowić śledztwa, mając choćby za sojusznika prezydenta USA Donalda Trumpa, ale też PiS nie potrafił przekuć wiecowych zarzutów na dowody. I tylko żal rodzin tych, którzy zginęli, bo co roku muszą przechodzić przez to samo piekło, w imię wzmacniania ego jednego człowieka". To zrozumiałe – ich ból jest mniejszy od jego bólu.

Inny przejaw imposybilizmu w wykonaniu prezesa PiS wskazuje Andrzej Stankiewicz w „Newsweeku": „Jak by nie patrzeć, rewolucja Kaczyńskiego pożera samego Kaczyńskiego. Wyrzynanie wszelakich instytucji prezes zaczynał w 2015 r. od Trybunału Konstytucyjnego, który od góry do dołu obsadził nominatami PiS. Dziś przed sędziami, których tam posłał, musi się upokarzać, bo mają go w głębokim poważaniu. (...) prezes stracił kontrolę nad Trybunałem. Dziś nie jest nawet w stanie wydzwonić zbuntowanych sędziów i nakazać im posłuszeństwo, bo go zwyczajnie nie słuchają. Cóż za upadek Wszechmocnego Prezesa". Przedwczesna radość.

O posybilizmie prezesa zapewnia za to Joachim Brudziński w „Sieciach": „My nie boimy się TVN, Michnika, Tuska, my boimy się Polaków. To oni mogą nas odsunąć od władzy. A jak ktoś o tym zapomni, to prezes Jarosław Kaczyński umie tak szarpnąć cuglami, by wszyscy sobie o tym przypomnieli. Trzyma nas w ryzach i nie pozwala, by towarzystwo się rozbrykało. Jestem pewien, że jak trzeba będzie ręka kata nie zadrży". Prezes – na co dzień woźnica, ale czasem dorabia jako kat.

Do postaw społeczeństwa odwołuje się ukrainosceptyczny Łukasz Warzecha, komentując w „Do Rzeczy" wizytę prezydenta Zełenskiego w Polsce: „Wrażenie jest takie, że niemalże narkotyczne wizje władzy, napędzane giedroyciowskimi oparami, przyćmiły zwłaszcza lokatorowi Pałacu Prezydenckiego kolejny raz racjonalny ogląd rzeczywistości, a także coraz bardziej odklejają go od nastrojów ulicy. Być może intuicja mnie zawodzi, ale byłbym gotów się założyć, że następstwem tego wpychania Polakom na siłę dozgonnej przyjaźni z Ukrainą, w którym to duecie jedna strona wciąż tylko daje, a druga wciąż tylko bierze, będzie raczej wzrost irytacji u dużej części Polaków niż wzrost proukraińskich sympatii". Warzecha sugeruje więc, by polityką państwa rządziły „nastroje ulicy". Ciekawa propozycja.

Te słowa o Kościele świetnie opisują też naszą władzę. Arcybiskup Luksemburga kardynał Jean-Claude Hollerich („Tygodnik Powszechny"): „Kościół musi słuchać, zamiast dawać odpowiedzi, których nikt nie rozumie, na pytania, których nikt nam nie zadał". Za to, dodajmy, milczy w zasadniczych sprawach, o które jest indagowany. Zupełnie jak nasz rząd.

**Jan Koza**

© JAN KOZA

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

**RECEPCJA GŁÓWNA**
*tel. 22 451-61-33, 451-61-34;*
*tel./faks 22 451-61-35*
ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

**PREZES I REDAKTOR NACZELNY**
Jerzy Baczyński
*tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10*

**CZŁONKOWIE ZARZĄDU**
Joanna Solska, Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
**Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO**
Mariusz Janicki *(Pierwszy Zastępca)*, Witold Pawłowski, *tel. 22 451-60-03*
Łukasz Lipiński *(wydania cyfrowe)*

**BIURO REKLAMY**
*tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37*
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*,
Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*
PROJEKTY SPECJALNE *tel. 22 451-61-93*
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY

**PRENUMERATA PAPIEROWA**
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Kaliszuk-Radzko,
*tel. 22 451-61-00, 451-61-15*
e-mail: prenumerata@polityka.pl
**PRENUMERATA CYFROWA**
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGŻ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

**Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.**

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.**

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Maciej Domagała,
*tel. 22 451-61-25,*
e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad/Graf
www.izbaprasy.pl
PBC
PRINTED IN POLAND

# POSZERZAMY HORYZONTY

## Naukowe miesięczniki POLITYKI

Kwietniowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

pulsar

PRZYJAZNA DLA ŚRODOWISKA
EKO
APEO free
niskie LZO
nie zawiera amoniaku i formaldehydu

dekoracyjna

# PAPA W PŁYNIE

**DOSTĘPNA W 4 KOLORACH**

- ☑ do uszczelniania dachów, rynien, kominów, murków, domków na narzędzia, wiat, parasoli, plandek, skrzyń itp.
- ☑ elastyczna, mrozoodporna, odporna na czynniki atmosferyczne
- ☑ do malowania pędzlem, wałkiem lub natryskowo

**Więcej informacji**

PRODUKT DOSTĘPNY M.IN. W SIECI SKLEPÓW BRICOMARCHÉ, LEROY MERLIN, PSB ORAZ NA SKLEP.SMIG.PL